

SIECI

NAZYWAM SIĘ
BŁASZCZAK
I JESTEM Z TEGO
DUMNA

„MŁODZI, WYKSZTAŁCENI
Z WIELKICH MIAST” MAJĄ KŁOPOTY

POLSKA
PREZYDENCJA,
CZYLI WIĘCEJ
NIŻ KLĘSKA

KIBICE
JAK HYCERZE
BRONIĄ PAMIĘCI
I WARTOŚCI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

27 (657) 2025
30 czerwca – 6 lipca 2025

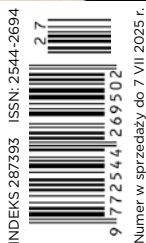
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

DR TOMASZ ŻUKOWSKI OSTRZEGA:

CHCA UKRAŚĆ WYBORY

**BEZ ŻADNYCH PODSTAW, METODĄ „NA WNUCZKA”.
TO TRZECIA TURA WYBORÓW. STAWKĄ JEST POLSKA**



Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie
(w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena
w kiosku to **12,90 zł**.



Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1

**Wybierz swoją
prenumeratę**

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	375 zł
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

**NAJLEPSZY
WYBÓR**

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę www.sieciprawdy.pl/prenumerata i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)



Tuskowi puściły hamulce

Robi się coraz groźniej. Koalicja 13 grudnia nie potrafi pogodzić się z wynikami wyborów i podejmuje najbardziej szalone kroki, byle tylko zablokować zaprzysiężenie Karola Nawrockiego. I choć jeszcze niedawno mogło się wydawać, że opowieść o sfałszowanych wyborach to samotna szarża Romana Giertycha, dziś mamy pewność, że tak nie jest. To przemyślana operacja, której cel stanowi całkowite zdemolowanie państwa. Polska została poddana atakowi hybrydowemu i coraz bardziej ugina się pod jego naporem.

Rola Giertycha nie jest tu przypadkowa. To człowiek, który wywinął się z ciężkich postępowań prokuratorskich, a gruba afera Polno-rdu, z której go cudem wyłączono, toczy się do dziś. Zarzuty prania brudnych pieniędzy i przywłaszczenia kilkudziesięciu milionów złotych wciąż ciąży na jego bliskich współpracownikach i klientach. Wiemy już, że podczas całego procederu Giertych zarobił 5 mln zł, a materiał zebrany w 300 tomach akt jest ogromny. Śledczy wielokrotnie próbowali przedstawić mu zarzuty, wysyłając ok. 100 wezwań, które ignorował. Podczas próby zatrzymania zemdlął, a następnie opuścił kraj. Śledztwo wobec niego toczyło się jeszcze za rządów Donalda Tuska, ponieważ badający sprawę prokuratorzy nie chcieli go umorzyć. Czy jest przypadkiem, że zostali odwołani z funkcji?

Giertych dopiął swego! W styczniu 2025 r. śledztwo w jego sprawie umorzono, a on sam wywiera na Bodnara ciągłą presję! Narzeka na niedostateczne rozliczenia opozycji, za które zabrał się osobiście, stając na czele zespołu ds. rozliczeń i formułując kolejne wnioski o odbieranie immunitetów posłom PiS.

Zimpelem wkracza także w kolejne obszary. Nie ustaje w walce o ponowne przeliczenie głosów, budując przekonanie, że wybory zostały sfałszowane. Podawane przez niego argumenty nie mają sensu ani pokrycia w faktach. Za przykład niech posłuży ponowne sprawdzenie zawartości urn trzech komisji – w Staszowie, Magnuszewie i na Mokotowie. Okazało się, że Karolowi Nawrockiemu ukradziono łącznie aż 586 głosów. Czy to powstrzymało amok Giertycha i jego oszalałej ekipy? Bynajmniej. Snuje kolejne absurdalne teorie i wpada w coraz większą nerwowość. Nie jest samotnym wilkiem.

Jeszcze kilka dni temu wydawało się, że czyni to, czego chętnie by się podjął Donald Tusk, ale jako premier nie bardzo może. Dziś widzimy,

że także szefowi rządu puściły hamulce. Nie pomogło nawet przywołanie do porządku przez prezydenta Andrzeja Dudę, który na insynuację o ponownym przeliczeniu głosów odpowiedział stanowczym wpisem: „Niech Pan z kolegami zaprzestanie prowokacji, kłamstwa i nacisków. To nie służy Polsce i poczuciu bezpieczeństwa naszych Rodaków. Trzeba umieć przegrywać z godnością i szanować reguły demokracji”. Nie pomogło.

Trwa uporczywa próba odwrócenia demokratycznego werdyktu wyborców i poszukiwanie możliwości zablokowania zaprzysiężenia Karola Nawrockiego. Wśród głosów proponujących rozwiązania bezprawne i siłowe pojawiła się opinia samego Donalda Tuska, który stwierdził wprost, że „trudno znaleźć legalne i skuteczne sposoby działania w tym ustrojowym bałaganie”. Co to może oznaczać? Czyżby miały się spełnić najbardziej inwazyjne scenariusze? O co w tym chodzi? Niektórzy walczą o własny interes, inni o własne bezpieczeństwo, mając świadomość, że jeśli teraz nie zdołają dowieść politycznego planu zmiany ustrojowej, czeka ich ręka sprawiedliwości, jeszcze inni reprezentują interes zewnętrzny. Pewne jest jedno. Giertych pozostaje skoncentrowany na działaniach mających absolutnie wywrotowe skutki dla państwa. Tym bardziej że dołączył do niego sam premier i minister sprawiedliwości. Czy wiedzą, w co się wpisują?

Do podstawowych elementów wojny hybrydowej należy destabilizacja państwa poprzez podważanie legalnych władz oraz eskalowanie konfliktów i polaryzacji społeczeństwa. Właśnie temu ma służyć kwestionowanie wiarygodności wyników wyborów. Histeria zwolników Trzaskowskiego narasta, a środowisko polityczne Tuska i Giertycha nawołuje do ulicznych protestów. Równie niebezpieczne jest dyskredytowanie Karola Nawrockiego. Mamy do czynienia z jawnym podważaniem mandatu przyszłego prezydenta i osłabianiem legitymacji zwierzchnika sił zbrojnych, i to w czasie ekstremalnie trudnym – wojny na Ukrainie oraz kolejnych konfliktów międzynarodowych. Działania podejmowane przez ludzi Donalda Tuska są więc nie tylko skrajnie nieodpowiedzialne, a wręcz zagrażające bezpieczeństwu państwa. Tak doświadczeni politycy muszą wiedzieć, że wpisują się tym we wrogi scenariusz osłabiania Polski. 

Marzena Nykiel





27

Lista Najbardziej Szurniętych Szurów
Piotr Gursztyn



47

Turyści do domu!
Aleksandra Rybińska



59

Zwrot dla „Lalki”
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

- 5 **ZNISZCZYĆ ŚWIATOWE ZAGROŻENIE**
Bronisław Wildstein
- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **POLICZYMY SIĘ Z WAMI**
Krzysztof Feusette
- 9 **PLAN DOMAŃSKIEGO**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 **JAK STRACIĆ GAZ I GODNOŚĆ – PORADNIK LEGISLATORA**
Daniel Obajtek
- 13 **CORAZ WIĘKSZE WPŁYWY PEKINU?**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 **WALIZKA LESZKA CZAJKOWSKIEGO**
Michał Korsun
- 16 **LIGA NIEPOLSKICH RODZIN**
Jan Pietrzak
- 16 **WOJNA NIE SKOŃCZYŁA SIĘ DLA TYCH, KTÓRYM ODMÓWIONO SPRAWIEDLIWOŚCI**
Arkadiusz Mularczyk
- 17 **AKT OSKARŻENIA**
Samuel Pereira
- 18 **KULTURA À LA III RP**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 19 **TRWA TRZECIA TURA WYBORÓW. STAWKĄ JEST PRZYSZŁOŚĆ POLSKI**
Tomasz Żukowski

KRAJ

- 24 **ZAMACH NAD URNĄ**
Stanisław Janecki
- 27 **LISTA NAJBARDZIEJ SZURNIĘTYCH SZURÓW**
Piotr Gursztyn
- 30 **PREZYDENCJA BEZOBJAWOWA**
Dariusz Matuszak
- 33 **Z JULIĄ BŁASZCZAK**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 36 **TUSK SZYKUJE NOWĄ WOJNĘ PRZECIWKO KIBICOM?**
Goran Andrijanić
- 38 **ZMIERZCH MORDORU**
Konrad Kołodziejcki

ŚWIAT

- 41 **WOJNA DWUNASTODNIOWA**
Jan Rokita

44 KIBICUJMY KELLOGGOWI

Marek Budzisz

47 TURYSĆI DO DOMU!

Aleksandra Rybińska

50 NAJLEPSI PRZYJACIELE IZRAELA

Grzegorz Górny

OPINIE

54 STOSUNKI USA–EUROPA, CZYLI KRYZYS W STARYM MAŁŻEŃSTWIE

Jan Parys

HISTORIA

56 OFIARY RZEZI WOŁYŃSKIEJ ZASŁUGUJĄ NA UPAMIĘNIENIE

Z Pawłem Zdziarskim
rozmawia Stanisław Plużański

SIECI KULTURY

59 ZWROT DLA „LALKI”

Jolanta Gajda-Zadworna

62 PRECZ Z UTOPIAMI!

Maciej Walaszczyk

64 HITY I KITY

Piotr Zaremba

66 CZY POLSKA POKŁONI SIĘ ŚWIROM?

Robert Tekieli

PODRÓŻE

68 MOJE SZLAKI: TONI SERVILLO

Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 UŚMIECHNIĘTA POLSKA

Wojciech Reszczyński

71 OGNIEM NA WPROST

Andrzej Rafał Potocki

72 NIENAWIŚĆ I BLUZG

Aleksander Nalaskowski

73 POLSKA MASZYNA DO MEDALI

Ryszard Czarnecki

74 BOGOWIE TECHU DO POKONANIA?

Andrzej Zybortowicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zniszczyć światowe zagrożenie

Podobno po wyborze Hitlera Józef Piłsudski zwrócił się do Francji z propozycją prewencyjnego uderzenia na Niemcy. Nikt nie dokumentuje tego typu planów, a więc historycy toczyć będą nierozwiązywalny spór, czy było to prawdą. Przyjmijmy jednak, że Piłsudski podjął taką inicjatywę, a Francja odpowiedziała pozytywnie. Nasze kraje bez problemów pokonałyby słabą wówczas armię niemiecką i wyeliminowały Hitlera oraz jego klikę. Uniknęlibyśmy tragedii II wojny światowej. Równocześnie można być pewnym, że polsko-francuska interwencja wywołałaby oburzenie ówczesnej opinii publicznej. Pomyślałem o tym, dowiadując się o amerykańskim uderzeniu na irańskie instalacje jądrowe.

Wcześniej ataki takie przeprowadził Izrael. Jednak oskarżanie Tel-Awiwu o wywołanie wojny jest absurdem. To Iran deklaruje, że zniszczy Izrael już od rewolucji islamskiej. W 1982 r. stworzył w Libanie terrorystyczną organizację Hezbollah, której głównym celem było zwalczanie państwa żydowskiego. Patronował wymierzonym w nie akcjom przeprowadzonym przez palestyński Hamas. 7 października 2023 r. to właśnie ta organizacja uderzyła na Izrael, zabijając ponad tysiąc osób, głównie cywili, i porywając setki zakładników. W tym samym czasie od strony Libanu zaatakował Hezbollah, a od południa akcje terrorystyczne podjęło utrzymywane przez Teheran jemeńskie ugrupowanie Huti.

Kontrofensywa Izraela rozbiła zarówno Hamas, jak i Hezbollah. Wiązało się to jednak z wizerunkową katastrofą, co było łatwe do przewidzenia. Dla lewicy, która dominuje ośrodki opiniotwórcze Zachodu, samo istnienie Izraela już od wielu dekad stanowi skandal. To znamienny dla tej orientacji resentyment, wrogość do własnej cywilizacji i zajmowanie we wszystkich konfliktach strony jej przeciwników. Izrael odrzucany jest przez muzułmanów nie tylko jako obca religia, lecz głównie jako reprezentant cywilizacji zachodniej i jej sukcesu. Lewica sekunduje tej postawie.

Oskarżanie o ludobójstwo Izraela, który stara się trzymać, o ile to możliwe, zasad cywilizowanej wojny, a naprzeciw siebie ma przeciwników nieliczących się z żadnymi normami, jest aberracją. Nie znaczy to, że, jak w każdej wojnie, a zwłaszcza tej, która prowadzona jest w szczególnych (jak w Gazie) warunkach, jego żołnierzom nie zdarzają się przestępstwa, a nawet zbrodnie. To, że są one nieuniknione, nie usprawiedliwia ich, ale uzasadnia odmowę potępienia państwa, które stara się im zapobiec. Jeśli Hamas swoje ośrodki bojowe sytuuje w bezpośrednim sąsiedztwie szpitali i szkół, jeśli używa kartek pogotowia do transportu broni czy żołnierzy, to jest w dużej mierze odpowiedzialny za operacje, których ofiarami stają się także dzieci czy cywile.

Nie usprawiedliwiam wszystkich posunięć izraelskiej armii, bo nie wszystko o nich wiem, wiem jednak, że nie prowadzi ona ani nie nawołuje do ludobójstwa – w przeciwieństwie do swoich przeciwników, którzy wprost głoszą eksterminację Żydów. I wiem, że sposób przedstawiania tego konfliktu w mediach zachodnich jest zaprzeczeniem bezstronności.

Różnicę w podejściu do wojny doskonale widać na przykładzie wymiany ognia z Iranem. Izraelskie uderzenia są precyzyjne i starają się oszczędzać ludność cywilną, irańskie mają na celu spowodowanie największych ofiar i strat.

W Polsce niechęć do Izraela coraz bardziej obejmować zaczyna również prawicowe środowiska. Jest to odpowiedź na niesprawiedliwy stosunek tego państwa do Polski i oskarżanie nas o współudział w Holokauście. Łączy się z praktyką establishmentu III RP, która doprowadziła do banalizacji antysemityzmu, bez dania racji piętnując tym stemplem swoich przeciwników. To, co widzimy w Polsce, to odruch wahadła.

Oczywiście potępienie polityki Izraela nie oznacza automatycznie antysemityzmu, ale posunięte do granicy odmowy Żydom prawa do obrony swojego państwa stapia się z nim.

Jeśli nawet krytyka aspektów postawy Izraela wobec Polski jest uzasadniona, nie powinna deformować naszego oglądu rzeczywistości. A z perspektywy naszego najszerzej pojętego interesu, nie mówiąc już o racjach moralnych, powinniśmy optować za Izraelem.

Broń atomowa Izraela jest ostatnim argumentem państwa funkcjonującego we wrogim otoczeniu, które odmawia mu prawa do istnienia. Nikomu nie przychodzi do głowy, aby Tel-Awiw użył jej w celach agresywnych, podobnie jak w przypadku Francji czy Wielkiej Brytanii. Egzystencja Iranu nie jest zagrożona, a arsenał jądrowy, który usiłują użyć jego władze kosztem zubożenia całego społeczeństwa, ma służyć zniszczeniu Izraela, a potem uderzeniu w „wielkiego szatana”, czyli USA i jego europejskich „wspólników”. Teheran jest aliantem Rosji, której dostarcza broń przeciw Ukrainie. Razem z nią, Chinami i Koreą Północną jest członkiem antyzachodniej osi, której jednym z celów jest odzyskanie przez Moskwę sowieckiej strefy wpływów. Zniszczenie jądrowego potencjału Iranu odsuwa od nas widmo globalnej katastrofy. 



Sygnalista nadaje

🔊 Ludzie, czy nie jesteście tak zwyczajnie po ludzku ciekawi, jakie są prawdziwe wyniki głosowania? Stawiamy to pytanie, idąc śladem premiera Donalda Franciszka. I od razu odpowiadamy: w sumie nie jesteśmy ciekawi, bo wiemy. Wygrał, jak zwykle, **Rafał Kazimierz Trzaskowski**. Tak jak wcześniej wygrała Prawdziwa Prezydent – Małgośka Kamala-Błońska. A jeśli Rafał nie wygrał, to znaczy, że ktoś sfałszował wybory. Wiadomo też, kim jest ten ktoś: zawsze i wszędzie wybory fałszują pisiorzy.

🔊 Tak więc nie ma naszej zgody na to, żeby niejaki Nawrocki z Gdańska zajął pałac przy Krakowskim Przedmieściu. Jesteśmy pewni, że premier Donald Franciszek doprowadzi tę sprawę do samego udanego końca. Przecież jest znany z tego, że zawsze realizuje swoje zapowiedzi, konkrety, projekty i obietnice. Słowo premiera Tuska droższe od pieniędzy. Być może trochę mniej stabilne niż dolar amerykański, ale na pewno więcej warte niż dolar Zimbabwe.

🔊 A wolność wiodąca na barykady lud unijczyków polskiego pochodzenia ma uroczą twarz **Romana Giertycha**. Historia dzieje się na naszych oczach. Mecenase Roman dał nam przykład, jak protestować mamy. Wszystko znajdziecie w ściadze, którą mecenas wywiesił w internecie: łącznie z numerem PESEL, który trzeba wpisać. Reszta też nie jest trudna – kopiuj, wklej i „giertychówka” już gotowa. Wysyłamy to do niejakiej Manowskiej z Warszawy.

🔊 Podajemy ciąg cyfr układających się w tę szczęśliwą liczbę – 71022702179. Gdy już minie czas pisa-

nia „giertychówek” do tzw. neo-Sądu Najwyższego (który dla prawdziwych demokratów nie jest prawdziwym sądem), warto skreślić te liczby na kuponie totalizatora. Główna wygrana wystarczy na kupno domu we Włoszech.

🔊 Jeśli chodzi o mecenasa, to teraz może on sobie porumakować. Nawet zostać konstytucyjnym ministrem, bo ma już czyste konto. Niezależna i apolityczna prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie powiązań mecenasa z aferą Polnordu. To nie Roman Giertych był winien. On o niczym nie wiedział, nie znał się, nie orientował się, zarobiony był. To Foka o imieniu Sebastian, kierowca i ochroniarz mecenasa (jednocześnie niania jego progenitury) za plecami Romana zakładał fikcyjne spółki i wyciągał grube miliony. Wygląda na takiego, co nie potrafi zliczyć do dziesięciu, a tu się okazało, że jest odwrotnie: to mecenas nie potrafi zliczyć.

🔊 Tę skomplikowaną historię da się opowiedzieć w prostszy sposób. W formie bajki o tym, jak to Foka zrobiła Konia w konia. Autor: Adam Bodnar. Choć ludzie źli twierdzą, że to bajka o tym, jak Koń zostawił Fokę na lodzie.

🔊 Wróćmy do tematu numer jeden, czyli walki o odfałszowanie sfałszowanych wyborów. Każdy demokrat odpowiada za swój odcinek i każdy ma ważne zadanie. Np. Rafał Kazimierz prezydent *in spe* Trzaskowski zajął się puszczaniem wianków na Wiśle. Naprawdę! Włóczył wianki i wrzucał je do falującej wody. Po co to robi i jaki w tym sens? Nie wiemy, ale na pewno jakiś jest. To niemożliwe, żeby premier Tusk nie miał planu B.

Plan B jest coraz bardziej potrzebny. Tak samo plany C, D, E i tak dalej, aż do Z. A to dlatego, że wszędzie dokoła czyha zdrada. W sprawie odfalszowywania sfałszowanych wyborów zdradziło wieśniactwo z PSL. Już się zwąchali z tym Nawrockim z Gdańska. MON (tzn. ta część, która słucha Kosiniaka-Kamysza) przygotowuje się do tego, żeby przekazać temu Nawrockiemu z Gdańska zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi. Może to nawet lepiej, bo i tak te wszystkie szweje i trepy głosowały na niego albo na Mentzena. To ludzie, którzy nigdy nie dorosną do demokracji.

Zdradziły też komuchy od **Czarzastego**. Niby mówią, że trzeba sprawdzać nieprawidłowości, ale i tak wygrał ten Nawrocki z Gdańska. Co on im obiecał? A jeszcze gorzej jest to, że milczą ludzie, których uważaliśmy za demokratów. Ani mru-mru w sprawie odfalszowania sfałszowanych wyborów nie mruknął **Radek Sikorski**. Ani Sławek Nitras. Tego pierwszego trochę rozumiemy, bo ma żal, że to nie on startował w wyborach. Ale Sławek? Przecież on już się mościł na fotelu szefa Kancelarii Prezydenta. Tak prędko porzuca swoje marzenia?

To znaczy Sławkowi zostało jeszcze jedno marzenie. Takie, że to on będzie nowym, jeszcze lepszym Donaldem Tuskiem Koalicji Obywatelskiej. Jest przekonany, że musi się to uda, bo nikt nie jest tak zarabisty jak on. To samo o bcyu nowym lepszym Donaldem myśli Radek Sikorski. Uzasadnienie podobne: w jego opinii nikt nie jest bardziej zarabisty niż on sam. Przynajmniej w naszej galaktyce. A co na to Donald? Po pierwsze, uważa, że w kategorii zarabistości nie ma konkurentów. A po drugie, w roli swojego następcy widzi Adama Szłapkę. No cóż – jaki kraj, taki Baldur von Schirach.

Nie traćcie nadziei! Są ludzie, którzy znają wyjście z matni, w którą wpędzili Ten Kraj kaczystowsky fałszerze. Oto jeden z nich. Tomasz Lis i jego pomysł: „Przyszło mi do głowy, żeby pójść z kumplami na piwo, zabarykadować się w jednym z pomieszczeń i ogłosić, że jesteśmy izbą nadzwyczajną Sądu Najwyższego. Przecież to się nie będzie różniło od ISN SN, poza tym, że moi koledzy to prawdziwi prawnicy i nie są w Ordo Iuris”. Do dzieła, panie Tomaszu! Na pewno się uda i wszyscy potraktują pana poważnie.

Kolejna dobra wiadomość. Były komisje wyborcze, których członkowie zachowali się przyzwoicie, jak na prawdziwych demokratów przystało. To komisje w Magnuszewie, Staszowie, Ostrowi Mazowieckiej i jeszcze kilka innych. Wszędzie tam poprawiono błąd tych wyborców,



którzy nie dorośli do demokracji i zmarnowali swój głos, oddając go na tego Nawrockiego z Gdańska. Na szczęście członkowie komisji poprawiali ten błąd i dopisywali te zmarnowane głosy na prawdziwego prezydenta, czyli Rafała. Szczególny podziw bierze, gdy przypomnimy, iż wszystkie te komisje znajdują się w Polsce wschodniej, czyli terenach zamieszkałych przez zjebów i inne shity.

Tymczasem ten Nawrocki z Gdańska pojechał do Pułtusk i mówił do premiera Tuska straszne rzeczy: „Panie premierze, musimy się do siebie przyzwyczajać”. O nie! Musi to na Rusi. Widzicie, PiS to Rosja. Tomek Piątek ma rację.

À propos Pułtusk i jego kłopotliwej nazwy. Gdyby mieszkańcy tej dziury zagłosowali na Rafała Kazimierza Trzaskowskiego, a nie tego Nawrockiego z Gdańska, to można by było rozważyć zmianę nazwy na Full-Tusk. Czyli ładną i zagraniczną. A tak za karę powinno się przemianować Pułtusk na Ćwierćtusk. A jak dalej nie nastąpi poprawa, to na No-Tusk. Sami wybrali swój los. Chyba że przeliczą głosy i pokażą, że tak naprawdę to głosowali na Rafała.

Wielkie oburzenie na pięknego człowieka **Daniela Olbrychskiego** za to, że powiedział, iż na Andrzeja Dudę głosowali szpetni ludzie. Mowa o wyborach w 2020 r. I o co chodzi? Przecież wiadomo, że pisiory to szarańcza, są szpetni, mieszkają na wsi, chodzą na czworakach i jedyne, co potrafią, to fałszować wybory. Zwłaszcza w tych komisjach obwodowych, w których nie zasiadali ich przedstawiciele. Szpetni ludzie głosowali na Dudę także w 2015 r., teraz na Nawrockiego, i można mieć pretensje do pana Daniela jedynie o to, że powiedział tylko o jednych wyborach.

Jednemu z tych szpetnych, niejakiemu Świrskiemu z KRRiT, przeszkadza to, że ukochna telewizja Polski uśmiechniętej – TVN – jest zarejestrowana na Barbadosie i St. Thomas. Przeszkadza mu, bo to piękne miejsca, a nie takie szpetne jak on sam. A gdzie niby miałby być zarejestrowany TVN? Może w Końskich?

Michał Kołodziejczak odszedł z rządu. Nie był to jednak zmarnowany czas. Dla rolnictwa pewnie tak, ale kto się przejmuje wsią? Czas pracy Michała w rządzie premiera Tuska to wspała epoka dla twórców memów i dowcipów. Na przykład ten znaleziony w internetach. Całkiem śmieszny: Mały Michał Kołodziejczak pyta mamę: „Czy ja byłem adoptowany?”. „Byłeś – odpowiada mama – ale cię oddali”.

Policzymy się z wami



Krzysztof Feusette

Giertych: To co, liczymy?

Gortat: Łan, tu, fri...

Tusk: Prrr, szalony! To się robi inaczej. Panowie, policzmy głosy...

Giertych: Jak pan premier tak mówi, to radzę pamiętać, że Szalony Koń był wodzem Indian...

Szczerba: A nie Gandhi?

Giertych: To w Indiach. A tam byli Siuksowie! I prawie wygrali z białymi!

Tusk: Tobie nawet biali już się nie podobają? Tobie? Z Młodzieży Wszechpolskiej?

Giertych: Chodzi mi o wodzostwo. Bo to jest powstanie.

Tusk: Jak coś z tego powstanie, to ci powiem. Siodłać konia?

Giertych: Dziękuję, postoję. Liczymy?

Szczerba: Ja tam liczę na prezydenta stolicy.

Tusk: W jakim sensie? Że Rafał też będzie chciał przelicznąć?

Szczerba: No nie. Że my przeliczymy, on do pałacu prezydenckiego, a ja do ratusza. Rozwiesiłem już nawet plakaty: „Warszawa wybiera Europę!”...

Tusk: Jelope? To jest feminatyw od czego? Umiesz liczyć, licz na siebie. Przeliczyliście się, „Przerwa”, i tyle.

Szczerba: Szczerba.

Tusk: Patrzcie, jak fika. Na granicy też byleś taki mądry?

Giertych: Liczymy?

Bodnar: Ale na co?

Giertych: No ja liczę na to, że pan minister tym się zajmie.

Bodnar: Aha. Czyli mam zamknąć 300 tys. członków komisji?

Szczerba: Czemu 300? Przewaga Nawrockiego wynosiła 360 tys., więc wystarczy przesytać 180 tys. Lubnauer policzyła to na palcach.

Bodnar: Nie o tym rozmawiamy. Chodzi o liczbę członków komisji. Mogę ich pozamykać, tylko czy to będzie zgodne z prawem tak, jak my je rozumiemy?

Giertych: Nie trzeba zamykać. Może ktoś ma chorą matkę albo dziecko?

Tusk: Panowie, że zacytuję klasyków, ojczyzna znalazła się nad przepaścią, chwała nam i naszym kolegom, j...bać PiS, a polskość to nienormalność. Liczymy.

Giertych: No więc tak. Zbadano 10 komisji z 13, w których były nieprawidłowości. I w tych 10 było 7 takich, że Rafał dostał za mało...

Tusk: W sensie, że za słabo oberwał?

Giertych: Nie! Że oddali jego głosy Nawrockiemu! To teraz: jak mamy 30 tys. komisji i w 13 z nich są nieprawidłowości, to jak w 10 z nich znajdziemy fałszerstwo, ile to będzie w skali kraju?

Gortat: To będzie, czekaj, policzę ci w pamięci... Siedem razy dziewięć to jest...

Dajcie kartkę... Ma ktoś telefon? Do bra, mnie nie pytajcie...

Giertych: Spokojnie, to proste. Trzeba pomnożyć. Jeśli 70 proc. komisji ma fałszywe wyniki, to wychodzi 21 tys. komisji, w których należy policzyć głosy jeszcze raz.

Gortat: To będzie pierwiastek z tego, no...

Tusk: Tylko jak udowodnić, że sfalszowali za naszych rządów?

Giertych: Tu akurat mam naukowca. Stworzył fajny algorytm, że jakby coś tam przez coś tam, to Rafał powinien wygrać o jakieś 200–400 tys.!

Tusk: Czemu tego nie nagłaśniamy?

Giertych: Nagłaśniamy! Tylko że on sam też nagłośnił, iż mierzył tylko w jedną stronę...

Tusk: A czemu?

Giertych: Mówi, że nie miał czasu.

Szczerba: Bystry gość.

Tusk: Jak Szczerba w toalecie. A ludzie?

Giertych: Ludzie w to nie wierzą. Natomiast sinych w kupie chyba przekonał.

Tusk: Cudownie.

Giertych: Gorzej, że znalazł się facet – i tu jednak mój wielki żal do kolegi Bodnara, że tacy ludzie swobodnie palętają się po mediach społecznościowych – który stwierdził, że na podstawie takiego samego algorytmu, ale przy liczeniu w obie strony, Rafał miałby mniej o 13 tys. głosów.

Szczerba: Czyli że ja nie mam co liczyć na ten ratusz?

Tusk: Przerwa!

Gortat: Nareszcie. Już mnie głowa boli.

Tusk: „Przerwa” to przezwisko kolegi Szczerby, bo na komisji śledczej wszystkim przerywał. A ty, „Brzozo”, się nie wtrącaj.

Gortat: Czemu „Brzozo”? Że pancerny?

Tusk: Że jak koza. Mierzyliscie się już z kolegą „Koniem”?

Giertych: Tylko wzrokiem. Szczerze mówiąc, zaprosiłem pana Gortata po jego deklaracji, że nie miał problemów z matematyką. Potrzebujemy znanych twarzy do tej kampanii. To musi być

pospolite liczenie. Wór za worem...

Tusk: A na końcu znowu ty do wora, a wór do jeziora? Tylko po co? I tak wygrał Nawrocki.

Szczerba: K..., wiedziałem!

Bodnar: Mogę go aresztować. Za kawalerkę i za snusa. A ja za kieckę. Moi ludzie są gotowi.

Giertych: Twoi ludzie to miękkie faje.

Bodnar: Koń by się uśmiał.

Giertych: Chcesz w dziób?

Tusk: Panowie, policzmy...

Gortat: Dziesięć, dziewięć, osiem... co jest po „siedem”? Cztery... za trzy... za dwa... osobisty...

Szczerba: Człowieku, my tu nie wysyłamy niczego w kosmos. A swoją drogą, czemu pan premier nie poleciał?

Tusk: Nie chciałem. 12 Niemców już było, więc w Europie i tak nikt by nie zauważył. Za to koń nigdy nie leciał. Sprawdzałem, małpa była...

Szczerba: W sensie że Murański?

Tusk: Sam jesteś Murański. To co, może byś Roman poleciał przy następnej okazji? Ludzie by mówili: „Jaki był, taki był, ale to był Pegaz”...

Giertych: Nie mam mowy. W kosmos to „Koń”, ale nie „Konia”. A co z tą rekonstrukcją rządu, panie premierze?

Tusk: Ty nie bądź taki ogier. Ogier tych się znalazł. Coś ci znajdzie. Nie wiesz, że nie zmienia się koni podczas przeprawy?!

Szczerba: Przez co?

Tusk: Przez g...!

Plan Domańskiego

*Rząd chyba poczuł się
zaatakowany pomysłem
realizacji własnego
programu wyborczego
przez nowego prezydenta*

Gdzieś w gmachu Ministerstwa Finansów, wśród dźwięków przesuwanych segregatorów i zapachu budżetowego potu, powstaje plan. A gdy już powstanie, „zostanie przedstawiony premierowi”. Tak przynajmniej od półtora roku zapowiada Andrzej Domański. Plan ma dotyczyć sztandarowej obietnicy KO z 2023 r., czyli podniesienia kwoty wolnej w PIT z 30 tys. zł do 60 tys. zł. A minister Domański jest niezłomny w swych obietnicach.

W rozmowie z „Newsweekiem” w sierpniu 2024 r. zapewniał: „Zostałem zobowiązany przez premiera, żeby przedstawić plan wejścia tego projektu w życie i go przedstawić. Koszt tego rozwiązania zmieniać się będzie w zależności od roku, w którym będziemy je wprowadzać”. W lutym 2025 r. w Rozmowie Piaseckiego w TVN24 minister potwierdził aktualność postulatu, zapowiadając przekazanie planu premierowi: „Postulat wyborczy odnośnie do kwoty wolnej od podatku w wysokości 60 tys. zł pozostaje aktualny. Ja panu premierowi przedstawię plan realizacji tego zobowiązania. Ten plan zostanie zrealizowany. Chciałbym, aby stało się to jak najszybciej, w trakcie tej kadencji”. W marcu 2025 r. Domański wciąż pracował nad planem. „Do końca 2027 r. zostanie zrealizowana obietnica kwoty wolnej od podatku 60 tys. zł. Taki jest plan. Chciałbym, żeby było to nawet wcześniej. Najpierw przedstawię rozwiązania premierowi” – mówił w radiu RMF.

A to tylko niektóre wypowiedzi ministra, w których ten zapowiada przygotowanie planu i przedstawienie go premierowi. Choć nie dziś. I nie jutro. Ale na pewno „w tej kadencji”. W międzyczasie budżet się nie dopina, deficyt się pogłębia, a jedyne, co rośnie szybciej niż inflacja, to liczba wystąpień ministra Domańskiego o „zobowiązaniu do przedstawienia planu”. Już niebawem przedstawi plan premierowi. Potem premier być może spojrzy na plan, może go nawet przeczyta (jeśli go dostanie), a wtedy... No cóż, wtedy minister przedstawi plan ponownie. Może inny, lepiej dopracowany.

Jedno jest pewne: kwota wolna jest już niemal wolna. Wolna od kon-

krétów, wolna od terminów, wolna od budżetu. Ale za to zniewolona przez retorykę.

Gorzej, że przyjęty ponad rok temu przez rząd Wieloletni Plan Finansowy Państwa nie mówi nic o realizacji najgłośniejszej obietnicy KO. Jeszcze gorzej (dla poszukiwa-

czy planu), że prezydent elekt deklaruje: „Rząd może liczyć, że podpiszę ustawę wprowadzającą kwotę wolną od podatku na poziomie 60 tys. zł rocznie. Powiem więcej: jeśli takiej ustawy w najbliższym czasie Sejm nie przyjmie, skorzystam z inicjatywy ustawodawczej” – powiedział w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” Karol Nawrocki.

Gabinet chyba poczuł się zaatakowany pomysłem realizacji własnego programu wyborczego, skoro Aleksandra Gajewska uznała, że to „rzucanie rządowi kłód pod nogi”. W TVN24 Janusz Lewandowski uznał, iż rząd powinien ubiec prezydenta w realizowaniu własnych obietnic.

Przecież minister Domański szykuje plan i już niedługo go przedstawi. Kiedyś. Po rekonstrukcji, w kolejnym roku budżetowym, po świętach, po wielkim deszczu lub wielkiej suszy. A tu – szok, niedowierzanie, ktoś chce tę obietnicę zrealizować szybciej! Bez pytania! I to jeszcze nowo wybrany prezydent! To tak jakby sąsiad wyrzucił za ciebie śmieci, a ty wpadłeś w furję, że naruszył twój harmonogram sprzątania. Bo jak Sejm ma teraz przyjąć coś, co Tusk sam obiecał, ale planu nie przyniósł Andrzej Domański, tylko Karol Nawrocki? „No dobrze, to był nasz pomysł, ale przecież nie po to się obiecuje, żeby ktoś to potem realizował!” – można sobie wyobrazić głosy z zaplecza rządu. „To nasz postulat, nasz plan, nasza obietnica!” – mógłby zakrzyknąć premier Tusk. „Ale nie możemy przecież przyjąć go z rąk prezydenta. To by wyglądało... jak kompromis!”. Być może szef rządu z ministrem finansów stwierdzą, że projekt Nawrockiego został sfałszowany, a wyliczenia skręcone. Szkoda, że Sejm nie może wysłać projektu do TK, bo po pierwsze, nie uznaje go, a po drugie, nie ma takiej możliwości.

A tak pięknie by było, gdyby jakiś trybunał (choćby TSUE) badał projekt aż do 2027 r. Kto to widział, żeby realizować obietnice przedwyborcze?! Przecież dwa razy obiecać, to jak raz dać.

Dorota Losiewicz





 **Włochy**

Wenecja nie chce ślubu

Czytaj więcej na str. 50

Slub miliardera Jeffa Bezosa i jego partnerki Lauren Sánchez wywołał w Wenecji falę protestów. Najpierw miejscy aktywiści zajęli dzwonnice kościoła St. Giorgio, na której wywiesili wielki transparent przeciwko ślubowi, a potem olbrzymie plakaty pojawiły się na placu św. Marka i moście Rialto. W wielu punktach miasta zawisły też banery z hasłem: „Wenecja nie jest na sprzedaż”, przedstawiające Bezosa na tle zmodyfikowanego logo Amazona.

Protestujący podkreślają, że ich rodzinne miasto stało się placem zabaw dla superbogaczy, podczas gdy jego mieszkańcom doskwiera drożyzna i tłumy turystów. Twierdzą, że nie zamierzają „zbierać okruszków, które spadają ze stołu miliardera”. Miejscowych zaniepokoiły też doniesienia, że na pobliskim lotnisku ma wylądować 90 prywatnych odrzutowców, a w lagunie będą kotwiczyć jachty najbogatszych gości uroczystości, w tym 127-m Koru należący do właściciela Amazona. Po mieście krążyły pogłoski – ostatecznie niepotwierdzone – o wynajęciu przez Bezosa wszystkich dostępnych gondol dla weselników. Ostatecznie okazało się, że zarezerwowano ich zaledwie 50 na potrzeby celebrytów w rodzaju Lady Gagi, Barbry Streisand,

Leonarda DiCaprio, Oprah Winfrey, Ivanki Trump oraz sióstr Kardashian, które będą gośćmi uroczystości.

W przeciwieństwie do demonstrowanych władze miejskie podkreślają korzyści związane ze ślubem, który ma przynieść Wenecji co najmniej 30 mln dol. zysku. Większość usług i produktów Bezos kupił na miejscu i poprosił swoich gości, aby ci zamiast prezentów wpłacali pieniądze na konsorcjum naukowe Corilla, które prowadzi badania nad systemem lagun. Te gesty jednak nie przekonują krytyków, którzy uważają, że Bezos pomylił Wenecję z Las Vegas. Protesty są też przejawem innego zjawiska, które od pewnego czasu narasta w wielu turystycznych ośrodkach Europy. Mieszkańcy Wenecji, Barcelony czy Balearów są już zmęczeni masową turystyką, z którą wiąże się lokalna drożyzna i przestępczość, bo wzmożony napływ ludzi przyciąga też świat kryminalny. O ile koszty zwiększonego ruchu turystycznego ponoszą wszyscy, o tyle korzyści przypadają nielicznym, przede wszystkim właścicielom nieruchomości, sieciom hotelowym oraz właścicielom restauracji. Miejscowi coraz częściej mają tego dość.

Marek Budzisz

 **Szwecja**

Nadzieja dla zaszczepionych

Nowy specyfik pod nazwą Oveporexton ma przynieść nadzieję wszystkim cierpiącym na narkolepsję, a więc nadmierną i uciążliwą senność. Kliniczne testy leku przyniosły pacjentom poprawę już po ośmiu tygodniach stosowania. Szczególnie ważny jest on dla tych, którzy zachorowali w wyniku przyjęcia szczepionki Pandemrix przeciwko świńskiej grypie, którą w latach 2009–2010 zalecano w Szwecji.

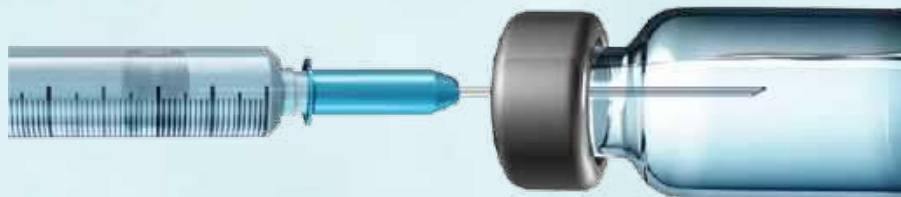
Anne-Marie Landtblom, profesor neurologii na Uniwersytecie w Uppsali, poinformowała, że jeśli pozytywne wyniki się potwierdzą, lek zostanie zatwierdzony do użytku. Środek powoduje wydłużenie czasu zasypiania, pacjent jest go bardziej świadomy, a sen, w który zapada – nieco bardziej czujny. Redukuje też poczucie zmęczenia i ospałości w ciągu dnia, a także zmniejsza częstotliwość występowania u chorych ataków katapleksji polegających na nagłym paraliżu w przypadku

wystąpienia u nich silnych emocji, np. śmiechu. Testy nowego leku objęły łącznie 112 pacjentów. Rozpoczęto również program trzeciej fazy badań, którego wyniki są spodziewane jeszcze w tym roku.

Narkolepsja to choroba nieuleczalna, polegająca na uciążliwym zaburzeniu snu. Wywołuje też uciążliwe koszmary senne oraz ataki senności, a u dzieci często wiąże się z katapleksją, czyli nagłą utratą napięcia mięśniowego. Przyczyny korelacji między szczepieniem i chorobą pozostawały nie do końca niewyjaśnione. Producent szcze-

pionki GlaxoSmithKline przyjął hipotezę, że chorobę wywołuje zakażenie wirusem świńskiej grypy. W Szwecji jednak uznano – po opublikowaniu wyników badań przez tamtejszą agencję leków – że istnieje związek pomiędzy stosowaniem szczepionki a narkolepsją. Także fiński Narodowy Instytut Zdrowia przeprowadził badanie, które ujawniło, że u dzieci szczepionych preparatem względne ryzyko pojawienia się narkolepsji wyniosło ok. 13 proc. W 2016 r. szwedzki parlament zatwierdził ustawę, na mocy której państwo wypłaciło odszkodowania kilkuset osobom, które zachorowały na narkolepsję po podaniu im szczepionki. Podobne decyzje zapadły także w Niemczech, Finlandii i Wielkiej Brytanii.

Maciej Walaszczyk





Fot. Shutterstock

Spór o świątynie

Kambodża spiera się z Tajlandią o własne dziedzictwo historyczne. Konflikt toczy się wokół trzech świątyni hinduskich, o które stoczono już kilka potyczek zbrojnych. Emocje budzi także najsłynniejszy symbol Kambodży – Angkor Wat.

Punkt zapalny znajduje się w Chong Bok – na niewielkim obszarze, gdzie zbiegają się granice Kambodży z Tajlandią i Laosem. Są tam trzy starożytne świątynie, z których najsłynniejsza jest Preah Vihear pochodząca z XI w. Korzenie sporu o te tereny sięgają 1953 r. Francuzi u schyłku swojego panowania w Indochinach wytyczyli wtedy północną granicę Kambodży, co wzbudziło protesty w sąsiedniej Tajlandii. Po ich wycofaniu się w 1954 r. wojska tajskie zajęły sporny obszar i choć międzynarodowe sądy dwukrotnie orzekły, że trzy świątynie należą do Kambodży, władzom tego państwa nie udało się odzyskać nad nimi kontroli. Wszelkie takie próby kończyły się zwykle wymianą ognia. W największym starciu, do którego doszło w 2011 r., po obu stronach zginęło 28 osób. Ostatnią potyczkę stoczono w maju br. Kosztowała ona życie jednego kambodżańskiego żołnierza.

Graniczny spór ma jednak znaczenie szerszy wymiar. Tajowie kwestionują bowiem historyczne prawa Kambodży do położonego w głębi kraju kompleksu Angkor Wat, który jest największym zabytkiem religij-

nym na świecie i zarazem symbolem Kambodży widniejącym na jej fladze państwowej. Pod koniec XIX w. król Syjamu (obecnej Tajlandii) Rama IV próbował rozebrać świątynię w Angkorze i odbudować ją w Bangkoku, lecz plan się nie powiódł, ponieważ jego wojska wpadły w zasadzkę. Ostatecznie w pałacu królewskim w Bangkoku zbudowano znacznie mniejszy model słynnej świątyni. Niedawno Tajowie rozpoczęli budowę kompleksu świątynnego Si-hankhon na północnym wschodzie kraju, który według Kambodży jest kopią Angkor Wat i kradzieżą jej dziedzictwa historycznego. Wcześniej dochodziło już do zamieszek na tym tle, gdy w 2003 r. jeden z tajskich aktorów miał proponować zajęcie Angkor Wat przez Tajlandię.

Na razie Kambodża i Tajlandia wymieniają się sankcjami. Kambodża wstrzymała import warzyw i owoców z Tajlandii oraz zakazała wyświetlania tajskich filmów. Nałożono też restrykcje na tajskie strony internetowe i zamknięto jeden z posterunków granicznych. W odpowiedzi Tajlandia nałożyła ograniczenia wjazdu dla obywateli Kambodży, nie ma też mowy, aby uznała przebieg granicy wyznaczony kiedyś przez francuskie władze kolonialne. Konflikt się tli.

**Konrad
Kołodziejski**

Rosja

Nowa arystokracja

W Rosji co jakiś czas pojawia się hasło, że nadeszła pora na wymianę pokoleniową w elitach władzy i potrzebny jest dopływ świeżej krwi, a starych polityków powinna zastąpić młodzież. Okazją do zaprezentowania „młodych twarzy” stało się niedawne Międzynarodowe Forum Ekonomiczne w Petersburgu.

Wystąpiła na nim m.in. Maria Woroncowa, najstarsza córka Putina, która mówiła o „suwerenności technologiczną” Rosji. Inna z córek Putina, Katierina Tichonowa, wygłosiła z kolei wykład o „repatriacji technologicznej”, czyli o powrocie do kraju wielu ekspertów z branży IT, którzy wyjechali za granicę po wybuchu inwazji na Ukrainę. Udział w wydarzeniu wzięła również córka ciotecznego brata Putina Anna Cywilowa, zarządzająca rynkiem odzieżowym dla żołnierzy i osób niepełnosprawnych. O rozwoju sektora turystycznego i współpracy ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi mówiła natomiast Ksenia Szojgu, córka sekretarza Rady Bezpieczeństwa Narodowego Rosji i byłego wieloletniego ministra obrony. Perspektywy rozwoju platform cyfrowych w „runecie” (rosyjskim internecie) ocenił z kolei Stiepan Kowalczyk, siostrzeniec bliskiego przyjaciela Putina Michaiła Kowalczyka. Oczywiście nie mogło zabraknąć Kseni Sobczak, córki byłego mera Petersburga zwanego „ojcem chrzestnym Putina”. Na sali widziano także synów Siergieja Kirijenki (pierwszego zastępcy szefa administracji prezydenta), Antona Wajny (drugiego zastępcy szefa administracji prezydenta), Jurija Kowalczyka (prezesa Banku Rosja), Michaiła Fradkowa (szefa Rosyjskiego Instytutu Studiów Strategicznych) i Arkadija Rotenberga (oligarchy, miliardera i przyjaciela Putina).

Komentatorzy zadają pytanie, czy ta parada kremlo-wskiej progenitury nie jest znakiem swoistej dynastycznej sukcesji w obozie władzy. W końcu, jak mawiał były szef FSB gen. Nikołaj Patruszew, oficerowie bezpieczeństwa to dziś nowa rosyjska arystokracja.

**Grzegorz
Górny**



Fot. Maria Moskvitsova/Shutterstock.com

Jak stracić gaz i godność – poradnik legislatora

Czytając projekt nowelizacji ustawy o zapasach gazu ziemnego, miałem wrażenie, że trzymam w ręku nie dokument legislacyjny, lecz podręcznik pt. „Jak strategicznie oddać własne bezpieczeństwo energetyczne, płacić za to podwójnie i jeszcze dziękować”. Napisany po polsku, ale jakby po niemiecku. Czyli uprzejmie, ale stanowczo wobec polskich interesów.

Zacznijmy od „opłaty gazowej”. To nowy wynalazek legislacyjny, który trafi wprost do rachunku przeciętnego Kowalskiego. Oficjalnie: opłata systemowa na fundusz zapasów strategicznych. Nieoficjalnie: ukryty paropodatek z gwarancją, że nikt nie wie, gdzie kończą się stare koszty, a zaczynają nowe. I jeśli ktoś sądzi, że rachunki za gaz staną się przejrzyste, to równie dobrze może uwierzyć, że ropa naftowa rośnie w doniczkę.

Ale przecież chodzi tu nie tylko o finanse – chodzi o strategię! A właściwie jej brak.

Projekt ustawy z dumą znosi obowiązek przechowywania zapasów gazu w Polsce. Odtąd można je trzymać za granicą – byle tylko „dało się je ściągnąć w 50 dni”. Ktoś tu najwyraźniej oglądał za dużo bajek o europejskiej solidarności i uwierzył, że w sytuacji kryzysu Niemcy otworzą swoje magazyny, rozwiną czerwony dywan i powiedzą: „Bitte schön, gaz dla Polaków, jak zawsze!”. Tak, jasne. A św. Mikołaj przywiezie LNG saniami przez Bałtyk.

Na marginesie: Niemcy w tym czasie powiększają magazyny, kontraktują LNG, budują terminale pływające i kładą rury szybciej, niż my dyskutujemy w komisji sejmowej. Polska natomiast wdraża dyrektywy z zapalem ucznia, który nie rozumie zadania, ale bardzo chce się przypodobać nauczycielowi. „Dyrektywa mówi – dyrektywa święta” – i żadnego „ale”, żadnych narodowych gwarancji. Więc wdrażamy. Bez refleksji. Bez własnych warunków. Bez sensu.

Co więcej, z projektu jak kamfora zniknęły przepisy o rozbudowie polskich magazynów. Wierzchowice? Kosakowo?



*Drodzy posłowie,
czy naprawdę jesteście
przekonani, że nasz gaz
ma stać w niemieckim
magazynie, a polskie
firmy mają walczyć
o przetrwanie
z regulacjami własnego
państwa?*

Mogilno? Cicho sza. Kto by tam myślał o zwiększaniu krajowych mocy magazynowych, skoro można wysłać gaz na wycieczkę za Odrę i modlić się, że wróci.

Szczególną wdzięczność należy wyrazić wobec milczącej postawy zarządu ORLEN. Bo przecież nikt tak dobrze jak oni nie zna realiów rynku gazowego, kosztów utrzymania magazynów i ryzyk importowych. A jednak – cisza. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: polityka. Lepiej nie wychylać się z merytoryką, kiedy linia partii płynie w przeciwnym kierunku. Bo potem ani stanowiska, ani fotela, ani rady nadzorczej.

Tymczasem to właśnie ORLEN, jako właściciel kluczowych magazynów poniesie realne koszty i ryzyka tej legislacyjnej fantasmagorii. A może i coś więcej – bo jeśli magazyny nie będą rozbudowywane, to w dłuższej perspektywie będą mniej potrzebne. A jak coś jest niepotrzebne, to znaczy, że można to... sprzedać? Sprywatyzować? Zamknąć? Oczywiście w imię „europejskiej integracji rynku gazowego”.

Nie zapominajmy też o przemyśle – zwłaszcza chemicznym i nawozowym. Dla nich koszty gazu to nie tylko linia w Excelu, lecz także kwestia być albo nie być. Jeśli będą zmuszeni konkurować z niemieckimi importerami, którzy nie ponoszą kosztów magazynowania w Polsce, to mogą równie dobrze zacząć pisać CV – najlepiej po niemiecku.

A może właśnie o to chodzi? Może ta ustawa to po prostu polityczna deklaracja:

„Nie chcemy być energetycznie niezależni, wolimy być lojalnymi odbiorcami i płatnikami”.

Na koniec pytanie do państwa, drodzy posłowie – czy naprawdę jesteście przekonani, że to jest kierunek, w którym powinna iść Polska? Że nasz gaz ma stać w niemieckim magazynie, a polskie firmy mają walczyć o przetrwanie z regulacjami własnego państwa?

Bo jeśli tak, to przyda się kolejna ustawa. O likwidacji złudzeń.

Daniel Obajtek

Coraz większe wpływy Pekinu?



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

W czerwcu br. w Astanie, stolicy Kazachstanu, odbył się drugi szczyt Chin–Azja Środkowa. Prezydenci Chin, Kazachstanu Kirgistanu, Tadżykistanu, Turkmenistanu i Uzbekistanu podpisali traktat o stałym, dobrym sąsiedztwie oraz przyjaznej współpracy. Według rzecznika chińskiego MSZ spotkanie otwiera nową przestrzeń do współpracy Pasa i Szlaku (BRI) ora i budowania jeszcze bliższych relacji Chin i Azji Środkowej.

Współpraca w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku zwiększyła handel i podróże w regionie. W 2024 r. handel Chin z Azją Środkową osiągnął rekordową kwotę 94,8 mld dol. Obecnie Chiny są głównym partnerem handlowym Azji Środkowej i głównym źródłem inwestycji.

Przypomnijmy – Inicjatywa Pasa i Szlaku (BRI), utworzona w 2013 r., to międzynarodowa płaszczyzna rozwoju wspierana przez Komunistyczną Partię Chin i obejmująca ponad 150 państw, m.in. z Azji Środkowej, Bliskiego Wschodu i Afryki oraz kilkanaście państw europejskich, w tym Polskę. Inicjatywa została stworzona z zamiarem zwiększenia globalnego wpływu Chin poprzez strategiczne inwestycje infrastrukturalne. Stanowiła także odpowiedź na zapotrzebowanie krajów rozwijających się na drogi, koleje, porty i inną kluczową infrastrukturę. Pekin pozostaje największym importerem ropy naftowej na świecie, co sprawia, że Bliski Wschód i Afryka Północna są dla niego niezaprzeczalnymi partnerami gospodarczymi. Chińska technologia ma kluczowe znaczenie dla planów rozwoju państw bliskowschodnich i północnoafrykańskich, w tym Narodowej Wizji 2030 Arabii Saudyjskiej. W 2024 r. Bliski Wschód był największym beneficjentem kontraktów budowlanych i inwestycyjnych zawartych w ramach BRI, a ich łączna wartość osiągnęła 39 mld dol.

W ostatnich tygodniach do Inicjatywy Pasa i Szlaku dołączyła Kolumbia. Kraje borykające się z problemami gospodarczymi i infrastrukturalnymi akceptują miliardowe oferty Komunistycznej Partii Chin, mimo że w projektach BRI koszty obsługi długu są dla tamtejszych gospodarek trudne lub wręcz niemożliwe do udźwignięcia. Tak się dzieje zwłaszcza w państwach afrykańskich. W 2023 r. dług Kenii wobec Chin wynosił 8 mld dol. Afryka jest kluczowym regionem Inicjatywy Pasa i Szlaku, w którym w latach 2013–2023 chińskie firmy zawarły kontrakty o wartości ponad 700 mld dol. Warto pamiętać, że ten kontynent jest ważny dla Chin nie tylko ze względu na interesy gospodarcze, lecz także z powodu siły jego głosów w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ.

W ostatnich latach gospodarka Chin urosła do dwóch trzecich wielkości amerykańskiej. BRI jeszcze bardziej przyspiesza trajektorię gospodarczą tego kraju. Inicjatywa Pasa i Szlaku ma potencjał zwiększenia chińskiego PKB o dodatkowe 7,1 bln dol. do 2040 r.

Korea Południowa jest stosunkowo zamożna i stosunkowo duża, należy do klubu państw demokratycznych, z PKB na osobę przekraczającym 30 tys. dol. i populacją większą niż 50 mln obywateli. Sukces i skokowy awans tego kraju to zasługa ciężkiej pracy narodu sprzężonej z wieloletnim sojuszem z USA. Rosnące od kilku lat zagrożenie nuklearne, które nie ma precedensu od czasów wczesnej

zimnej wojny, dało w Korei Południowej impuls do dyskusji o konieczności uzbrojenia Seulu w broń jądrową w ramach tzw. nuclear sharing – współużytkowania na podobnych zasadach jak pomiędzy USA a kilkoma państwami NATO.

W Chinach słychać obawy dotyczące możliwości trójstronnej współpracy między Stanami, Koreą Południową i Japonią, która w opinii Pekinu może się przekształcić w „azjatyckie NATO”.

Rozważania na temat wdrożenia w Korei Południowej nuclear sharing zbiegły się w czasie z gwałtownym kryzysem politycznym, który na początku czerwca br. doprowadził do objęcia pełni władzy w tym kraju przez przedstawicieli Partii Demokratycznej. Ta ostatnia niejednokrotnie wyrażała zaniepokojenie nadmierną zależnością Seulu od Waszyngtonu i snuła plany odnowienia więzi gospodarczych z Pekinem oraz wznowienia pokojowych rozmów o zjednoczeniu z Koreą Północną. Zdaniem komentatorów nowy prezydent Lee zachowa istniejące sojusze. Jeżeli to jednak tylko prasowe dywagacje, istnieje prawdopodobieństwo, że Chiny są właśnie w trakcie zyskiwania kolejnego strategicznego przyczółku na mapie świata.

REKLAMA



**Radio 106.2
Warszawa**
zobacz stację

Poranek z Radiem Warszawa
"Budzimy stolicę i okolicę"

Jarosław Wydra, Weronika Ostrowska
i Janusz Zalewski
poniedziałek - piątek,
godz. 7.00-10.00

18/0525/F

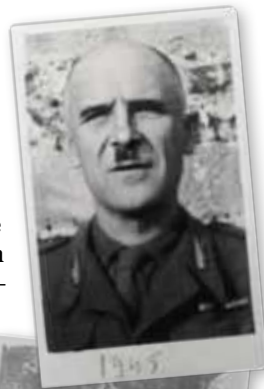


Walizka

Leszka Czajkowskiego

działacza opozycji antykomunistycznej, barda, poety, kompozytora, publicysty

Idę przez życie z plecakiem, bo artefaktów z mojego życia nie da się złożyć w kosteczkę jak w walizce. Urodziłem się w 1967 r. i od szczenięcych lat pasjonowałem się polityką i historią, a dzięki tradycjom rodzinnym miałem poglądy antysowieckie i antykomunistyczne. Mój dziadek Julian Piwkowski brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej jako ułan, potem był oficerem policji na Kresach Wschodnich, w czasie wojny był uwięziony w sowieckim obozie w Kozielsku, a potem przeszedł cały szlak z Andersem jako oficer szyfrów. Wrócił do Polski dopiero w połowie lat 70. Całe życie walczył z komunistami, więc urabiał mnie politycznie. W domu codziennie słuchało się Wolnej Europy na falach krótkich i Głosu Ameryki na falach średnich. Sam umiałem je wyszukać, więc byłem uświadomiony już za czasów Gierka. Od 1980 r. chodziłem na nielegalne demonstracje, zwłaszcza organizowane przez Konfederację Polski Niepodległej. Moja mama Teresa Czajkowska jeszcze mnie do tego zachęcała. Sama też chodziła. Wtedy zacząłem się uczyć grać na gitarze, by z komuną walczyć piosenką, tak jak mój absolutny idol Jacek Kaczmarski. Pierwszą piosenką, której próbowałem się nauczyć, była „Oblawa”. Ambitnie.



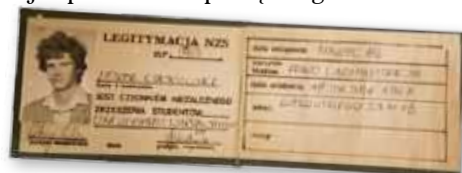
ŚP. EMIL

W warszawskim liceum im. Mikołaja Reja poznałem Emila Barchańskiego, który wciągnął mnie do uczniowskiej konspiracji oraz zachęcał do pisania i komponowania. Tworzyliśmy razem antykomunistyczne pismo „Kabel” i kabaret „Wywrotowiec”. Emil został zamordowany 3 czerwca 1982 r., w moje imieniny. Od tamtej tragedii nie obchodzę tego jubileuszu.

LEGITYMACJA NZS

Do Niezależnego Zrzeszenia Studentów formalnie wstąpiłem 8 marca 1988 r. Symboliczna data. Tego dnia była ostra zadyma po wieczornej mszy w kościele św. Anny. Studenci usiłowali podejść pod pomnik Mickiewicza, gdzie napadła ich milicja z pałkami i rozpoczęła regularne bicie.

Uciekaliśmy ul. Bednarską. Nie wszystkim się udało.





ULOTKA

Program „Świat płonął wojną – ONI miłością” powstał po tym, jak Basia otrzymała wielce prestiżową nagrodę Srebrnego Bohaterona. Jest to opowieść o młodych ludziach, którzy brali udział w Powstaniu Warszawskim – ich nadziejach, uczuciach, lękach, woli walki i gotowości na śmierć. Byli tacy młodzi...

GITARA DWUNASTKA

Gram na różnych gitarach, ale najbardziej lubię dwunastrunowego akustyka, którego pożycza mi Basia, bo sama woli klasyka z nylonowymi strunami. Instrument ma głęboki, szlachetny dźwięk, a im piękniejsze brzmienie, tym bardziej zainteresowany słuchacz. Jak cię słyszą – tak cię piszą.



JA Z KLASĄ

Od konspiratora do edukatora. Dziś stoję przed uczniami w szkole jako świadek historii. Oni mają mniej więcej tyle lat co ja w czasach PRL. Czy czują i starają się zrozumieć świat tak samo jak ja wtedy? Mam nadzieję.



BASIA I LESZEK

Od kilku lat pracuję z Barbarą Tuzel Górczewską, historykiem i pedagogiem. Przygotowujemy programy poetycko-muzyczne o ważnych wydarzeniach

i wielkich postaciach z naszej historii najnowszej. W osobnych programach opowiadamy o Powstańcach Warszawskich, rtm. Pileckim, o bł. ks. Jerzym Popiełuszcze. Opowiadamy o naszych bohaterach.



ODZNACZENIE

Za naszą opowieść o Powstańcach Warszawskich zostaliśmy odznaczeni medalem Dumni z Powstańców. Jestem starym chłopem, a wzruszyłem się. Odznaczenie przyznał Komitet Społeczny „Dumni z Powstańców” ds. obchodów 80. rocznicy Powstania Warszawskiego.

KUBRACZEK I BEJSBOLÓWKA

Gdy jadę na koncert, obowiązkowo mam w plecaku czapkę bejsbolówkę z daszkiem i pikowany kubraczek. Nie lubię moknąć ani marznąć. Wiem, że najważniejsze jest mieć gorące polskie serce. Ale przecież można pogodzić – zwłaszcza w plecaku – ciepłe ubranie z gorącym sercem.



KSIĄŻKA

„Żołnierze Wyklęci” – idę z nimi od 1995 r. Mówią, że gdy raz się zacznie z Niezlomnymi, to już nie wypuszczą. Potwierdzam. Niedawno powstał nasz program „PATRIOTA” o rtm. Witoldzie Pileckim. Tworząc opowieści poetycko-muzyczne, sięgamy do wielu publikacji.



Wysłuchał Michał Korsun

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Liga niepolskich rodzin

Witam w astronomicznym lecie, w środku nieprzyjemnej awantury o wynik wyborów. Nie lekceważmy jej. To nie jest burza w szklance wody – to gra o wszystko, dlatego wszyscy jesteśmy wkręceni w tę drakę. Przez Giertycha i innych nygusów z Ligi Niepolskich Rodzin. Nie zwracając uwagi na ustawy, a także dobre obyczaje i doświadczenia z przeszłości, z chorobliwą pasją nie chcą oni dopuścić do inauguracji wybranego przed miesiącem naszego nowego prezydenta, Karola Nawrockiego. Z jakiego powodu? Bo on jest nasz, a oni nasi nie są. Niestety, niestety... To się wydalo.



**Jan
Pietrzak**

Pamiętam początki III RP i afektywne prognozy na temat „pokolenia wolnej Polski”, które pokaże peerelczykom, gdzie pieprz rośnie i raki zimują. W mainstreamowych mediach, tych samych co za komuny, rozbrzmiewały dziarskie pokrzykiwania w duchu uproszczonego liberalizmu. Co istotne, od początku suto wspierane potężnym zapleczem finansowym nieznanym dobroczyńców z zachodniej hemisfery. Dopiero po kolejnych zawirowaniach politycznych okazało się, że prawdziwym pokoleniem wolnej Polski są jednak ludzie Solidarności, wierni odwiecznym hasłom narodowej tożsamości. Obok nich kręciło i coraz bardziej kręci lody stado cwaniaków zajętych wyłącznie własnymi karierami i kasą, a nie polskimi

aspiracjom i nadziejami. Ten podział przetrwał do dziś i znacząco się pogłębił. Sytuacja jest dużo groźniejsza niż jeszcze 20 lat temu, bo zagraniczni sponsorzy żądają efektów. Inwestycja w liberałów musi się akumulować, tak jak inwestycja w beton.

Liga Niepolskich Rodzin, by jakoś usprawiedliwić swoją niemoc i nieudolność w okiełznaniu pogardzanego plebsu, sięga po sprawdzone przez dyktatorów metody podjudzania jednych na drugich, trzecich na czwartych, da capo al fine. Pojawiają się prowokatorzy, nikczemne hasła, podłe profanacje, byle tylko odwrócić uwagę od tego, co naprawdę jest tu grane! Wraca poręczna teoria o dwóch polskich plemionach, które nic, tylko od tysiąca lat się kłócą i ktoś je musi uśmierzać. Najsprawniej robią to Niemcy i Rosjanie. Z tego powodu kilka lat temu usunięto polskie garnizony ze wschodniej części kraju. Terytorium po zachodniej stronie Wisły przeznaczono oczywiście dla Niemców. Niektóre „nasze” samorządy pracują dla nich już dziś. Na początek zasiedlają tam forpocztę swoich cudzoziemców. A dla narodu polskiego mają codzienny festiwal kłamliwych obietnic, efektowne parady oszustów, turnieje łgarzy. Niekiedy puszczają im nerwy i dociera do nas mało wyrefinowany bluzg... Jak pisał poeta, „najbrzydsze wyrazy powtarzane po kilka razy”. Taka liga tu rządzi... Na razie...

Wojna nie skończyła się dla tych, którym odmówiono sprawiedliwości

W tym tygodniu w Parlamencie Europejskim wydarzyło się coś, co jeszcze niedawno wydawało się niemożliwe. Z mojej inicjatywy wspólnie z greckim europosem Emmanouilem Frangkosem otworzyliśmy wystawę poświęconą polskiemu i greckiemu stratom wojennym. To nie była tylko ekspozycja – to było wołanie o sprawiedliwość. Wołanie przez dekady zagłuszane w Europie milczeniem, obojętnością i polityczną poprawnością.

Polska i Grecja – dwa narody, które zapłaciły niewyobrażalną cenę za niemiecką agresję podczas II wojny światowej – wciąż czekają na zadośćuczynienie. Zburzone miasta, wymordowane rodziny, ograbiona kultura,

unicestwione dziedzictwo. Tymczasem Niemcy, które swój powojenny dobrobyt zbudowały na zgłiszczach naszych krajów, nigdy się nie rozliczyły z tych zbrodni. Ani moralnie, ani finansowo. Wygodnie o wszystkim zapomniały, a dziś także stawiają się w roli ofiar.

Dość. Europa nie może dłużej żyć w zakłamaniu.

Zorganizowaliśmy także bezprecedensowe wysłuchanie publiczne. Eksperci z Polski, Grecji i Włoch jednoznacznie pokazali: są legalne ścieżki, które mogą otworzyć drogę do odszkodowań. Problem w tym, że dziś Polacy nie mają nawet prawa, by wejść z pozwem do sądu. To hańba. Dla państwa prawa. Dla Unii Europejskiej,

która deklaruje sprawiedliwość, a jednocześnie pozwala, by ofiary największego konfliktu w historii były nadal ignorowane.

Jestem w Parlamencie Europejskim po to, by to zmienić. W imię prawdy. W imię tych, którym zabrano wszystko, i którym do dziś niczego nie oddano. Nie przywrócimy im życia, ale odmowa zadośćuczynienia to ponowne odebranie im godności.

Milczenie zostało przerwane. I nie pozwolimy, by znów zapadło.

Arkadiusz Mularczyk



Akt oskarżenia



**Samuel
Pereira**

Sprawa śmierci czteromiesięcznego Oskara i cierpienia jego matki Magdaleny W. to więcej niż rodzinna tragedia – to akt oskarżenia wobec całego państwa. Akt, który woła o pomstę do nieba. Używam tych słów nie przypadkowo, bo właśnie uciskanie ubogich, wdów i sierot znajduje się w katechizmie katolickim jako „grzech wołający o pomstę do nieba”.

Matka Oskarka, rozdzielona z dziećmi, trafiła za kratki za „oszustwo”. Jakie? Nawet nie wiadomo, ale została potraktowana jak terrorysta. Oprócz mamy dzieci miały kochającą babcię i prababcię, ale oddano je rodzinie zastępczej. Cztery dni później niemowlę zmarło. „Najtrudniejszy był pogrzeb” – powiedziała telewizji WPolsce24 mama Oskarka, gdy wychodziła z więzienia. „Podejmę kroki prawne, aby odzyskać moje dziecko i nie zostawię śmierci mojego syna bez odpowiedzi” – to deklaracja jej walki, ale wokół tego toczy się cięższa większa: z bezkarnością tej władzy.

To historia, która rozdziera serce i zmusza do pytania: gdzie był w tym wszystkim Donald Tusk, gdzie był Adam Bodnar?

Dlaczego najwyżsi urzędnicy państwowi siedzą dziś niczym słynne japońskie małpy: Mizaru, Kikazaru i Iwazaru? Zasłonięte oczy, uszy i usta pozwalają im udawać, że niczego nie widzą, niczego nie słyszą i niczego nie muszą powiedzieć. A przecież ten rząd, który tak głośno wołał o prawa kobiet, dziś daje dowody, że były one jedynie narzędziem kampanii, a nie prawdziwego zaangażowania.

Sprawa pani Magdy i jej dzieci jest kroplą, która przełamała czarę goryczy. To symbol niesprawiedliwości i pogardy wobec najsłabszych. Politycy, którzy pozwalają na takie tragedie, ponoszą moralny ciężar winy. Żadne milczenie i żadna zasłona nie ukryją faktu, że cierpienie matki i śmierć dziecka to akt oskarżenia wobec państwa, które miało chronić, a zamiast tego rozdzieliło i pograżyło w cierpieniu.

To sprawa, która woła o sprawiedliwość i rozliczenie – tu i teraz. Bo grzech wołający o pomstę do nieba nie może pozostać bez odpowiedzi. Nigdy więcej takiej tragedii. 

Od Zakopanego po Grudziądz

Z Robertem El Gendym, dziennikarzem, prezenterem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadźworna



Nie lubi pan słońca i chowa się w cieniu?

Robert El Gendy: Od zawsze, mimo że mój tata jest Egipcjaninem. Cieszy mnie ciepło, ale upały zdecydowanie nie. Czyli przynajmniej w połowie jestem Polakiem. A może nawet w całości, bo nie potrafię docenić, że jest piękna pogoda i jak typowy Polak znajdę powód, żeby ponarzekać.

W nowym plenerowym studiu „Pytania na Śniadanie” znalazło się kilka przyjaznych, zacienionych miejsc.

Mam wrażenie, że jak w świecie pasjonatów motoryzacji, którzy lubią podrasować swoje auta, nasze studio przeszło zmiany, które wyszły mu bardzo na korzyść.

Słyszałam, że w nadchodzące wakacje odwiedzi pan także inne plenerowe studia?

Razem z Latem z Radiem wyruszamy w połączoną wakacyjną trasę, by być bliżej naszych słuchaczy. W planie mamy odwiedzenie dziewięciu miejscowości. Zaczynamy 5 lipca w Zakopanem (w kolejne weekendy: Elbląg, Chorzów, Giżycko, Poddębice, Lublin, Mrozy, Tarnów i Grudziądz).

Cale lato spędzi pan w pracy?

Nie planuję wyjazdów w tym czasie, ale jestem spontaniczny, więc kto wie – może przytrafi się jakaś podróż poza służbowymi wyjazdami. Chciałbym np. zobaczyć Hiszpanię, bo lubię ten kraj, zwłaszcza wtedy, gdy gra Barcelona albo Real Madryt. Atmosfera meczów jest fantastyczna, południowe podejście do kibicowania najbardziej mi pasuje. Są śpiewy, nie ma antagonizmów, tylko rodzinna atmosfera. Mam nadzieję, że uda mi się jeszcze zaliczyć jakiś mecz w tym roku. 

TRENDY I OWĘDY

Kultura à la III RP

Kulturę można traktować wielorako. Nie ma ona precyzyjnej definicji, odczuwamy ją raczej intuicyjnie. Co jest kulturą, a co nią nie jest, w zasadzie określamy po latach. Piramidy zaliczamy do dorobku kulturalnego, widząc antyczną wazę z ornamentem zapaśników, chylimy czoło przed starożytnymi Grekami. Nawet jakieś niezdarne rysunki z jaskini też są sygnałem, że nasz praprzodek miał wyższe potrzeby.



Ryszard Makowski

Jako Polacy, mamy szczytny parnas. Rej, Kochanowski, trzech wieszczów, Matejko, Sienkiewicz, Reymont, Prus. Niegdyś twórcy szli w kierunku „pokrzepienia serc”.

Obecnie człowiek machinalnie rozgląda się i zastanawia, jakie wytwory III RP będą świadectwem naszej epoki. Niby są dwie noblistki w dziedzinie literatury. Powinna nas rozpierać duma. Ale jakoś nie rozpiera. III RP charakteryzuje się przymusem światopoglądowym. W instytucjach kultury rozparło się towarzystwo, które ma za zadanie wychować Polaków. Wychować na Europejczyków – wyzbytich ksenofobii, otwartych na różnorodność, rozkochanych w LGBT+. We wszelkich dziedzinach sztuki promowani są artyści użyteczni do indoktrynacji. Stypendium Ministerstwa Kultury przyznano na musical proaborcyjny.

Jednak przynębiającym symbolem naszych czasów może pozostać ministra kultury, stojąca pokornie w stroju dalekim od elegancji przed głazem rzuconym nieopodal Bundestagu w Berlinie. „Kamień Pamięci dla Polski 1939–1945”. Raczej kamień „ku poniżeniu serc”. Ale wiadomo – w III RP fraza „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz” uchodzi za niedopuszczalną i niekulturalną.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

NIELEGALNI IMIGRANCY UŁOKOWANI W SKIERNIEWICKIM DOMU DZIECKA W ZAMIAN ZA GOŚCINĘ ZAŻĄDALI POSZANOWANIA ICH ZASAD RELIGIJNYCH, A CO ZA TYM IDZIE ZMIANY SPOSOBU UBIERANIA SIĘ MIESZKAJĄCYCH TAM DZIEWCZĄT. W KOŃCU GOŚĆ W DOM, BÓG W DOM...



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNĄ, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK,

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ

UL. LEGIONÓW 126-128,

81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA, MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOREDACJA: ANNA ŁĄBĘCKA, ANIA.ŁĄBĘCKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:

TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)

PRENUMERATA@FRATRIA.PL

REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE

WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,

W TYTULE WPLATY WPIŚLAĆ PEŁNE DANE ADRESOWE DO

WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:

KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:

REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.

OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU

POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.

BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH

PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST

ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

* Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Trwa trzecia tura wyborów. Stawką jest przyszłość Polski

Gdy przyjrzymy się politycznym wydarzeniom w Polsce po ogłoszeniu wygranej Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich, zauważymy, że kiedy zwycięski obóz świętował, wśród przegranych już po kilku dniach zaczął się rozwijać ruch otwarcie kontestujący wynik wyborów. Tak oto normalny w demokracji czas powyborczy, wydawałoby się – rytualnych, oczywistych działań potwierdzających werdykt suwerena (ogłoszenie rezultatu, planowana na 1 lipca decyzja Sądu Najwyższego, zaprzysiężenie 6 sierpnia prezydenta elekta przed Zgromadzeniem Narodowym) zamienił się w dynamicznie rozkręcającą się trzecią turę walki o urząd prezydencki

Dużą część obozu rządowego podjęła próbę podważenia wiarygodności procesu wyborczego, wymuszenia ponownego przeliczenia (wpierw nielicznych wątpliwych, a później wszystkich) głosów, wreszcie – unieważnienia wyborów i obsadzenia (wpierw czasowo, a później na trwale) pałacu prezydenckiego przez „swojego” człowieka.



TOMASZ ŻUKOWSKI

Działania tego ruchu zadziwiająco przypominają metody „wyludzania na wnuczka”. „Wnuczkciem” są nasze prawa wyborcze, „spiskiem bankowców” – działania obwodowych komisji wyborczych i Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, a „fałszywym funkcjonariuszem (policjantem)” – twarze ruchu na rzecz



podważenia wyniku wyborów. Są nimi politycy łączący swą profesję z zawodem adwokata: mecenasi Giertych, Kalisz i Wawrykiewicz. We wcześniejszych fazach rozwoju znaczącą rolę odegrali także wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk oraz ciało zbiorowe: komitet wyborczy Rafała Trzaskowskiego. Ruch wspiera ważna część mediów: przede wszystkim rządowa TVP, media związane z Ringier Axel Springer (Onet, Fakt i „Newsweek”) oraz „Gazeta Wyborcza” (choć ujawniła się w niej, jak się później okazało, mniejszościowa frakcja z wicenaczelnią Aleksandrą Sobczak, uważającą, że co do zwycięstwa Karola Nawrockiego nie ma wątpliwości, a Roman Giertych jest internetowym trollem). Do niedawna w cieniu widać było „starych” liderów środowiska sędziowskiego, w tym prof. Marka Safjana.

„Triumwirat mecenasów” nie trwał długo. W sobotę 22 czerwca liderem i „trybunem ludu” ogłosił się poseł Giertych. O dynamice ruchu zaczął decydować krystalizujący się „drugi triumwirat” z mobilizującym ludzi radykalnym Romanem Giertychem, obsadzającym się w roli „tego, co łagodzi” Adamem Bodnarem oraz ostrożnie i z wahaniem podążającym śladami Giertycha premierem Donaldem Tuskiem.

Przjrzyjmy się zatem pokrótce do tychczasowej historii „trzeciej tury” wyborów i jej głównego aktora: ruchu wyłudzenia wyborów.

Stan sprzed startu: wybory jak zwykle nieźle policzone

Przypomnijmy: głosowano i liczone wyniki w prawie 32 tys. obwodowych komisji wyborczej. Robiło to łącznie ponad 260 tys. osób. Zgodnie z obowiązującym prawem oglądali każdy głos i liczyli rezultat wszyscy członkowie komisji (od kilku do kilkunastu osób). Efekt? Wedle PKW w drugiej turze wyborów na Karola Nawrockiego padło 10606877 głosów, a na Rafała Trzaskowskiego 10237286. Przewaga Nawrockiego to prawie 370 tys. głosów dorosłych Polaków. To mniej niż we wcześniejszych głosowaniach, ale jednak jeszcze nie „na zyletki”. Różnica

odpowiada liczbie mieszkańców dużego miasta. Głosów nieważnych było w pierwszej turze niespełna 86 tys., w drugiej – 190 tys. To odpowiednio 0,44 proc. i 0,90 proc. wszystkich oddanych. To dużo czy mało? Po pierwsze, wyraźnie mniej niż różnica głosów między kandydatami. No i mniej niż za rządów PO. Dla porównania – w 2015 r. głosów nieważnych było (przy znacznie niższej frekwencji niż dziś) 125 tys., w drugiej zaś 250 tys. Ponieważ najczęstszą przyczyną zaznaczenia „dwóch krzyżyków” jest zademonstrowanie dystansu do obu rywali z drugiej tury, pole do ewentualnych nadużyć (pytanie

Działania ruchu „wyludzenia wyborów” zadziwiająco przypominają metody „wyludzania na wnuczka”

czyich części) jest naprawdę niewielkie (i nie pozwala wpłynąć na wynik wyborów).

Informacja o przypadkach zamiany wyników kandydatów w komisjach obwodowych pojawiła się w debacie publicznej już kilka dni po wyborach. Chyba jako pierwszą nagłośniono w mediach analizę Jakuba Kubajka z 5 czerwca, wedle której owa wymiana miała miejsce w siedmiu komisjach na korzyść Nawrockiego, a w sześciu na rzecz Trzaskowskiego. Późniejsze analizy różnych specjalistów potwierdziły – mimo odmiennych założeń metodologicznych – że zjawisko było marginalne (obejmując kilkanaście, kilkadziesiąt komisji) i dotyczyło obu kandydatów. Okazało się, że system liczenia nie jest doskonały, ale poważne błędy pojawiły się w ułamku procenta komisji. Innymi słowy, dokładność liczenia sięgała znacznie powyżej 99 proc.

O uczciwości wyborów zgodnie mówili wybitni naukowcy z dwóch głównych ośrodków badających elekcje: prof. Dominik Batorski z Warszawy (szef Rady CBOS wskazany do niej przez premiera Tuska) oraz prof. Jarosław Flis z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Oddajmy głos pierwszemu. Badania „wskazują na brak znaczących nieprawidłowości w wyborach prezydenckich w 2025 r. [...] Analiza frekwencji pokazuje, że fałszerstwa polegające na dosypywaniu głosów są mało prawdopodobne. Liczba i rozkład głosów nieważnych nie odstaje od normy”.

Drugi: „Nie ma żadnych powodów, by podważać wyniki wyborów”. „Cały proces wyborczy był transparentny. [...] To jest niewiarygodna paranoja i nieodpowiedzialność. Rozumiem, że można się nakręcać i powtarzać głupoty, uderzając przy okazji w politycznych przeciwników, ale zwywanie do przeliczenia ponownie wszystkich głosów jest kompletną aberracją i wielką nieodpowiedzialnością. [...] To jest zaangażowanie setek tysięcy ludzi, którym trzeba byłoby zapłacić w sumie setki milionów złotych”.

O braku poważniejszych błędów w liczeniu i podstaw do unieważniania wyborów piszą też inni, liczni specjaliści, np. prof. Mirosław Kotnarowski (analiza dla TVN) czy Danuta Pawłowska (opracowanie dla BIQDATA.wyborcza.pl)

Tak oto wybory z 2025 r. zostały – podobnie jak wcześniejsze – nieźle policzone. Ktoś spyta: a samorządowe z 2014 r.? Przecież PiS i SLD mówiły wówczas o fałszerstwach. Tak, mówiły, bo miały po temu powody. W porównaniu z poprzednimi wyborami do sejmików liczba głosów nieważnych wyniosła 2,5 mln, w tym tych „dwukrzyżkowych” 1,6 mln (dwa i pół raza więcej niż w 2010 r.). Ponadto wyniki PKW i badania exit dramatycznie się rozjechały. PSL miało w badaniu 17 proc. w skali kraju, a wedle PKW – 23,9 proc. To niespełna 7 pkt. więcej. Na dodatek awarii uległ system informatyczny, co opóźniło ustalanie wyników w skali kraju.

Analizy danych ze 100 komisji przeprowadzone przez grupę naukowców pokazały, że ten szokujący kryzys nie wynikał ze sfalszowania procesu liczenia głosów. To było systemowe odkształcenie (zafalszowanie) rezultatów w wyniku posłużenia się przy głosowaniu „książeczkami” i wprowadzającej w błąd instrukcji, jak głosować. Wedle wyliczeń prof. Flisa, dało to PSL 700 tys. dodatkowych głosów (dodam, że także władzę w dodatkowym

sejmiku). Jaka była reakcja ówczesnych władz? Pacyfikacja nastrojów i uznanie wyników. Zgoda – także zmiany poprawiające funkcjonowanie PKW.

Tyle o faktach i ich weryfikacji przez doświadczonych badaczy polskich wyborów.

Przejdźmy do analizy projektu „wywrócenia wyborów”.

Zapomniana próba „skoku na wybory” w wersji turbo

To było tydzień po drugiej turze wyborów. Przemysław Wiszniewski („opozycjonista uliczny do 2023 r.”, członek stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita) na, wydawałoby się, poważnym portalu wyborcza.pl proklamuje powstanie Unii Oszukanych. Padają słowa: „Odmawiamy uznania sfalszowanych wyników ostatnich wyborów [...]. Padliśmy jako społeczeństwo ofiarą skutecznej zмовы znakomicie zorganizowanej bandy oszustów i fałszerzy, którzy pod osłoną nocy bezczelnie zmienili wyborczy wynik”. Autor zapowiada – zdaje się, że nieudaną – manifestację pod siedzibą PKW.

Co ważniejsze, dzień wcześniej (7 czerwca) główne cele (a prawdy mówiąc również wnioski, które mają wynikać z planowanego dopiero „wyjaśniania wyborczych nieprawidłowości”) przedstawia Roman Giertych: „To jest pierwsze takie zdarzenie w historii Polski, gdzie jakieś ugrupowanie świadomie starało się sfalszować wybory. [...] Apeluję do prokuratora generalnego Adama Bodnara o pilne powołanie zespołu prokuratorów, którzy mieliby za zadanie sprawdzić te wszystkie informacje dotyczące fałszerstw wyborczych, bo co do tego, że PiS fałszował wybory, nie mam żadnych wątpliwości”. Giertych, mijając się z prawdą, mówi, że przy zamianie wyników kandydatów w komisjach „we wszystkich przypadkach pomyłka [była] na korzyść pana Nawrockiego”. Ogłasza, że PiS miało „systemowy wpływ na wybory” oraz zapowiada „najsurowsze z możliwych” ukaranie tej partii. Podejmuje próbę realizacji trzech celów. To pozbawienie wiarygodności wyniku wyborów i liczących głosy struktur (tu przyda się postraszanie ludzi licznymi spiskami), a następnie wskazanie alternatywy – zrobimy to dla was my. No i cel

ostatni: przejście przekazanego dobrowolnie przez ludzi systemu służącego zapewnieniu Polakom praw wyborczych (a przy okazji może unieważnienie wyborów?).

Jak w klasycznej metodzie oszustwa „dobry policjant” (w tej roli mecenas Giertych) uspokoi lęki „o wnuczka” (nasze prawa wyborcze) i zaopiekuje się naszymi oszczędnościami zagrożonymi przez „złych urzędników”. Trzeba tylko, by oszukany sam wypłacił swoje pieniądze z konta i dał w „dobre ręce”.

Cel pierwszy: „Nie znamy prawdziwego wyniku”

Autorzy projektu „wywrócenia wyborów” potraktowali incydentalne (i nieuchronne przy takiej skali przedsięwzięcia) błędy (oraz nieliczne fałszerstwa: w Bielsku na korzyść Nawrockiego, w Warszawie – Trzaskowskiego) jako dogodny sposób obniżenia zaufania do systemu liczenia wyborów („nie znamy wyniku”, „każdy głos jest ważny”). Później podjęli też próbę zatarcia w świadomości ludzi informacji, że błędy (w tym zamiany wyników) dotyczyły obu kandydatów, a w konsekwencji wzajemnie się znosiły. Politycy i sprzyjające media koncentrowały się na nieprawidłowościach, których beneficjentem był Nawrocki. Podobna była wymowa niedawnego oświadczenia prokuratury. W pułapkę daje się złapać wielu ludzi, w tym sędzieja SN Michał Laskowski, alarmujący w mediach: „Tu mamy ruch jednostronny, na korzyść tylko jednego kandydata”.

Takie przekonanie ułatwia uznanie przez ludzi za wiarygodne analiz mających dokumentować wielką skalę nieprawidłowości. Obóz władzy wypromował dwa takie opracowania. Pierwsze to tajemnicza „metoda UCE”, na którą powołał się w swym proteście wyborczym wiceminister Cezary Tomczyk (a zanim komitet wyborczy Rafała Trzaskowskiego).

Tajemniczy „model UCE Research”

Na początek zacytujmy fragment wypowiedzi wiceministra: „800 komisji z podejrzenie wysokim wynikiem Na-

wrockiego – wyliczone na podstawie modelu UCE Research W 800 komisjach Nawrocki otrzymał $\geq 33\%$ więcej głosów niż przewidywał model przepływów elektoratu. Suma tych nadwyżkowych głosów: ponad 36 000. Analogiczne przypadki na korzyść RT: 200 komisji, 4000 głosów. Stosunek 9:1”.

Aby poznać tajemniczy „model UCE Research”, sięgnijmy po polecany przez wiceministra Tomczyka adres defoliator.pl/blog/. Gospodarzem jest tu Kajetan Mastela z Żywca, określający się jako specjalista „w obalaniu mitów antynaukowych i walce z dezinformacją”. Co ciekawe, jego pierwsza wyborcza analiza była podobna do tych z głównego, naukowego nurtu, mówiła o nielicznych anomaliach dotyczących wyników obu kandydatów. Chcąc zbudować lepszy model, popełnił dwa kardynalne błędy: w swojej prognozie wyników drugiej tury zaniżył wyniki Trzaskowskiego o 1,1 mln, a Nawrockiego o 1,6 mln. Ponadto przyjął za sondażem UCE Research (próba internetowa – 1 tys. osób badanych prawie 2 tygodnie przed drugą turą) błędne przepływy głosów między turami: m.in. zaniżył wyrażnie skalę poparcia elektoratu Mentzena dla Nawrockiego. Oba błędy sztucznie „wyprodukowały” dużą liczbę „komisji z anomaliami”, zwłaszcza w przypadku Nawrockiego.

Ciekawe, że w otoczeniu wiceministra Tomczyka nikt tego nie zauważył. Może dlatego, że konsekwencje tych błędów odpowiadały oczekiwaniom sztabu w traumie po porażce? Tak zwolennicy „walki o każdy dobrze policzony głos” odwołali się – składając protesty – do ekspertyzy, w której błędna nie jest jedna liczba, ale wszystkie! Czy to stanowi poświadczenie nieprawdy? Nie wiem.

Model dr. Kontka: ostatnia nadzieja przegranych

Jeszcze większą karierę zrobiła ekspertyza dr. inż. Krzysztofa Kontka (jeśli się nie mylę, podobnie jak poprzednik debiutanta w analizach wyborów). Promują ją m.in. mecenas Kalisz, redaktorzy Kubliki i Czuchnowski z „Gazety Wyborczej”, wreszcie redaktor Sekielski.

Co o niej wiemy? Dr Kontek eksperymentalnie użył metody stosowanej do

innych celów badawczych (ocena pracy jury w konkursach muzycznych), a bazującej na wylapywaniu różnic między wynikami w danym obwodzie i obwodach sąsiadujących. Analizując wyniki głosowania na Nawrockiego, stwierdził, że w 1482 komisjach „były przynajmniej dwie anomalie, czyli już takie bardzo, bardzo podejrzane”. Oświadczył, że „skumulowany wpływ tych wszystkich komisji [...] może być pomiędzy 315 tys. a 457 tys.”. Złożył też protest wyborczy, wskazując na 5,5 tys. komisji z rzekomo podejrzanymi nieprawidłowościami.

Mimo braku dostępu do algorytmu autora i listy „podejrzanych (przez dr. Kontka) komisji”, można przypuszczać, że „eksperymentalna metoda” wylapuje nie tylko oczywiste błędy komisji (nie wszystkie), lecz także klasyfikuje jako podejrzane zachowania wyborcze wynikające ze społeczno-gospodarczej i kulturowej odmienności „małych ojczyzn”. Jego metoda powinna także czynić podejrzanymi – bo innymi, odchylonymi – obwody w DPS, szpitalach, więzieniach i aresztach, akademikach. To tak, jakby do usunięcia drzazgi z palca używać nie precyzyjnej igły, a ostrej siekiery: drzazga odpadnie, ale możliwe, że razem z palcem.

Co więcej – jest to eksperyment niedokończony. Autor zbałał hipotetyczne anomalie na rzecz Nawrockiego, nie zbałał – Trzaskowskiego. Powód: „Nie miałem na to czasu” (czy dlatego, że był zajęty pisanem tysięcy protestów wyborczych?). Przyznał też, że z powodu tego braku nie mógłby opublikować swojej analizy w czasopiśmie naukowym (taki półprodukt zadowolili znanych dziennikarzy i polityków). Dodajmy, że wiarygodność modelu Krzysztofa Kontka podważył w dłuższej analizie znany nam już analityk Jakub Kubajek.

I jeszcze jedno (chyba najważniejsze). Zastosowanie metody Kontka do wyszukiwania nieprawidłowości we wcześniejszych wyborach (parlamentarnych, prezydenckich) mogłoby je „unieważniać” jedne po drugich (oczywiście nikt tego nie sprawdził). Największą szansę na uratowanie się przed zarzutem fałszerstw miałyby głosowania z lat PRL (nie było wówczas żadnych znaczących odchyleń w obwodowych komisjach, jak nie 99 proc., to 98 proc.).

Ruch atakuje w mediach tradycyjnych, a także społecznościowych: tu, gdzie wygrywa się dziś wybory. Z badań wynika, że w połowie czerwca jego narracja jest skuteczna. Res Futura informuje, że „61 proc. komentujących w sieci temat ponownego przeliczenia głosów opowiada się za tym pomysłem, przeciw jest 24 proc.” Jednak zdaniem analityków mobilizację internautów trzeba traktować jako „werbalny protest o niskim potencjale eskalacyjnym”.

Ta sytuacja szybko się jednak zmienia. Najnowsza, czwartkowa (26 czerwca) analiza mediów społecznościowych przeprowadzona po demaskatorskim tekście Pawła Figurskiego, Patryka Słowika i Szymona Jadcza na temat umorzenia śledztwa przeciwko Romanowi Giertychowi pokazuje już inny obraz debaty o wyborczych anomalach. Bardzo negatywnie odbierany jest sam Giertych. Budzi złość (45 proc.) i pogardę (32 proc.) Dominująca metanarracja brzmi, że się „boi i kombinuje z tymi protestami, żeby nie iść siedzieć za te miliony z Polnordu”.

Mniejsze zainteresowanie, ale głównie negatywne emocje, budzi Krzysztof Kontek („zrobił analizę tylko pod Trzaskowskiego, bo tak mu pasowało, a teraz lewactwo chce na tym przeliczać wybory”).

Warto zapamiętać, że oprócz Giertycha i Kontka negatywny wizerunek w mediach społecznościowych ma – wedle cytowanych tu badań – pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska.

Cel drugi: wskazanie rozwiązania problemu. „Przeliczmy to dla was jeszcze raz”

Po przekonaniu ludzi, że system liczenia wyborów źle działa, a odpowiedziami za to są politycy opozycji i ich ogromne wpływy w komisjach wyborczych (według Giertycha – wpływ na dwie trzecie składu), zadaniem ruchu jest wskazanie wyjścia z tej sytuacji: przeliczenie głosów jeszcze raz. Według prokuratora generalnego podejrzane jest 1,5 tys. komisji (tych wskazanych przez dr. Kontka). W ciągu dosłownie kilku dni Giertych proponuje nam kilka diagnoz. W każdej jest spis, uderzenia sięgają nawet wszystkich komisji.

Ponowne liczenie ma być zadaniem dla prokuratorów czy sędziów. O tym,

że taka procedura (pomijając już to, że nielegalna) zablokowałaby pracę sądów i prokuratury na dobrych parę tygodni, nikt oczywiście nie mówi.

Ważne jest także przekonanie ludzi, że nowe liczenie będzie łatwe. Gdy prof. Flis ostrzega, że to będą setki milionów, Giertych wylicza, że tylko 10 mln. Przekonuje, że przecież tysiąc głosów da się policzyć w pół godziny. To mniej niż dwie sekundy na jedną kartę.

Wewnątrz radykalizującego się ruchu pojawiają się jeszcze skrajniejsze głosy. Wspomniany już Przemysław Wiśniewski ogłasza: „Jeśli ktokolwiek spróbuje nam wmówić, że nic się właściwie nie stało i że najlepiej odpuścić, nie pozostanie nam nic innego, jak wylec na ulice i trwać w proteście. Choćby całe wakacje. Choćby cały rok. Żądamy ujawnienia i ukarania wszelkich fałszerstw wyborczych! Żądamy przeprowadzenia ponownie wyborów pod pieczęcią kontrolą służb państwowych, by ani jeden głos nie został zmarnowany!”

Cel trzeci: przejście procesu liczenia wyborów i oceny ich ważności

Całkiem niedawno Roman Giertych i popierające go siły znalazły się blisko celu numer trzy. Większość opinii publicznej akceptowała konieczność ponownego przeliczenia głosów, kolejne raporty upewniały wielu Polaków, że z liczeniem wyborów jest naprawdę źle, a prokuratura uznawała autorytet „eksperymentu Kontka”

Jednocześnie tężał opór przeciwko „skokowi na wybory”. O swym obowiązku zaprzysiężenia Karola Nawrockiego mówił marszałek Szymon Hołownia, politykę Giertycha krytykowali liderzy PSL, Lewicy i Razem.

Swego wizerunku bronili spotwarzani członkowie komisji wyborczych. Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych odmówiła uznania masowych protestów wyborczych autorstwa dr. Kontka. Pojawiły się wyniki ponownego przeliczania głosów z kolejnych obwodów potwierdzające, że zamiana wyników kandydatów może sprzyjać także Trzaskowskiemu. Wiarygodność ekspertów promowanych przez ruch „przewrócenia” wyborów w starciu z ana-



lizami rzeczywistych ekspertów mała.

Wielkim ciosem w wizerunek Giertycha (a w konsekwencji analizowanego tu ruchu) była publikacja pokazująca sposób umorzenia śledztwa w sprawie Polnordu.

Onieźgodności z prawem ponownego przeliczania wszystkich głosów mówią kluczowe postacie ze środowiska prawników: chyba ostatni obrońca czystej idei państwa prawa prof. Ryszard Piotrowski, a także – ku zaskoczeniu części obserwatorów – prof. Ewa Łętowska.

Znamienna jest też reakcja merytorycznej części elit (dotąd bliskiej w swych sympatiach KO). Wobec nieprawdziwości wielu argumentów Giertycha większość na razie milczy, ale coraz więcej specjalistów z wysokiej półki protestuje, prawie nikt nie popiera „samozwańczego trybuna”.

Reakcje społeczne zmieniają się nie tylko w mediach społecznościowych. W najnowszym badaniu IBRiS po raz pierwszy większość badanych (nieco ponad połowa) jest przeciwna ponownemu przeliczaniu głosów.

Tak oto samozwańczy „trybun ludowy” zbudował własną, wpływową frakcję (jego wewnątrzpartyjni rywale mówią o „sekcje”) w KO. Jednocześnie, co ważniejsze, to koniec skuteczności „metody na wnuczka”. Ponad połowa Polaków już wie, o co chodzi i nie da się oszukać. A ci z drugiej strony (na razie nieliczni) zaczynają mieć rosnące wątpliwości.

Co dalej: wygaszanie ruchu Giertycha czy zmiana strategii unieważniania?

Nieudane wyłudzenie „na wnuczka” stawia przed obozem władzy, w tym przed członkami drugiego triumwiratu (Tusk–Giertych–Bodnar) pytanie o strategię na czas od decyzji Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych

SN (1 lipca) do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego planowanego na 6 sierpnia br. Wybór najprostszy i zgodny z prawem to wygaszenie ruchu i wyciszenie jego trybuna (a więc koniec „trojki”).

Alternatywy nie są dobre. Dalsze zabieganie kontrolowanych przez rząd instytucji do liczenia głosów w coraz większej liczbie komisji (docelowo – wszystkich) to droga – przy zmianie społecznych nastrojów – ryzykowna. Bardzo ryzykowne dla rządu są też, obecne w plotkach, scenariusze bezpośredniego uderzenia w Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN.

Stąd czwartkowy wybór „nowego otwarcia” w ramach strategii trzeciej tury. Pięciu byłych prezesów Trybunału Konstytucyjnego (w tym najbardziej wpływowy z nich, Marek Safjan) i 28 aktualnych sędziów SN na nowo zdefiniowało pole rywalizacji, podważając status decydującej o ważności wyborów Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN.

Trzecia tura trwa, a stawka rywalizacji rośnie. Tu nie chodzi przede wszystkim o wyjście rządzących z powyborczego kryzysu czy wewnętrzną walkę o wpływy (aż do próby „puczu” i obalenia Tuska przez Sikorskiego, Giertycha i Kamińskiego).

Tu nie chodzi nawet wyłącznie o unieważnienie wyborów (a przynajmniej przyklejenie do Nawrockiego etykiety „neoprezydenta” i być może nieprzestrzeganie jego prawa weta).

Chodzi o więcej: o uderzenie w niezależne media, w tym Republikę i w Polsce24. A może nawet o delegalizację głównej partii opozycyjnej, czyli PiS (Giertych już 7 czerwca mówił o „najsurowszym z możliwych” ukaraniu tej partii) i wymarzone przez obóz władzy przed nadchodzącymi wielkimi problemami „domknięcie systemu”, ula-

twiające bardzo bolesne, niezbędne reformy.

Te odpowiedzi wydają się oczywiste, ale niepełne. Niezbędne jest postawienie pytania, w co grają w związku z „trzecią turą” wielcy międzynarodowi gracze.

Ci z naszych sąsiadów, którzy wołają Polskę słabą, zapewne sprzyjają owej „trzeciej turze” (i próbie oszustwa „na wnuczka”). Są zainteresowani tym, aby związane z nią konflikty polityczne trwały jak najdłużej (i narastały), a zaufanie do demokratycznych instytucji słabło jak najbardziej. W kogo inwestują w Polsce – to zagadnienie na odrębną analizę. Dziś przypomnę, że próby wykorzystywania w tym celu kontrolowanych przez siebie mediów są udokumentowane już od co najmniej 20 lat.

Lista zainteresowanych słabą Polską jest jednak dłuższa. Warto powiedzieć o stanowisku elit z Brukseli i Luksemburga. Nie sposób wykluczyć, że wykorzystując sytuację, podejmą próbę utwierdzenia swego wpływu na polskie sądownictwo, zyskanego także wyniku kilkuletniego sporu z rządem prawnicy.

Czy nie chodzi o potraktowanie Polski jako testowanej ofiary kolejnego etapu eurotrybunałskiego aktywizmu: o wyniku wyborów wypowie się (wbrew traktatom, ale oczywiście ze stosownym uzasadnieniem) Trybunał Sprawiedliwości UE? Wtedy ostatecznym efektem polskiej „metody na wnuczka” okaże się wymarzona przez zwolenników centralizacji Unii operacja na znacznie większą skalę: „skok na suwerenność Polski”, a w dłuższej perspektywie na suwerenność wszystkich państw członkowskich. O ważności wyborczych werdyktów narodowych suwerenów ostatecznie decydowałiby eurosędziowie z Luksemburga.

PS Tekst przesłany do druku w czwartek 26 czerwca br.

Tomasz Żukowski (ur. 1957), pracuje na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW. Bada i komentuje polskie wybory i scenę polityczną od 1989 r. Autor (i współautor) m.in. pierwszych analiz wyborów parlamentarnych z 1989 r., a także artykułów o wyborach prezydenckich z lat 1990 i 2020 w „Atlasie wyborczym Polski” PAN.

*Dlaczego Tusk, Bodnar
i Giertych chcą unieważnić
wybory prezydenckie?*



Zamach nad urną

Rządzący Polską z premierem Donaldem Tuskiem na czele każdego dnia po wyborach prezydenckich 1 czerwca 2025 r. pogłębiają chaos i anarchię w państwie. Wydawałoby się to samobójcze, bo przecież odpowiadają za kraj. Tyle że nie radzą sobie z tą odpowiedzialnością praktycznie w każdej dziedzinie, czego koronnym przykładem jest całkowite zmarnowanie polskiej prezydencji w Unii Europejskiej (1 stycznia–30 czerwca



STANISŁAW JANECKI

2025 r.). W tym czasie rząd Tuska nie osiągnął niczego w żadnej z najważniejszych spraw, a te kwestie to Zielony Ład, pakt migracyjny, umowa z Mercosurem

oraz zawieszenie ceł i kontyngentów na ukraińskie produkty rolne.

W tym momencie pojawia się kompletnie absurdalna, choć bardzo mocno forsowana przez rządzących koncepcja ratunkowa, że to opozycja z Prawem i Sprawiedliwością na czele doprowadziła do chaosu, gdyż „sfalszowała” wynik wyborów prezydenckich, a przez to zawałił się wielki plan „odbudowy” Polski i zrealizowania wszelkich zakładanych celów. Byłoby to możliwe

tylko z „prezydentem” Rafałem Trzaskowskim, lecz poprzez fałszerstwa i mactwa w komisjach (za co skądinąd odpowiadają rządzący) odebrano mu zwycięstwo. Wywołanie chaosu i anarchii miało więc być celem PiS.

Rządzący nie przejmują się tym, że to piramidalne bzdury, chodzi bowiem o skrajne nakręcenie dostatecznej liczby „pokrzywdzonych” zwolenników. Żeby 6 sierpnia nie doszło do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego, a potem – aby doprowadzić do nowych wyborów prezydenckich, nawet jeśli Sąd Najwyższy nie orzeknie o nieważności tych z 1 czerwca.

Chaos, anarchia i degrengolada przypisane opozycji mają poprawić notowania rządu i premiera jako tego, który ratuje Polskę przed wszelkimi negatywnymi zdarzeniami. Bez podminowania całego kraju Donald Tusk i jego rząd raczej nie wyjdą ze spadkowego korkociągu, bo notowania są coraz gorsze: w sondażach poparcie dla gabinetu oscyluje w granicach 32–36 proc. z przewagą opinii negatywnych (40–43 proc.). Z kolei poparcie dla premiera utrzymuje się na poziomie 36–38 proc., ale niezadowolone wyraża 50–52 proc. badanych. Od jesieni 2024 r. (z małym wzrostem notowań w lutym i marcu 2025 r.) trend jest spadkowy.

Chaos w państwie ma odwracać uwagę od złych rzeczy dziejących się w Polsce i wokół niej – z winy rządu. Chaos i anarchia mają służyć za uniwersalną przykrywkę, a „sfalszowane wybory” będą mitem założycielskim radykalnej pro-rządowej „szurii”, która szybko stanie się armią broniącą rządu Tuska i niszczącą opozycję oraz niezależne media. To plan na zimną wojnę domową, która w każdej chwili może się stać gorącą.

NIE MA ODWROTU

Dla Tuska oraz jego rządu chaos i anarchia są lepsze niż spokój, gdyż nie tylko mogą tym tłumaczyć niepowodzenia oraz przykrywać prawdziwe problemy, lecz także mobilizować zwolenników w okresie dzielącym Polskę od wyborów parlamentarnych w 2027 r. W tym czasie premier, jego „szuria” oraz celowo radykalizowani przeciętni wyborcy mają stwarzać atmosferę nieustannego zagrożenia ze strony opozycji. Plan jest taki,

żeby potwierdzać owo zagrożenie kolejnymi aresztowaniami „wrogów ludu” (zupełnie jak podczas rewolucji francuskiej), a trzymanie im zarzutów to dla ekipy Tuska–Bodnara kaszka z mleczkiem.

Histeria wokół „sfalszowanych wyborów” stanowi dla rządzących poligon doświadczalny w kwestii przygotowania do manipulowania wyborami parlamentarnymi w 2027 r. To czas na doskonalenie i rozwinięcie metod fałszowania oraz manipulowania procesem wyborczym, żeby wygrać albo nie uznawać przegranej, np. poprzez „ustawianie” wyników przez zaufanych ludzi w komisjach na niewielką skalę: nieszkodzącą własnemu kandydatowi i najczęściej pod obcą flagą (członkowie komisji wystawiani przez inne komitety), żeby potem było to dowodem powszechności praktyk zmieniających wynik wyborów.

Ważnym animatorem chaosu i anarchii oraz wymierzania wrogom „sprawiedliwości” nieprzypadkowo jest Roman Giertych, obsadzany w roli Polskiego współczesnego Maximiliena Robespierre’a, w końcu też prawnika, głównego architekta okresu terroru (1793–1794). Giertych jest wygodny, gdyż w razie kłopotów wiele można na niego zwalić, a poza tym ma on osobisty interes w tym, co robi: prokuratura Adama Bodnara umorzyła w jego wątku sprawę Polnordu, ale zmiana polityczna mogłaby to cofnąć, a wtedy „ucieczka” do Włoch nie zamknęłaby sprawy.

Ponowne zainstalowanie Donalda Tuska u władzy miało ugruntować mit zwycięzcy, a raczej polityka, który nie przegrywa z Prawem i Sprawiedliwością. Tusk pielegnował ten mit podczas prawie siedmioletniego pobytu w Brukseli, a kolportowała szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, gdy w lipcu 2022 r. życzyła mu, by spotkali się już, gdy będzie polskim premierem. Szef rządu za żadne skarby nie może wyjść na tego, który przegrał, tym bardziej że 15 października 2023 r. kierowana przez niego Koalicja Obywatelska została jednak pokonana przez Prawo i Sprawiedliwość, choć rządzi dzięki stworzeniu koalicji z Trzecią Drogą i Nową Lewicą. Tusk musi utrzymać mit zwycięzcy także dlatego, że sypie się jego wizerunek w Brukseli, czego wyrazem były kpiny,

szczególnie w niemieckich mediach, że polski premier to „spadająca kaczka” oraz zgrzytliwe komentarze o polskiej bezobjawowej prezydencji. A także gratulacje Ursuli von der Leyen dla Karola Nawrockiego już 2 czerwca 2025 r. rano.

Jeśli mit Tuska jako zwycięzcy padnie ostatecznie, a jest do tego całkiem blisko, koalicjanci będą chcieli zmusić go do odejścia. Tym bardziej że tuż po 1 czerwca 2025 r. pojawiły się takie żądania (Marek Sawicki, Michał Kamiński, Jacek Żakowski). Premier musi podtrzymać mit zwycięzcy nawet za cenę destabilizacji i anarchizacji kraju. Przecież jeśli ta legenda padnie, na nic się zdadzą pozorowane działania w rodzaju rekonstrukcji rządu. Tusk zrobi wszystko, żeby w Polsce nie było spokoju do wyborów parlamentarnych w 2027 r., bo uważa, że tylko w ten sposób można utrzymać mobilizację i przywiązanie wyborców. Musi utrzymywać ich w stanie hysterii, licząc na to, że skrajna polaryzacja zniesie wszelkie inne sprawy, a przede wszystkim przykryje złe rządy i jeszcze gorsze tego skutki dla obywateli. Żeby nie upaść, obecny premier będzie wyłącznie dzielił, antagonizował i podgrzewał nastroje.

ZAMACH STANU

Jednym z celów histerii wokół „sfalszowanych wyborów” jest delegitymizacja nowego prezydenta, jeśli nie uda się zablokować jego zaprzysiężenia i objęcia urzędu. Politolog dr Michał Kuź bardzo celnie opisał (24 czerwca 2025 r. na platformie X) plan Donalda Tuska: „Z wypowiedzi ministra Bodnara wyłania mi się obraz kontrolowanego chaosu i wiecznej prowizorki. Czyli najpierw posłowie KO, a przynajmniej PO, opuszczają Zgromadzenie Narodowe w chwili zaprzysiężenia. Prezydentowi Nawrockiemu nikt nie będzie wszak przeszkadzał w skompletowaniu kancelarii i przeprowadzce do Pałacu Namiestnikowskiego. Tyle tylko, że PDT [premier Donald Tusk] stwierdzi, iż nie będzie uznawał żadnych prezydenckich wet oraz prerogatyw, dopóki nie zostaną rozwiązane wszelkie wątpliwości wokół nieprawidłowości w komisjach (Bodnar zapowiedział, że jeśli SN [Sąd Najwyższy] oddali protesty wyborcze, to prokuratura podejmie

»odpowiednie kroki«) oraz statusu Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Taki stan zawieszenia może trwać aż do wyborów parlamentarnych, a jeśli wygra PiS, to można spróbować raz jeszcze go przedłużyć. Przy czym wszystkie instytucje europejskie jak jeden mąż przyznają Donaldowi Tuskowi rację. A próby załatwienia sprawy »na ulicy« zostaną potraktowane jako zamach stanu i brutalnie stłumione. Proste i bezcenne, dokładnie tak jak Pan premier lubi».

Michał Kuź zwrócił też uwagę, że ponowne liczenie głosów może być szkoda dla Karola Nawrockiego, rzucając cień na jego legitymację uzyskaną z zachowaniem wszelkich reguł poprzez ogłoszenie i wręczenie mu uchwały Państwowej Komisji Wyborczej. Politolog przypomniał sprawę Bush przeciwko Gore, 531 U.S. 98 (2000), czyli orzeczenie Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych wydane 12 grudnia 2000 r. Rozstrzygnięto w nim spór dotyczący ponownego przeliczania głosów na Florydzie podczas wyborów prezydenckich w 2000 r. pomiędzy George'em W. Bushem a Alem Gore'em. Ze względu na naruszenie zasady równej ochrony prawnej (różne hrabstwa miały różne standardy liczenia i uznawania głosów nieważnych) zdecydowano o zatrzymaniu ponownego przeliczania głosów. Jak konkluduje dr Kuź, »Sąd Najwyższy USA uznał przeliczanie głosów po ogłoszeniu oficjalnych wyników za nieuzasadnione, ponieważ prowadziłyby to do niekończącego się podważania wyniku (tj. legitymacji prezydenta) i nakazał zaprzestania tego proceduru».

Tuskowi i reszcie właśnie o to chodzi, żeby przez całą kadencję podważać oficjalne wyniki wyborów i odmawiać legitymacji wybranemu przez naród prezydentowi. A skutkiem tego byłoby też (w otoczeniu obecnego premiera mówi się o tym już całkiem głośno) obcinanie środków na kancelarię głowy państwa, włącz fizyczne uniemożliwienie funkcjonowania prezydenta i jego kancelarii, co tłumaczono by tym, że przecież wszystko jest nielegalne. To byłby zamach stanu w czystej postaci. W art. 128.

Kodeksu karnego zapisano: »§ 1. Kto, w celu usunięcia przemocą konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej, podejmuje działalność zmierzającą bezpośrednio do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności od lat 3 do 20. [...] § 3. Kto przemocą lub groźbą bezprawną wywiera wpływ na czynności urzędowe konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10». I tu wprost chodzi o »usunięcie przemocą konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej» albo (gdyby doszło do zaprzysiężenia) »wywieranie wpływu na czynności urzędowe konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej».

Żeby nie upaść, Tusk będzie wyłącznie dzielił, antagonizował i podgrzewał nastroje. Chaos, anarchia i degrengolada przypisane opozycji mają poprawić notowania rządu i premiera jako tego, który ratuje Polskę przed wszelkimi negatywnymi zdarzeniami. To ma być recepta na spadające notowania tej ekipy

tucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej przemocą lub groźbą bezprawną».

Nie ma możliwości, żeby prawnicy Bodnar oraz Giertych, a także trzykrotnie premier Tusk, nie wiedzieli, do czego zmierza operacja z oskarżaniem o sfałszowanie wyborów oraz naciski na ponowne przeliczenie wszystkich głosów. To przygotowanie do zamachu stanu.

STRACH PRZED TRUMPEM

Wielu komentatorów i obserwatorów polityki jest przekonanych, że jedyną sprawą, której Tusk się obawia w operacji unieważnienia wyborów prezyden-

kich, jest reakcja prezydenta USA Donalda Trumpa. Bo w Unii Europejskiej »łykną» wszystko, co zrobi szef polskiego rządu. Po to igrza z Trumpem i Ameryką, aby sprawdzić, na ile prezydent USA jest zainteresowany tym, co się dzieje w Polsce po wyborach prezydenckich, jaki jest próg jego tolerancji na »wyczyny» Tuska. Premier liczy ponoć na to, że bezpośrednio zaangażowanie USA w konflikt Izraela z Iranem jest na tyle poważne, że Trump nie będzie miał czasu, by reagować na podważanie ważności wyborów prezydenckich w Polsce. I tu Donald Tusk może się bardzo przeliczyć.

Prezydent USA jest na bieżąco informowany o sytuacji w Polsce, poznał już Karola Nawrockiego, uznał go za zwycięzcę (nawet jeszcze przed wyborami) i nie będzie obojętny. Pojawiły się informacje, że Donald Trump wysłał na zaprzysiężenie Karola Nawrockiego swego bardzo ważnego przedstawiciela i w jakimś sensie byłby to szach-mat dla premiera i jego planów. A Tusk straciłby jakiejkolwiek szanse, by być przyjmowanym przez prezydenta USA i traktowanym poważnie. To, co w zamyśle miało delegitymizować prezydenta Karola Nawrockiego, byłoby delegitymizacją premiera Donalda Tuska – z wszystkimi tego międzynarodowymi konsekwencjami. Trudno być przecież premierem jednego z najważniejszych państw Unii Europejskiej, mając jednocześnie status *persona non grata* w Stanach Zjednoczonych.

Poza tym taki obrót spraw bardzo wpłynąłby na ocenę Tuska w kraju – stałby się on bezpośrednim zagrożeniem dla bezpieczeństwa Polski. Problemem jest to, że szef rządu jest już takim desperatem, gdy chodzi o utrzymanie władzy, że być może stracił instynkt samozachowawczy. Tym bardziej że jego ostatnie wystąpienia publiczne pokazują człowieka z jednej strony w stanie skrajnego wyczerpania, z drugiej – czymś opętanego. A jeśli – zgodnie z wszelkimi regułami – dojdzie do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego, z Donaldem Tuskiem może się zdarzyć coś, co radykalnie zakwestionuje jego zdolność do sprawowania urzędu. Przekonamy się o tym już za miesiąc. 

Czasna lista Najbardziej Szurniętych Szurów w Polsce. Dlatego, że dzisiaj to oni mają ogromny wpływ na życie publiczne – zarówno w świecie polityki, jak i mediów. Dawne rankingi najbardziej wpływowych ludzi w Polsce czy listy najbogatszych Polaków nie mają już takiego znaczenia.

Lista Najbardziej Szurniętych Szurów ukazuje ciekawe zjawisko. Jeśli w poprzednich latach w nieaktualnej dziś kategorii oszołomów mocną pozycję miała prawica, to dzisiaj sytuacja zmieniła się całkowicie. Pod względem politycznego szaleństwa prawica oddała pole liberałom. To oni zdominowali świat szurii i zazdrośnie strzegą swojej przewagi w tej sferze. Co więcej, szuria liberalna skutecznie konkuruje w walce o umysły ludzi podatnych na najbardziej zwariowane teorie spiskowe z szurią apolityczną. Z szurami liberalnymi przegrywają nie tylko szury prawicowe, ale też trzymające się z dala od sporów politycznych środowiska turbosłowian czy zwolenników teorii płaskiej ziemi. Ich szurstwo przegrywa z obsesjami liberałów. Szaleństwo tych drugich jest bowiem bardziej autentyczne i zaraźliwe niż stare, coraz mniej popularne płaskoziemstwo.

A dzisiaj żadna inna szuria nie jest w stanie wygrać konkurencji z hasłem o oddolnym ruchu fałszowania wyborów prezydenckich przez pozbawioną wszelkich narzędzi opozycję. Fałszowania zwłaszcza w tych komisjach, w których nie zasiadali przedstawiciele opozycji. To hasło stało się paliwem odrzutowym dla liberalnej szurii. Wpływa także na zmiany pozycji w rankingu. Wielu starych szurów straciło wysokie miejsce, a zastąpiły ich inne osoby, niekiedy zupełnie nowe w tej roli.

Donald Tusk

Dzisiaj niewątpliwie to szef rządu otwiera listę Najbardziej Szurniętych Szurów. Bo chociaż niekiedy stara się ukryć swoje szurostwo, ma największą moc w rozpowszechnianiu najpopularniejszej dzisiaj teorii spiskowej.

Lista Najbardziej Szurniętych Szurów

Słowo „szur” robi karierę w języku polskim. Zwłaszcza gdy mówimy o polityce.

„Szur” wyparł dawnego, w sumie pocziwego „oszołoma”. A liczba mnoga, czyli „szuria”, tak się rozpanoszyła, że dzisiaj mało kto używa staromodnego określenia „sajba”. Ale ta kariera to nic dziwnego – szury odgrywają ogromną rolę w polskim życiu publicznym. Szczególnie dzisiaj, gdy w świecie szurów furorę robi teoria o oddolnym sfalszowaniu wyborów



PIOTR GURSZTYN

Obecność premiera na tej liście może zaskakiwać starszych czytelników pamiętających czasy, gdy Tusk, zawsze działający w partiach salonowych, dbał o wizerunek. A szczególnie o to, aby nie zostać zakwalifikowanym do kategorii polityków obciachowych. Jednak od kilku lat, zwłaszcza od jesieni 2023 r.,

Polska wielokrotnie czytała jego internetowe wpisy lub słyszała wypowiedzi, które jednoznacznie pozwalają go dopisać do listy szurów. Tusk padł ofiarą Internetu. Po pierwsze, pisze w nim rzeczy, których przed opublikowaniem nie weryfikuje żadna życzliwa mu i rozsądna przy tym osoba. A po drugie, w dobie internetu skończyła się wszechwładza wspierających go mediów starego typu. Wprawdzie nadal próbują one prezentować Tuska jako polityka rozsądnego i eleganckiego, ale mało kto czyta i ogląda ich przekaz. Zwłaszcza że one również dołączyły do obozu szurów.

Zatroskani ludzie wskazują też na przypuszczalny kolejny czynnik: to efekt systematycznego, codziennego spożywania, skumulowany przez lata długotrwałej konsumpcji.

Roman Giertych

Trendsetter szurostwa w Polsce. Spadkobierca tradycji dawnej szurii endeckiej. Najlepsze wzorce szaleństwa politycznego odziedziczył po dziadku Jędrzeju i tacie Macieju, ale jednocześnie tworzył je rozwinął. Już wiele lat temu zdał sobie sprawę, że nie rozwinie skrzydeł, pozostając szurem prawicowym. Prawdziwy rozmach w politycznym szaleństwie mógł zaprezentować po udanym transferze na stronę liberalną.

Niewątpliwym osiągnięciem Giertycha jest skuteczne połączenie cynizmu oraz cwaniactwa z najbardziej szczerym wariactwem. Okazuje się – wbrew

falszywym stereotypom – że bycie szurem może stanowić dochodowy sposób na życie. Warunkiem jest jednak (czego uczy nas Giertych) całkowite pozbycie się poczucia obciachu.

Ostatnie osiągnięcie: opublikowanie własnego numeru PESEL i skłócenie kilkudziesięciu tysięcy osób, aby go używały w powielonych protestach wyborczych, zwanych dzisiaj „giertychówkami”.

Tomasz Lis

Kiedyś niedoszły kandydat na prezydenta, potem postać aktywna na polu mobbingu i molestowania seksualnego. Dzisiaj została mu tylko klawiatura i kamerka od komputera. Nie poddaje się jednak – zażarcie i skutecznie broni swojej pozycji króla szurów w świecie mediów.



Wojciech Czuchnowski

Wicekról szurów w świecie mediów. Jeszcze jedna osoba, która wiele lat temu uznała, że nie opłaca się być szurem prawniczym, bo lepsze konfitury są w świecie szurii liberalnej. Znakomicie odnalazł się w „Gazecie Wyborczej” – piśmie, które określiło swoją pozycję rynkową jako oficjalny biuletyn najbardziej sfanatyzowanej części szurii politycznej, czyli tzw. Silnych Razem.

Ideale szurostwa realizuje także w życiu osobistym. Zawarł związek małżeński z osobą równie wzmoczoną co on. A ozdobą ślubu był znak bliski wszystkim szurom liberalnym, czyli osiem gwiazdek.

Bartosz Wielński

Pracownik „Wyborczej” ciągle niepokodzony z tym, że jest szurem. Niepożrebnie, bo stał się integralną postacią świata szurii. Są tego koszty. Bartosz opowiada, że po przegranej Rafała Trzaskowskiego „z rozpacz i smutku” nie mógł wstać z łóżka. Mijają tygodnie, a on nie może wyleczyć kaca po wygranej

nej Karola Nawrockiego. „Late poll dał nam w zęby tak, że się nakryliśmy nogami” – narzekał w szczerej rozmowie, jak szur z szurem, z Tomaszem Lisem.

Tomasz Wiejski

Czyli Tomasz Kisielewicz. Szur oddolny, ale pomnikowa postać w świecie szurii liberalnej. Zwłaszcza tej spod znaku Silnych Razem. Od czasu do czasu blisko współpracuje z innym tytanicznym szurosferą, Janem Pińskim. To znaczy wtedy, gdy nie są pokłóceni.

Jan Piński

Bardzo bliski współpracownik Romana Giertycha. Jak sam twierdzi, jego przyjaciel. Dzisiaj bliżej mecenasa niż dotychczasowy jego wieloletni totumfacki, czyli Sebastian J. „Foka”. Sebastian jednak został poświęcony jako ofiara afery Polnord, a Piński jeszcze nie.

Reprezentuje nurt szurii skoncentrowanej na profesjonalnym hejtowaniu politycznych i medialnych przeciwników swojego pryncypała. Bywa przy tym wrażliwy na uwagi krytyczne: do niedawna nosił długą pleręzę, którą obciął po tym, jak Krzysztof Stanowski nazwał go „przydupasem (Giertycha) z przetłuszczonymi włosami”.

Tomasz Piątek

Reprezentant hejterskiej szurii monomaniakalnej: według niego każdy, kto krytykuje Koalicję Obywatelską, jest agentem Putina. Oskarżał o to np. Szymona Hołownię, a „dowodem” był fakt, że na osiedlu, na którym mieszka marszałek, żyła również osoba mająca jakieś związki z Rosją. Przegapił za to sprawę niejakiego Pawła Rubcowa i jego kontaktów ze znanymi mu dziennikarzami.

Dorota

Wysocka-Schnepf

Arcykapłanka propagandy w neo-TVP. Uwielbia zapraszać do swojego programu ludzi pokroju niejakiego Szczurka, czyli idoli szurii liberalnej. Ostatnio zaangażowała się w obronę „dobrego imienia” swojego teścia Mak-

symiliana Schnepfa, zbrodniarza komunistycznego, uczestnika obławy augustowskiej – największej pod względem liczby ofiar zbrodni wojennej, która miała miejsce w Europie po 1945 r.

Eliza Michalik

Ostatnio jej blask przygasł, ale to nie wina jej mniejszej zajadłości, lecz tego, że w szurosferze rozblysły jeszcze bardziej jaskrawe gwiazdy. To także osoba, która pierwsze kroki stawiała po prawej stronie, lecz po niesławnych przygodach z kserowaniem cudzych tekstów musiała się odnaleźć w innym świecie. Szaleńczymi atakami na prawicę zapracowała na uznanie strony liberalnej.

Radosław Sikorski

Nietypowa forma szurii, gdyż wstydi się propagować najbardziej szalone teorie. Motorem ekscentrycznych zachowań jest niekontrolowany wzrost ego. Dla chwilowego efektu i dobrego (w mniemaniu Sikorskiego) żartu jest gotów zaszkodzić własnej karierze politycznej.



Cezary Tomczyk

Szur podrzędnej kategorii. Warty odnotowania z tego powodu, że pełni funkcję wiceministra obrony narodowej i jednocześnie politycznego nadzorca tego resortu. Sprawy merytoryczne go nudzą, nie rozumie ich, ale za to znakomicie odnajduje się w trollingu internetowym.



Adam Bodnar

Człowiek, który uczy się być szurem. Jest zdolnym uczniem swoich mistrzów i robi coraz większe postępy. Zrozumiał, że tylko dzięki byciu aktywnym szurem ma szansę przedłużyć swoją karierę polityczną u boku Donalda Tuska.



Do tej pory ostro krytykowany przez najbardziej aktywny odłam szurowsfery, czyli Silnych Razem, co niewątpliwie było inspirowane przez guru tego środowiska, czyli Giertycha. Obecnie Bodnar zaczął być przez nich doceniany, co rozwiewa wszelkie wątpliwości odnośnie do jego przynależności do świata szurów.



Klaudia Jachira Marcin Józefaciuk Franek Sterczewski

Grupa szurów meteorytów. Mieli swoje pięć minut, ale świat szurii uznał, że to szury jednorazowego użytku. Mało kto pamięta o galopadzie Sterczewskiego na granicy i tatuażach Józefaciuka. Choć w przypadku tego drugiego szurowsfery przez pewien czas wyrażała nadzieję, że zostanie ministrem edukacji.

O swoje miejsce w świecie szurów próbuje jeszcze walczyć Jachira. Rzeczywiście, ona z całej tej trójki ma największy potencjał, aby wrócić do pierwszej ligi polskiej szurii politycznej.

Izabela Leszczyna



Wbrew niesprawiedliwemu, choć rozpowszechnionemu stereotypowi obecna minister zdrowia nie jest szurem. Po prostu jest mało inteligentna i zupełnie niekompetentna. Stąd nieporozumienie, które koniecznie trzeba tu wyjaśnić.

Wojciech Sadurski Radosław Markowski

Z zawodu profesorowie, z natury absolutne szury. Obaj udowadniają, że wykształcenie formalne nie ma nic

wspólnego z rzeczywistą inteligencją, kulturą osobistą, a tym bardziej zwykłym rozsądkiem.

Urszula Zielińska

Ostatnio zniknęła z oczu opinii publicznej. Jakby dotarło do niej, że szurstwo może być źle odbierane. A był czas, gdy błyszczała w szurowsferze. Została w naszej pamięci jako orędowniczka walki z budową infrastruktury przeciwpowodziowej. „Tamy zubożają społeczeństwo” – to jej słowa z tamtego czasu. Albo to: „Dinozaury też myślały, że mają czas”. To „argument” pani wice-minister środowiska i klimatu za tym, aby zredukować emisję CO₂. Skąd ona wie, o czym myślały dinozaury?



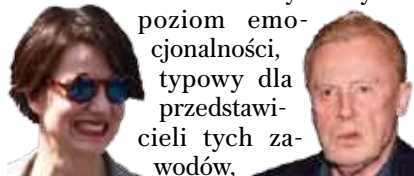
Paulina Hennig-Kłoska

Następny przykład tego, że tematy ekologii przyciągają szurów. Pani minister zasłynęła ze swej radości na wieść o spadku sprzedaży detalicznej. Uznała to za wspaniałą wiadomość, gdyż fakt, że ludzie kupują mniej ubrań, jest „dobry dla klimatu”. Przeszła także do historii propozycją niskoprocentowanych pożyczek dla powodzian zamiast pomocy państwowej. Stała się wtedy bohaterką licznych memów, w których nazwano ją „Hennig-Kłęska”.



Daniel Olbrychski, Maja Ostaszewska i wielu innych

Szuria ma szczególną łatwość rozprzestrzeniania się w środowiskach aktor-
skich i estradowych. Wysoki



poziom emocjonalności, typowy dla przedstawicieli tych zawodów,

i jednocześnie niski poziom wykształcenia oraz wiedzy o świecie tworzą mieszankę wybuchową. Szurskie wzmoczenie aktorów i innych artystów jest perfidnie wykorzystywane przez media. Dziennikarze bez trudu podjudzają pobudzonych aktorów do wypowiedzi absurdalnych, które potem rezonują wśród opinii publicznej i napędzają odsłony oraz oglądalność żyjącym z tego mediom. Opinia publiczna przestała się zresztą oburzać takimi wypowiedziami, jak niedawne słowa Daniela Olbrychskiego o tym, że wyborcy prawicy są „szpetnymi ludźmi”. Obecną reakcją są drwiny z autorów tego typu enuncjacji i niewybredne komentarze na temat stanu ich umysłów.

Rodacy Kamraci



Czyli Wojciech „Jaszczur” Olszański oraz Marcin „Ludwiczek” Osadowski. Ostatnie dinozaury zanikającej szurii prawicowej. Są też dowodem na to, że nie istnieje coś takiego jak solidarność między szurami różnych nurtów. Wręcz przeciwnie, poszczególne odłamy szurowsfery nienawidzą się i zwalczają. W czerwcu tego roku „Jaszczur” i „Ludwiczek” padli ofiarą szurii liberalnej. Zostali zatrzymani przez policję, a następnie aresztowani na dwa miesiące.

Grzegorz Braun



Według powszechnego stereotypu istotna postać w szurowsferze.

Niewątpliwie jest ważny dla wielu szurów, a oni są ważni dla niego. Ale czy

Braun naprawdę jest szurem, czy

tylko odgrywa taką rolę? Na to pytanie nie ma jeszcze odpowiedzi. 



Adam Szłapka był nadzorą polskiej prezydencji w UE

*Polskie przewodnictwo
w Unii Europejskiej było
pozbawione ambicji i znaczenia.
Pełne bardzo ważnych
wydarzeń, do których nie doszło,
i całej masy groteskowych,
zupełnie nieistotnych,
które się odbyły*



DARIUSZ MATUSZAK

Właśnie minęła polska prezydencja w Radzie Unii Europejskiej. To czas, w którym przewodzi się Radzie UE, reprezentuje unijną wspólnotę na arenie międzynarodowej, nadaje kierunki i priorytety polityczne. „To dobro rzadkie i wyjątkowe” – napisał w raporcie o wykorzystaniu szans prezydencji Mateusz Morawiecki. Tymczasem osiągnięcia obecnego rządu w tym półrocznym przewodzeniu UE moglibyśmy podsumować, pozostawiając trzy puste, białe strony albo zadrukowując je samymi zerami.

Nawet Leszek Miller, zazwyczaj bardzo łaskawy dla Donalda Tuska i PO, pytany o to, co zapamięta z prezydencji i jakie osiągnięcia miał premier, odpowiedział: „Nic nie zapamiętam. Jestem głęboko rozczarowany. Kiedy ta prezydencja się zaczynała, słyszeliśmy, jak to zasypimy Unię projektami, propozycjami, że to będzie przełomowa rzecz. Nic z tego się oczywiście nie stało”. Według Millera Tusk powierzył przygotowanie i poprowadzenie prezydencji ludziom, którzy do tego nie dorastają. Mniej więcej wiadomo, do czego dorósł Adam Szłapka, który dwa tygodnie przed końcem polskiego przewodnictwa wylądował z okrytego mgłą stanowiska ministra ds. Unii Europejskiej na stoliku rzecznika rządu, więc teraz nadaje na platformie Xi i TikToku. A może nawet dalej jest ministrem od tej Unii – kto ich tam wie.

Same zera wpisałyby też przewodnicząca klubu Lewicy Anna Maria Żukowska, która stwierdziła: „Nikt w ogóle nie wie, że jest prezydencja i że Polska ją ma od pół roku”. Posłanka próbowała nieśmiało usprawiedliwić niewidoczność prezydencji, twierdząc, że przykryła ją kampania wyborcza, ale to pocieszne bajania, bo przecież PO i rząd mogli z korzyścią dla Rafała Trzaskowskiego zrobić propagandową hucpę,

Prezydencja bezobjawowa

pokazać silną pozycję w UE, a nawet nakłamać, jak to mają w zwyczaju, że Polska zawdzięcza prezydencję tylko ich światłemu przywództwu.

PREZYDENCJA HYDRAULIKA

Kronika polskiej prezydencji jest głównie zapisem zdarzeń groteskowych i takich, do których nie doszło, a mogło i powinno. Przygotowania do niej rozpoczął jeszcze rząd Mateusza Morawieckiego. Długiego planowania wymagał m.in. kalendarz ważnych spotkań międzynarodowych. Ostatni szczyt Unia–USA odbył się w 2023 r. w Waszyngtonie, więc naturalne było, że do kolejnego powinno dojść w Europie. Polska dyplomacja rozpoczęła starania, by w czasie naszej prezydencji tym miejscem była Warszawa. Mieliśmy znakomite relacje zarówno z Joe Bidenem, jak i Donaldem Trumpem. Oczywiście żaden szczyt się nie odbył. Po serii obojętnych wystąpień polityków Platformy pod adresem Trumpa, w tym Tuska i Sikorskiego, stosunki z Białym Domem są w katastrofalnym stanie. Ponadto Polska całkowicie zrezygnowała z budowania nadzwyczajnych relacji transatlantycznych i wróciła do swej roli pośledniego państwa UE, któremu Berlin i Bruksela zakazały prowadzenia własnej polityki międzynarodowej.

Nie doszło też do zaplanowanego przez rząd Morawieckiego i przyjętego już w kalendarzu spotkania europejskich ministrów i przedstawicieli USA w ramach Rady ds. Handlu i Technologii. Wydarzenie zapowiadało się jako szczególnie ważne po tym, gdy Donald Trump jeszcze jako prezydent elekt ogłosił zaostrezenie polityki handlowej i celnej wobec Unii. Polska miała pod tym względem szczególnie dużo do ugrania, bo choć cała UE ma nadwyżkę w handlu z Ameryką, to nasz kraj ma deficyt.

Całkowicie realne było zorganizowanie choćby nieformalnego posiedzenia Rady Europejskiej. To stały obyczaj, podnoszący prestiż kraju prezydencji. W ciągu ostatnich lat unijne szczyty odbyły się m.in. na Słowacji, Malcie, w Estonii, Rumunii, Portugalii, Bułgarii, Francji, Czechach. Jaśniepaństwo

eurokraci pojechali nawet do znienawidzonego Orbána, który urządził im posiedzenie w Budapeszcie. Rząd Morawieckiego chciał, by odbyło się ono w Katowicach.

Jednak w grudniu 2024 r., po tym, jak Adam Szłapka przedstawił w Sejmie plan prezydencji, było jasne, że do niego nie dojdzie. Minister ogłosił, że polskie posiedzenie RE odbędzie się w Brukseli. Dlaczego nie w Polsce? Możliwe są trzy powody. Donald Tusk ma takie poważanie, że nie zdołał do tego przekonać „prezydenta” Europy – przewodniczącego RE António Costy. Tusk mógł też dostać zakaz z Berlina czy Brukseli, ale najbardziej prawdopodobne jest to, że sam nie chciał, bo głównym gospodarzem tego wydarzenia, przyjmującym przywódców europejskich państw, byłby prezydent Andrzej Duda.

Do prezydencji nie włączono też przypadającego na ten czas jubileuszowego, 10. szczytu Trójmorza, który organizowała Kancelaria Prezydenta RP. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że stał za nim Andrzej Duda, rząd je zbojkotował i wydarzenie w Lublinie miało charakter samorządowy. Nie da się nie zauważyć, że od kiedy rządy objęła koalicja 13 grudnia, Trójmorze – które nie podoba się Berlinowi i Brukseli – dosłownie wysycha.

Były szef MSZ Szymon Szynkowski vel Sęk podsumował brak inicjatyw międzynarodowych w raporcie o naszym przewodnictwie, pisząc, że „zeszliśmy do poziomu ambicji prezydencji »cieplej wody w kranie«”. Nawiązał on do powiedzenia Donalda Tuska, który już za swych pierwszych rządów mówił, że prowadzi politykę ciepłej wody w kranie.

POLSKA PREZYDENCJA MACRONA

Instytut naukowy Centrum Badania Polityki Europejskiej (CBPE) pisze o prezydencji: „Polska prezydencja [...] jest przykładem bezobjawowej prezydencji. Wystarczy wskazać, że z niewiadomych powodów władze w Warszawie nie zdecydowały się zorganizować żadnego szczytu Rady Europejskiej, mimo że zwoływane są szczyty ad hoc, w związku z ujawnia-

jącymi się problemami globalnymi (przykładem może być niedawny szczyt w Paryżu zorganizowany przez Emmanuelą Macrona)”.

Kolejnym planowanym wielkim wydarzeniem miał być szczyt Unia–Ukraina w Rzeszowie. I znów nic. Polska, największy sojusznik walczącego z Rosją kraju, zrezygnowała z organizowania go. Wicepremier Ukrainy Olha Stefaniszyna, pytana o to, czego Kijów spodziewa się po polskiej prezydencji, odpowiedziała, że rozmawiała w Brukseli na ten temat z ministrem ds. europejskich Adamem Szłapką, ale ten nie miał nic do powiedzenia i odesłał ją do Komisji Europejskiej. No właśnie – to Bruksela ustala, co dla Ukrainy może wyniknąć z polskiego przewodzenia Unii. Nieformalny europejski szczyt w sprawie Ukrainy – tzw. koalicji chętnych (pomagających walczącemu krajowi) – odbył się w marcu w Paryżu. Mateusz Morawiecki skomentował wtedy, że liderem polskiej prezydencji stał się Macron. Kolejny, już formalny, obejmujący całą Wspólnotę szczyt Unia–Ukraina odbył się w kwietniu w Brukseli.

CBPE wskazuje kolejne zaniechania, bezobjawowość przy okazji rozpoczęcia przez Donalda Trumpa rozmów dotyczących pokoju na Ukrainie. „Po zapowiedziach amerykańskiego prezydenta Europa zaczęła mówić głosem Brukseli, Paryża, Berlina i Londynu. Ciężar organizowania europejskich szczytów wzięli na siebie Macron i Starmer i to tandem brytyjsko-francuski narzuca obecnie europejską narrację. Polskiej prezydencji w Unii w tym kontekście niestety nikt nie widzi”.

Dostrzeżono za to, że Donald Tusk został w maju zabrany przez prezydenta Francji, premiera Wielkiej Brytanii i nowego kanclerza Niemiec na wycieczkę do Kijowa. O wyprawie było głośno, bo pokazało się nagranie, na którym widać, jak podróżujący w jednej salonce z kanclerzem Merzem Macron i Starmer w pośpiechu coś chowają. Publiczność uznała, że to torebka ze sproszkowanym białym węgorzem i lyżeczką do porcjowania, ale Pałac Elizejski zdementował „pomówienia” i oznajmił, że to była chusteczka ze smarkami prezydenta

Francji. Donald Tusk wyszedł czysto, bo nie został dopuszczony do towarzysztwa, tylko podróżował w innym wagonie – złośliwi mówią, że w bagażowym albo drugiej klasy, a gdy pociąg przyjechał do Kijowa, czekał pół godziny, zanim europejscy mocarze przywitają się z Ukraińcami i dopiero wtedy mógł z niego wysiąść. Zdjęcia samotnego Tuska na peronie dworca, próbującego się później wcisnąć w krąg rozmówców, niewątpliwie są symbolem polskiej prezydencji

PREZYDENCJA WARZYWNO-OWOCOWA

Następnym jest kolejne zdjęcie Donalda Tuska obierającego nad kubłem ziemniaki. W Monachium odbywała się właśnie konferencja dotycząca globalnego bezpieczeństwa. Uczestniczyli w niej światowi liderzy, a dyskutowano m.in. o wojnie na Ukrainie, sytuacji na Bliskim Wschodzie i współpracy transatlantyckiej. To tam wiceprezydent Ameryki J.D. Vance wygłosił słynne przemówienie, w którym oskarżał europejskie elity o porzucenie zachodnich wartości i prowadzenie kontynentu ku katastrofie. To wtedy Macron zwoływał na 17 lutego nagły szczyt przywódców europejskich w Paryżu. A Tusk dokładnie wtedy skrobał kartofle i 16 lutego wrzucał do sieci focie z tego epokowego wydarzenia.

Mamy nie tylko ziemniaki prezydencji, lecz także jabłko. Trzeba przyznać, że Szymon Szynkowski vel Sęk wykazał się dużą intuicją, przewidując już w grudniu, że będzie to prezydencja gadżetowa, w której głównym wyzwaniem będą logo i podarunki. Poseł PiS przeanalizował, jak w wykonaniu rządu Tuska wyglądała prezydencja w 2011 r. Tym razem obyło się bez kolorowych bączków, ale do Brukseli pojechały skrzynki jabłek. To mogło mieć coś wspólnego z aktywnością jednej z najważniejszych polskiej instytucji w tej prezydencji – Głównego Inspektoratu Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych (GIJHARS). Ten dzielny

inspektorat przeprowadził posiedzeniom jakiejś tam grupy roboczej Rady UE ds. Międzynarodowych Kwestii Żywnościowych i Rolnych oraz w sprawie opracowania tzw. unijnego Kodeksu Żywnościowego. Zorganizował też seminarium „Bezpieczeństwo, Europo! – Rola Komisji Kodeksu Żywnościowego FAO/WHO w zapewnieniu bezpieczeństwa żywności a prezydencja Polski w UE”. Wiadomo – jedzenie musi być bezpieczne i nie ma to tamto. A ponadto seminarium dla szkół rolniczych i konferencja w Łosiuwie „Wino bez tajemnic”.

Całkowicie realne było zorganizowanie w Polsce choćby nieformalnego posiedzenia Rady Europejskiej. To stały obyczaj, podnoszący prestiż kraju sprawującego prezydencję. Jednak po tym, jak Adam Szłapka przedstawił w Sejmie jej plan, okazało się, że polskie posiedzenie RE odbędzie się w Brukseli

Z tym jabłkami w Brukseli nie chodziło o to, żeby pędzić z nich jabłczki, tylko żeby je sobie brać i jeść. „Polskimi jabłkami będziemy częstować uczestników najważniejszych wydarzeń, które w ramach prezydencji odbywać się będą w Polsce i Brukseli” – zachwalała nosząca tytuł pełnomocnika ministra do spraw Unii Europejskiej ds. przygotowania i sprawowania przez RP przewodnictwa w Radzie UE Magdalena Sobkowiak-Czarnecka. Do tego jeszcze przygotowano upominki. Perfumy „Bałtycki Bursztyn” i „Bez” oraz apaszki i krawaty. „Projektanci czerpali inspirację z trady-

cyjnych haftów regionalnych, łącząc w jedną kompozycję elementy haftu kurpiowskiego, kaszubskiego, łowickiego, górnośląskiego, krakowskiego i biskupiańskiego. Efektem jest wzór, który symbolizuje bogactwo kulturowe Polski” – zachwala kancelaria premiera. Na taką kreatywność nie zdobyłby się nawet wystawiający się na targach w Odrzywołach producent szpadli i motyk.

Jakby mało było tego przepychu i rozmachu, to jeszcze w budynku Rady Unii Europejskiej postawiliśmy instalację fontannę „Klimat to my”, której woda, jak objaśniła artystka wizualna Alicja Patanowska, symbolizuje „potrzebę porozumienia międzygatunkowego i ukazanie perspektywy istot nieludzkich”. Takich wystaw, prezentacji koncertów, nawet w Brazylii, była ogromna obfitość. Zaszczytu przedstawienia swego dzieła w ramach prezydencji dostąpiła choćby Agnieszka Holland, która w Berlinie miała projekcję wyprodukowanego m.in. za pieniądze z Niemiec filmu „Zielona granica”. Niemcom mógł się podobać, bo pokazywał, jak ciężarna kobieta jest rzucana na druty kolczaste. A poza tym to obraz z 2023 r., kiedy rządził jeszcze zbrodniarze z PiS i pilnowali granicy z Białorusią. Żaden inny film nie nadawał się lepiej na prezydencję.

To nikczemne wydarzenie jest dobrą pointą naszej prezydencji. Jednym z jej priorytetów (nie warto się nad nimi pochylać) był rozpisany na kilka elementów program „Bezpieczeństwo, Europo!”. Wśród nich ochrona granic. W dokumentach rządowych zapisano: „Podejmiemy działania na rzecz adekwatnej odpowiedzi UE na zagrożenia hybrydowe, w szczególności instrumentalizację migracji. Instrumentalizacja migracji jest to przede wszystkim zagrożenie bezpieczeństwa i integralności terytorialnej całej Unii”. Taka wojna hybrydowa, tym razem także na naszej zachodniej granicy z Niemcami, właśnie się rozpoczęła. Berlin jak Mińsk organizuje przerzut imigrantów do Polski



Fot. Andrzej Wiktor

Nazywam się Błaszczak i jestem z tego dumna

Polityka zawsze była obecna w naszym domu. U nas zawsze był włączony jakiś kanał informacyjny. Ja robię to samo, słucham newsów. Mam nadzieję, że niedługo ludzie poznają mnie z mojej działalności, nie tylko z nazwiska

Z *Julią Błaszczak*, radną Legionowa, rozmawia Dorota Łosiewicz

Obejmuje pani mandat radnej w Legionowie po Andrzeju Kalinowskim. Media doniosły, że „Julia Błaszczak wchodzi do polityki”. Czy na pewno wie pani, co robi?

Julia Błaszczak: Jest trochę niepewności, mogą się wydarzyć różne rzeczy. Jednak wiem, co chcę zrobić

w Legionowie, jaki jest mój cel. Chcę pomagać ludziom. Do życia publicznego nie wchodzę całkiem w ciemno, bo znam je przez działalność taty.

Zaskoczyło panią to zainteresowanie medialne? Informacja poniosła się szeroko.

Bardzo. Podczas kampanii rok temu, gdy kandydowałam w wyborach samorządowych, pisały o tym lokalne media. I spodziewałam się raczej, że będę „newsem” lokalnym, a rozeszło się na całą Polskę. Pewnie dlatego, że tatę zapytał o mnie „Super Express”, on wypowiedział się entuzjastycznie

i tak poszło. Najbardziej podobał mi się tytuł „Córka ministra wkracza do gry”.

Nie zraża pani towarzyszący polityce wszechobecny hejt?

Nie. Latami obserwowałam hejt na ojca, przyzwyczaiłam się. Przeważnie hejt jest zupełnie niemerytoryczny, a jeśli będą uwagi merytoryczne, będę się starała lepiej pracować dla dobra mieszkańców Legionowa. Hejt nie zniechęci mnie do działania. Nie można dać się pokonać złu. Mam duże wsparcie rodziny, znajomych.

A czy ten hejt związany z działalnością publiczną ojca był bolesny?

Niektóre komentarze pewnie są przykre, ale starałam się nie czytać głupot. Wiem, jakim człowiekiem jest mój ojciec i to mi wystarczy. Gdy tata wszedł do dużej polityki, miałam pięć czy siedem lat. Polityka i hejt są więc w moim życiu, odkąd pamiętam. Po prostu się do tego przyzwyczaiłam. Mnie hejt nigdy nie dotknął. W szkole miałam szczęście. Nikt mnie nie zaczepiał, może sporadycznie pojawiały się jakieś uwagi. Nigdy nie doświadczyłam nieprzyjemności ze strony nauczycieli. A chodziłam do publicznej podstawówki. Później poszłam do szkoły katolickiej, tam jednak większość osób miała konserwatywne poglądy. Najtrudniej było wtedy, gdy przez Polskę przetaczały się protesty związane z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego dotyczącym aborcji eugenicznej. W Legionowie zorganizowano wówczas protest i na naszą ulicę przyszło 400 osób. Wtedy się bałam. Ogólnie jednak mam i miałam szczęście do ludzi.

Jak to jest mieć ojca polityka? Brakowało go w domu?

Nigdy nie wiem, jak odpowiadać na tego typu pytanie, ponieważ nie wiem, jak to jest nie mieć ojca polityka. Miałam taką koleżankę, której tata dużo pracował z domu, więc on był na wszystkich wywiadówkach, uroczystościach i kiedyś naszała mnie refleksja, że może być inaczej niż u mnie. Jednak mój tata zawsze starał się być na ważnych uroczystościach – był na studniówce, pozostawał zaan-

gazowany w moje życie. Gdy nie mógł się gdzieś zjawić, to pisał lub dzwonił. Nie tęsknię za innym życiem i inną sytuacją, bo takie znam.

Jakim ojcem jest Mariusz Błaszczak?

Bardzo wspierającym, kibicującym. Często mówi, że jest z nas dumny. Tata chętnie pomaga, zawsze mówił: „Jak masz problem, to przyjdź do mnie i ja go rozwiążę”. Jest bardzo spokojny, lubi się przytulać. Często nas przytulał. Tata jest historykiem, mama zresztą też, więc dużo nam (mnie i dwóm braciom) pokazał i opowiedział. Od początku wiem, dlaczego tata robi to, co robi. Ani ja, ani bracia nigdy nie mieliśmy wrażenia, że tata coś poświęca. Po prostu ważna była dla niego służba Polsce i dla nas to było OK.

Czy fakt, że pociąga pani działalność publiczną to wpływ ojca?

Pewnie i mamy, i taty. Polityka zawsze była obecna w naszym domu. Mama też bardzo się nią interesuje. U nas zawsze był włączony jakiś kanał informacyjny. Ja robię to samo, słucham newsów. Dziadek też był rozpolitykowany. Pracował w FSO. Gdy wprowadzono stan wojenny, założył tam Solidarność i strajkował. Babcia zawsze opowiadała, że rodzina od strony taty i dziadka była zainteresowana polityką. Jak orali pole, przystawali, komentowali to, co się dzieje, a potem szli dalej. A tata po prostu wszedł do polityki, by mieć wpływ na rzeczywistość. Nie rozumiem ludzi, którzy nie interesują się tym, co się dzieje w kraju czy na świecie. Może czasem chciałabym się na chwilę wyłączyć i odpocząć, ale nie potrafię. Tata wchodził do domu, mówił: „Hello” i opowiadał, co robił danego dnia. On jest moim autorytetem. Często się z nim konsultuję i wierzę w jego rady, choć mówi też: „Bądź sobą, mów, jak uważasz i co czujesz”.

A macie jakieś swoje rodzinne rytuały?

Niedzielnny rodzinny obiad. To zawsze było ważne dla taty, który w niedziele rano często był gościem programów publicystycznych, wcześniej siedł do kościoła, a potem wracał na rodzinny

obiad. To była chwila, gdy mogliśmy być wszyscy razem, przychodziła babcia. I to był czas rozmów o naszym życiu. Zawsze też wyjeżdżaliśmy wspólnie na wakacje, najczęściej nad morze lub jezioro. Do tej pory to robimy. Powiedziałam rodzicom, że wciąż chętnie będę z nimi jeździć. Z nimi jest super, zawsze ciekawie. Zawsze zobaczymy coś fajnego albo coś opowiedzą – jak to historycy.

Nie boi się pani oskarżeń, że ma pani łatwiejszy start w życiu publicznym dzięki nazwisku?

Nie boję się, bo to jest prawda. Pewnie mam łatwiejszy start ze względu na nazwisko. Gdybym nazywała się inaczej, to zapewne nie miałabym możliwości objęcia wakującego mandatu, bo dostałabym mniej głosów. Jednak w kampanii nazwisko było jedyną rzeczą, która łączyła mnie z tatą. Na ulotkach nie było jego zdjęcia, nie wykorzystywałam jego wizerunku. Zdjęcie z tatą wrzuciłam do social mediów dopiero kilka godzin przed ciszą wyborczą. Dlatego, że tata tego chciał. Mam na nazwisko Błaszczak i jestem z tego dumna. Liczę na to, że niedługo ludzie poznają mnie z mojej działalności, nie tylko z nazwiska. Zabawne, że do tej pory we wszystkich publikacjach w internecie powtarzano, że Mariusz Błaszczak ma trzech synów. Mówił to każdy kolejny dziennikarz, można jeszcze znaleźć te informacje. Nawet na portalu X widziałam osoby piszące, że tata nie ma córki. Wypłynęłam więc trochę znikąd.

Podziela pani poglądy taty?

Tak. Zostałam wychowana w konserwatywnej rodzinie. Każdy z rodzeństwa jest trochę inny, ale mamy wspólne wartości. Nie byłabym w stanie głosować na liberałów czy lewicę. Inny światopogląd, wizja Polski, podejście do życia. Tata zawsze mi mówił, że trzeba być propolskim i myśleć o Polsce.

Wróćmy do celu, o którym wspomniała pani na początku. Co chce pani zrobić w Legionowie?

W kampanii miałam cztery postulaty i one wciąż są dla mnie ważne. Chodzi o darmową pomoc psychologiczną,

dojazd do szpitala, dojazd do warszawskiego metra (autobusem jedzie się bardzo długo) i zieleni w mieście. W Legionowie panuje betonowa i mam wiele pomysłów na to, jak można zazielenić miasto. Jeśli chodzi o pomoc psychologiczną, to zorganizowano akcję dziesięciu darmowych godzin konsultacji psychologicznych. Powinno być ich więcej. Trzeba zachęcać ludzi do korzystania z pomocy psychologicznej, a to nie jest tania sprawa.

Skończyła pani psychologię, pracuje pani w szkole z dziećmi. Lubi to pani?

Bardzo. Trafiłam do tej szkoły przypadkiem – dowiedziałam się, że szukają psychologa i się zgłosiłam. Bardzo lubię kadrę i pracę z dziećmi. Pracuje tam aż trzech psychologów, bo jest wiele dzieci z orzeczeniami. Podoba mi się jednak poważne podejście do zdrowia psychicznego najmłodszych, a w szkole jest mnóstwo poważnych problemów. Są rozmowy z dziećmi, rodzicami, nauczycielami, pomiędzy dziećmi i rodzicami, dziećmi i dziećmi. Dużo się dzieje, dużo się uczy. A młodzież ma coraz większe problemy, choć najwięcej pracuję z dziećmi w klasach 1–3. Ale nawet te maluchy są bardzo przebadane. Nawet jeśli nie posiadają telefonów, to mają mnóstwo dodatkowych zajęć. A dzieci muszą mieć czas na bycie dziećmi. Dziś zbyt często im się to odbiera.

A skąd zainteresowanie psychologią?

Zawsze lubiłam kontakt z ludźmi, rozmowy, choć nie na forum klasy. Rzadko zgłaszałam się do odpowiedzi. Często jednak słyszałam, że nadają się na psychologa, bo rozmawiam jak on. Babcia nie była zachwycona tym pomysłem. Ale coraz bardziej mnie to pociągało, czytałam magazyny naukowe. Studia były świetne. Zdobyłam dużą wiedzę, teraz pracuję w zawodzie i nie zamierzam z tego rezygnować. Może kiedyś prywatna praktyka... Marzy mi się psychoterapia, ale do tego długa droga, kolejne cztery lata dość kosztownej edukacji.

A jak przekonać ludzi do korzystania z pomocy psychologicznej? Często to temat tabu.

To kwestia wieku. Dziś młodzież czy dzieci nierzadko korzystają z pomocy psychologicznej i nie mają z tym żadnego problemu. Dzieci chętnie przychodzą na konsultacje, często nawet chwalą się tym, że korzystają z pomocy. Może z nich przejdzie to na starszych, na rodziców. Warto zachęcać starsze osoby, że może im to pomóc, oraz promować korzystanie z takiej pomocy.

Wszystko trzeba robić po kolei i nic na pół gwizdka. Nie jestem gotowa na dużą politykę, za mało wiem, potrzebuję więcej doświadczenia i obycia. Rada Miasta to doskonała szkoła i na tym chcę się skupić

Jaką ma pani pasję poza psychologią?

Bardzo interesuję się genealogią i badam przeszłość mojej rodziny. Teraz jest mnóstwo zdigitalizowanych archiwów w internecie. To się zaczęło od rodzinnych opowieści babci, która mówiła, kim były jej babcia i prababcia. Słuchałam tych opowieści z wypiekami na twarzy, aż sama zaczęłam grzebać w przeszłości. Dokopałam się do XVIII w. i bardzo mnie to cieszy. Moi przodkowie byli głównie chłopami. Gdy mam wolną chwilę, grzebię i szukam. Robię też rodzinie testy DNA. Ustaliłam, że wszyscy pochodzimy z Mazowsza.

Kim chciała pani być w dzieciństwie?

Miałam klasyczne marzenia: aktorką lub piosenkarką. W szkole miałam podejścia pod udział w imprezach artystycznych, ale zawsze coś stawało mi

na drodze, więc uznałam, że to chyba jednak nie dla mnie. Potem już zaczęłam myśleć o psychologii.

Widzi się pani w dużej polityce?

Na razie nie. Wszystko trzeba robić po kolei i nic na pół gwizdka. Nie jestem gotowa na dużą politykę, za mało wiem, potrzebuję więcej doświadczenia i obycia. Rada Miasta to doskonała szkoła i na tym chcę się skupić.

A gdyby pojawiła się możliwość startu do Sejmu, skorzystałaby pani?

Chyba na to za wcześnie, nie myślę o tym. Na razie zaskoczyła mnie możliwość wejścia do Rady Miasta. Rok temu byłam na to bardziej gotowa. Gdy na początku maja dostałam SMS od Andrzeja Kalinowskiego, który zrezygnował z mandatu, a ja jestem następną w kolejności, byłam zaskoczona, a także bardzo podekscytowana. Miałam wtedy iść na imprezę do koleżanki, ale emocje wzięły górę i zostałam w domu. Cały wieczór przgadałam z tatą. Cieszył się i powiedział: „Teraz będziesz działać i zrobisz to, co planowałaś”. Obiecał, że pomoże, Kalinowski także zapowiedział pomoc. Tata powiedział mediom, że jestem zdeterminowana i energiczna. I chyba jestem, bo on to siła spokoju.

A jak pani patrzy na próbę podważenia wyniku wyborów prezydenckich?

To jest komedia. Przegrani łapią się każdej deski ratunku, byle nie zaakceptować porażki. Koalicja Obywatelska była tak pewna zwycięstwa, że nie akceptuje rzeczywistości. Oni zachowują się, jakby nie dorośli do demokracji, co sami przecież zarzucają Polakom. Tymczasem Polacy wybrali. A teraz tzw. demokraci chcą podpalić Polskę i ukarać obywateli za dokonany wybór. Mam wielu znajomych, którzy wierzyli w KO, a teraz widzą i rozumieją, że nie tędy droga. Jestem optymistką i wierzę, że dojdzie do zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego, a potem sprawy będą szły tylko w lepszą stronę.

Tusk szykuje nową wojnę przeciwko kibicom?



Charakterystyczna dla liberalnych elit pogarda dla kibiców była również wykorzystywana w kampanii prezydenckiej jako „paliwo” nienawiści kierowanej pod adresem Karola Nawrockiego. Ale ta historia zaczęła się wcześniej



GORAN ANDRIJANIĆ

Marzec 2020 r., Zagrzeb. Stolica mojej ojczyzny Chorwacji właśnie przeżyła wielkie trzęsienie ziemi, najsilniejsze od 100 lat.

Dzięki Bogu nie było wiele ofiar w ludziach. Jednak budynki, zwłaszcza te w centrum miasta, zostały uszkodzone, niektóre z nich nawet doszczętnie znisz-

czone. Mieszkańcom Zagrzebia trudno było patrzeć na popękane mury zabytkowych kościołów, w tym zagrzebskiej katedry. Atmosfera w mieście była ponura.

Jedno zdjęcie opublikowane wówczas w mediach dodało otuchy sercom mieszkańców Zagrzebia. Można było na nim zobaczyć Bad Blue Boys, kibiców klubu piłkarskiego Dinamo Zagrzeb, pomagających w ewakuacji największego szpitala położniczego w mieście, którego budynek również został uszkodzony. W tym beznadziejnym czasie widok młodych i silnych mężczyzn ostrożnie wynoszących inkubatory ze szpitala położniczego stał się symboliczny.

Bad Blue Boys byli jedną z głównych grup, które pomogły w odbudowie miasta.

To nie wszystko. Do Zagrzebia przyjechali również kibice Hajduka ze Splitu (Torcida), głównego rywala Dinamo.

Dwie grupy piłkarskich fanów, które regularnie ścierają się ze sobą i często spotykają na ustawkach, tym razem pracowały razem, aby pomóc mieszkańcom stolicy. Podobnie było w czasie naszej wojny o niepodległość w latach 90., kiedy Bad Blue Boys i Torcida zapomnieli o rywalizacji i ręka w rękę poszli bronić ojczyzny.

Tak jest zawsze – przynajmniej, jeśli chodzi o Europę Środkową: za każdym razem, gdy wspólnota oraz społeczność są zagrożone, pierwszymi, którzy pomagają i interweniują, są kibice. Bo w nich zawsze działa poczucie solidarności społecznej i lojalność wobec wartości jednoczących naród.

Tak jest też w Polsce. Kiedy trwała kampania medialna przeciwko św. Janowi Pawłowi II próbująca zdyskredytować jego autorytet oraz zniszczyć wiarygodność, polscy kibice byli pierwszymi, którzy stanęli w jego obronie.

Już w pierwszą niedzielę po emisji w TVN kłamliwego filmu „Franciszkańska 3” kibice

warszawskiej Legii wywiesili na meczu baner „Łapy przecz od Jana Pawła II”.

Później transparenty o podobnych treściach pojawiały się na innych trybunach piłkarskich, a kiedy we Wrocławiu ktoś zniszczył mural przedstawiający papieża, który kiedyś narysowali kibice Śląska, chłopaki naprawili go tego samego dnia.

STRAŻNICY POLSKIEJ PAMIĘCI

„Kibice to nie tylko stadiony, lecz także pewien styl życia, gotowość do bronięcia wartości, naszego stylu życia i do pomocy słabszym” – powiedział niedawno w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność” ks. Jarosław Wąsowicz, duszpasterz kibiców, dodając, że widać to podczas akcji wspierania Polaków na Kresach, w których fani piłki regularnie biorą udział.

W tym samym wywiadzie Wąsowicz opisał środowiska kibiców jako strażników polskiej pamięci historycznej i wartości narodowych.

Ta sytuacja jasno pokazuje, dlaczego III RP i jej lewicowo-liberalny establishment od dawna prowadzą wojnę z kibicami. Słynny slogan: „Donaldzie, matole, twój rząd obalą kibole” nie wziął się z niczego. Powstał na początku drugiej kadencji rządu PO-PSL, kiedy Tusk wypowiedział wojnę grupom kibicowskim i zaczął wysyłać policję przeciw nim.

To właśnie z tego okresu pochodzi medialny obraz kibiców jako „szalonych homofobicznych faszystów”, którzy nie robią nic poza biciem wszystkich wokół i są kojarzeni z przestępczością. Ten medialny obraz od dawna dominuje w establishmentie III RP, a każdy, kto próbuje mu się przeciwstawić, jest atakowany.

Ta charakterystyczna dla liberalnych elit pogarda dla kibiców była również wykorzystywana w kampanii prezydenckiej jako „paliwo” nienawiści kierowanej pod adresem Karola Nawrockiego. Fakt, że kandydat obywatelski ukształtował się w młodości pod wpływem wartości grup kibicowskich (nieprzypadkowo Albert Camus napisał, że wszystkiego, co wie o moralności, nauczył się, grając w piłkę nożną), był okazją do najgorszego klasizmu skierowanego przeciwko kandydatowi z gdańskiej dzielnicy Siedlce.

Nawrocki stał się „kibolem”, co jest terminem obraźliwym, który właśnie w czasach wojny Tuska przeciwko kibi-

com promowała gazeta Adama Michnika. Wbrew wszystkim atakom – wygrał. Czy w walce politycznej przeciwko nowemu prezydentowi szef rządu powróci do wojny z kibicami?

Rafał Woś, zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność”, uważa, że jest to całkiem możliwe. – Środowiska kibicowskie są, oprócz związków zawodowych, największą oddolną organizacją społeczną w Polsce, nad którą liberalowie w tym momencie nie sprawują kontroli – mówi nam publicysta. – Co więcej, są to organizacje, które stoją zazwyczaj na kompletnie odmiennych pozycjach niż aktualny rząd. Skoro nie mogą ich kontrolować, to je zwalczają. A to pokazuje hipokryzję liberalów. Jednym z najważniejszych elementów ideologii liberalnej jest znaczenie organizacji pozarządowych i ruchów społecznych. Okazuje się, że oni lubią tylko te organizacje, które mają odpowiednie poglądy. Dowodem jest wrogość wobec kibiców oraz związków zawodowych, zwłaszcza Solidarności – dodaje Woś.

Na razie nowa faza wojny Tuska z kibicami odbywa się tylko deklaratoryjnie. Przykładem tej retoryki jest tekst opublikowany niedawno w „Gazecie Wyborczej”, w którym norwesko-polski socjolog Kacper Szulecki wskazuje jedyny sposób walki z kibicami, jego zdaniem grupami związanymi z „przestępczością zorganizowaną i handlem narkotykami”. To ta sama opowieść, którą słyszeliśmy w latach 2007–2010, za czasów pierwszego rządu Tuska.

„W tamtym czasie rząd zdawał się rozumieć, że rozwiązaniem jest potraktowanie grup kibicowskich jak mafii lat 90. i w tym starciu państwo musi postawić na siebie albo przegra” – opisuje Szulecki.

Pytam Wosia (który, swoją drogą, tak samo jako Camus był kiedyś bramkarzem), o co chodzi w takiej retoryce, według której bycie kibicem oznacza udział w organizacji przestępczej.

– To jest jeszcze jeden typowy przykład zachowania z liberalnej czytanki. Ile w tym racji? Tyle ile w tym, kiedy Tusk mówi, że PiS to organizacja przestępcza. Po ośmiu latach władzy Zjednoczonej Prawicy może znajdziesz ludzi w strukturach rządowych, którzy byli nieuczciwi albo robili różne rzeczy balansujące na granicy. Tyle że Tusk wyprowadza z tego gruby wniosek, że PiS jest organizacją przestępczą. Dokładnie to samo robi ze

środowiskami kibicowskimi. Próbuje potwierdzić wszystkie stereotypy, które liberalny mieszczanin ma w głowie na temat środowisk kibicowskich – wyjaśnia zastępca Tysola.

POLITYKA TYLKO W TLE

Najbardziej interesujące w tym wszystkim jest to, że kibice są bardzo zróżnicowani politycznie. Wszystkie badania pokazują, że większość członków grup kibicowskich jest zorientowana konserwatywnie i skupiona na obronie tradycyjnych wartości. Jednak absurdalne jest twierdzenie – przyznają to nawet niektórzy liberalni badacze – że fani są związani tylko z jedną partią polityczną. Ich preferencje polityczne pozostają bardzo różne, podobnie jak w innych segmentach społeczeństwa. Ich zaangażowanie polityczne zawsze ma na celu obronę wartości, które uważają za kluczowe, ale nigdy nie jest nastawione na promowanie konkretnej opcji politycznej.

Nasi rozmówcy uważają, że akcja z transparentami „Byle nie Trzaskowski”, które pojawiły się na kilku różnych stadionach, prawdopodobnie pomogła Nawrockiemu w walce przeciwko jego kontrkandydatowi. Uważają jednak, że powstała „oddolnie”, a jej główną ideą było przeciwstawienie się prezydentowi Warszawy, który robił wszystko, aby zniszczyć oraz zdyskredytować Marsz Niepodległości, a niekonieczne pomóc Nawrockiemu. Jednocześnie, jak mówią nasi rozmówcy, ta akcja w pewien sposób stworzyła wizerunek Nawrockiego jako kandydata o „antysystemowej” wrażliwości.

Ks. Bogusław Kowalski, który swoją duszpasterską pracę z kibicami traktuje jako powołanie, opowiedział przed laty bardzo ważną anegdotę.

„Kiedyś szedłem na mecz na stadion przy ul. Łazienkowskiej. Zauważyłem, jak ojciec ubiera około 5-letniego syna w koszulkę Legii, zakłada mu czapeczkę, daje trąbkę w dłoń, a ten chłopiec patrzy w ojca z niebywałym podziwem. Wtedy tak sobie pomyślałem: »Skoro małe dziecko już wie, co oznaczają barwy klubowe, to jemu łatwiej będzie wytłumaczyć, czym są te narodowe«”.

Czy to przywiązanie do barw tłumaczy, dlaczego kibice mają tak wielu wrogów wśród tych, którzy uważają, że polskość to nienormalność?



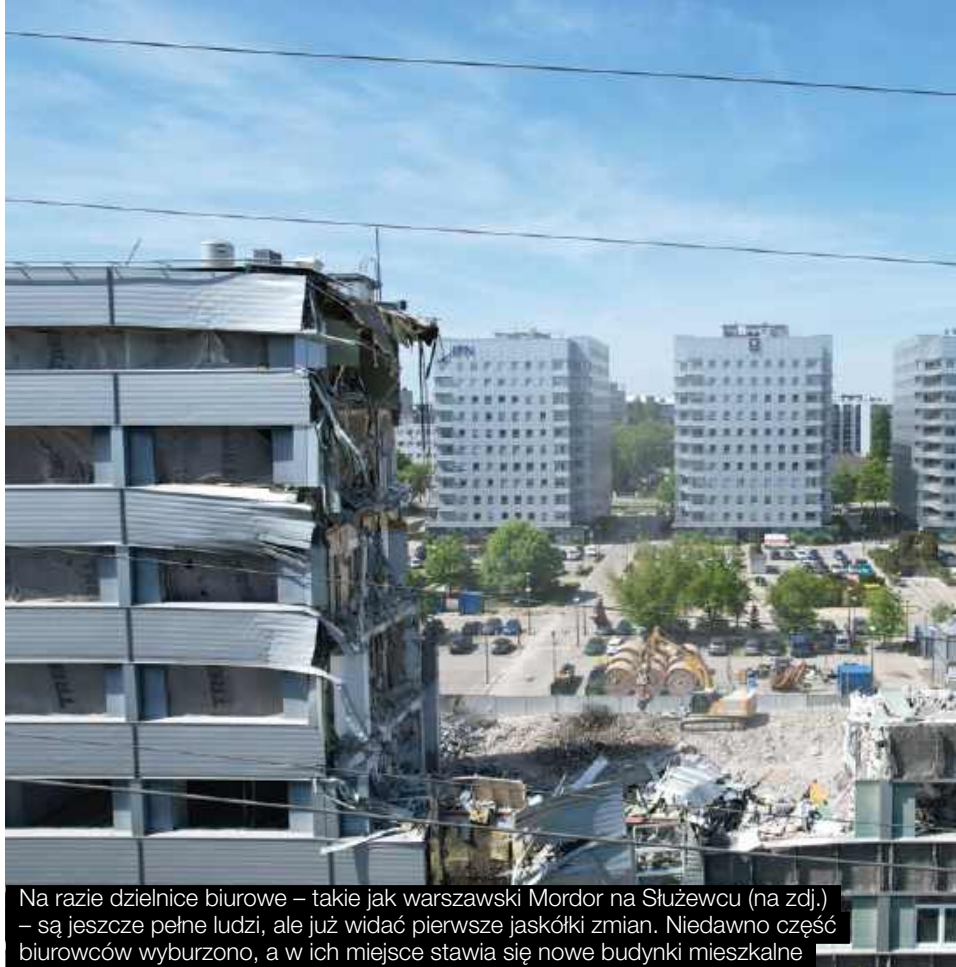
KONRAD KOŁODZIEJSKI

To nie tak miało być. Po październikowych wyborach do Sejmu w 2023 r. i objęciu władzy przez Tuska miała przecież nastać uśmiechnięta Polska.

Miało być demokratycznie, europejsko, kolorowo, a przede wszystkim stabilnie, dostatnio i bezpiecznie. Mieli nami rządzić profesjonalni, kompetentni politycy, którzy zapewnią, że Polska przyłączy się do głównego europejskiego nurtu i będzie rosnąć w siłę. Miały nas zasypać pieniędze z KPO, dzięki którym nasza gospodarka dostanie turbonapędu, a zagrożenie wojenne z Rosji zostanie praktycznie wyeliminowane dzięki zgodnej współpracy nowego rządu z Niemcami i całą Unią. To wszystko miało być, a tego nie ma.

Jasne, że nikt, kto zachował choćby odrobinę rozumu, nigdy nie wierzył w bajeczną wizję uśmiechniętej Polski pod rządami Tuska. Jednak ponad 6 mln osób, które oddały głos na Platformę, przyjęło te brednie bez większych zastrzeżeń. Dziś niektórzy z nich czują się zawiedzeni i sfrustrowani. Oczywiście nie tęsknią za rządami PiS, jednak – mówiąc eufemistycznie – spodziewali się po rządach Tuska znacznie lepszych efektów.

Nadal popierają swoją władzę, ale już bez takiego entuzjazmu jak kiedyś. Z coraz większym niepokojem spoglądają w przyszłość. Bo żyje się trudniej. Za granicą trwa wojna, zapowiadanej prosperity jak nie było, tak nie ma i niewiele wskazuje na to, że się pojawi. Rosną za to obawy: o pracę, spłatę kredytu na mieszkanie, edukację dzieci, utrzymanie dotychczasowego poziomu życia (bo na poprawę nie ma już chyba co liczyć). Tymczasem Tusk, zamiast uspokajać obawy własnego elektoratu, w oszalałym tempie zsuwa się w odmęt politycznego szaleństwa.



Na razie dzielnice biurowe – takie jak warszawski Mordor na Służewcu (na zdj.) – są jeszcze pełne ludzi, ale już widać pierwsze jaskółki zmian. Niedawno część biurowców wyburzono, a w ich miejsce stawia się nowe budynki mieszkalne

Zmierzch Mordoru

Kryzys wiary zaczyna się szerzyć wśród „młodych, wykształconych z wielkich miast”, którzy z coraz większym niepokojem spoglądają w przyszłość. W ostatnich miesiącach wielu z nich padło ofiarą redukcji, zwolnień i zaciskania pasa. Nadal popierają swoją władzę, ale już bez takiego entuzjazmu jak kiedyś

NIC NIE JEST JUŻ PEWNE

Kryzys wiary zaczyna się szerzyć wśród „młodych, wykształconych z wielkich miast”. Zwłaszcza tych, którym nigdy nie udało się dołączyć do wąskiej finansowej elity. To zwykli wyrobnicy korporacji, często w mocno dojrzałym wieku, rozmaici account managerowie, specjaliści od tabel w Excelu, konsultanci – ludzie, których praca, niekiedy ciężka, jest tak naprawdę nikomu niepotrzebna. W ostatnich miesiącach coraz częściej

padają ofiarą redukcji, zwolnień i zaciskania pasa.

Jeszcze niedawno wydawało im się, że są o krok od wejścia na szczyt. Harowali przecież w nadgodzinach, poświęcali życie osobiste, podbijali normy – wszystko po to, aby osiągnąć dobre wyniki. Wielu do głów uderzyła woda sodowa, zaczęło im się wydawać, że są lepsi od otaczającego pospólstwa, które w ich mniemaniu zasłużyło na swój nędzny los, bo było zbyt głupie i zbyt leniwe. A oni byli przecież panami świata – co roku zagraniczne



są zwolnienia i jest ich coraz więcej. W niektórych korporacjach z dnia na dzień znikają całe działy, w innych redukcje są stopniowe i odbywają się bez większego rozgłosu.

Ich ofiarami najczęściej padają wieloletni pracownicy, którzy okazali się zbyt kosztowni dla firmy. W ich miejsce zatrudnia się młodych, tańszych lub całe

Oczywiście ich nikt nie będzie zatrudniał za głodowe stawki, zamiast tego są po prostu zwalniani, a ich miejsca pracy – przenoszone za granicę lub rozdzielane między tych, którzy pozostali w firmie. „U nas zwolnili jedną trzecią pracowników, kazali robić dwa razy więcej i nie dali podwyżki” – opowiada jeden z tych, którzy ocalili z pogromu.

Ten proces uruchamia jednak domino. Redukcje w korporacji oznaczają przecież mniejsze zapotrzebowanie na usługi kooperantów. W ten sposób ubywa miejsc pracy u innych: w firmach informacyjnych, kancelariach prawnych, logistycie itd. Wszystko zaczyna się trząść w posadach. Zwłaszcza że wiele – jeśli nie większość – pracy realizowanej dotąd przez pracowników korporacji może wykonać sztuczna inteligencja.

Platforma trzyma się u władzy na dwóch podporach: zagranicy i dobrym samopoczuciu wielkich miast. Jeśli jedna z tych podpór zacznie się kruszyć, los tej władzy zostanie przypieczętowany

wakacje, samochód w leasingu, apartament kupiony na kredyt. Byli pewni, że ich pozycja społeczna jest niezagrożona. Nawet jeśli działo się coś złego, to dotyczyło innych i było nieistotne, bo przecież losem plebsu nikt się nie przejmował.

Teraz ich świat zaczyna się chwiać. Okazało się bowiem, że tak naprawdę niewiele potrafią, można ich z dnia na dzień wyrzucić na bruk, a wtedy całe ich dotychczasowe życie w mgnieniu oka zostanie przekreślone. Stąd ten niepokój.

POPŁOCH W KORPORACJACH

„Czy wy też widzicie w ciągu ostatnich kilku miesięcy potężną ilość zwolnień i redukcji kosztów w korpo? Nawet bardzo dobrzy ludzie wypadają, »bo tak«. Nigdy nie widziałem takiej kumulacji zwolnień jak w ciągu ostatnich kilku miesięcy, a ostatnie lata wyglądały nieciekawie” – pyta na jednym z portali społecznościowych pracownik korporacji.

Temat zostaje podchwycony przez wiele osób. Większość z nich potwierdza spostrzeżenie autora postu. Tak,

stanowiska pracy po prostu przenosi się za granicę, najczęściej do Azji.

„Właśnie zostałem zastąpiony Hindusami. Ale nie ma się co dziwić, skoro byli w stanie na moje miejsce zatrudnić pięciu Hindusów – firmom się to po prostu opłaca” – opowiada jeden ze zwolnionych. „Znajoma rekrutuje osoby do pracy w finansowej korpo i potwierdza, że od jakiegoś czasu prawie wszyscy kandydaci, którzy przychodzą na rozmowy rekrutacyjne, mówią, że szukają nowej pracy, bo ich stanowiska mają zostać zastąpione przez Hindusów” – dodaje inna uczestniczka rozmowy.

Hindusi są tańsi, pracują przez siedem dni w tygodniu i nie obowiązują ich żadne kodeksy pracy. Globalne korporacje przenoszą się więc do Azji, bo tam mogą więcej zarobić. A ich menedżerowie zgarniają premię za „oszczędności”.

Taka „optymalizacja” nie jest w Polsce niczym nowym. W III RP przez całe lata obniżano koszty pracy, często poniżej granicy wyzysku. Ofiarą tych praktyk padły dziesiątki tysięcy pracowników w różnych biedafirmach, punktach usługowych, sklepach, gastronomii. Teraz jednak po raz pierwszy mocniej odczuli to na własnej skórze pracownicy korporacji.

ZAGROŻENIE EGZYSTENCJALNE

W liberalnych mediach, a niekiedy i w zwykłych rozmowach z wyborcami PO można usłyszeć mnóstwo relacji, jak jest im ciężko. Że nienawidzą swojej pracy, chcieliby uciec jak najdalej. O strachu przed wojną, kolejnych podwyżkach oraz o tym, że nie będzie ich stać na spłatę kredytu zaciągniętego na dom.

Jest też widoczne przerażenie leminga, że w każdej chwili może stracić pracę i już nie znaleźć nowej, choć jeszcze kilka lat temu wielu z nich zmieniało zajęcie co dwa, trzy lata – „dla higieny” lub „dla rozwoju”.

Dobrym barometrem nastrojów panujących wśród „młodych, wykształconych z wielkich miast” jest zawartość tygodnika „Newsweek”, w którym zapisano na ten temat mnóstwo stron. O pracodawcach, którzy nie chcą zatrudniać ludzi po czterdziestce oraz o tym, że na jedno miejsce w korporacji jest 500–600 zgłoszeń. Są też podpowiedzi sztuczek, jakie trzeba stosować, aby zainteresować pracodawcę. Jedni zapisują się na szkolenia z pisania CV, inni używają sztucznej inteligencji, ktoś reklamował się na Facebooku.

To rosnące poczucie lęku potwierdzają najnowsze dane statystyczne. Według nich w maju liczba osób zwolnionych z powodów leżących po stronie zakładu pracy wzrosła o blisko 10 proc. w porównaniu do tego samego okresu poprzedniego roku. Oznacza to, że redukcja zatrudnienia była najwyższa od czasów pandemii. I niewiele wskazuje na to, aby ten trend został szybko odwrócony.

Oczywiście te dane dotyczą całego rynku pracy, jednak tym razem kryzys nie oszczędza również korporacji, dlatego wywołuje wiele obaw wśród „młodych, wykształconych”. Przez Kraków, który w ostatnich kilkunastu latach stał się wielkim korporacyjnym hubem dla sektora IT i wszelkiej maści outsourcingu, od pewnego czasu przetacza się duża fala zwolnień. Z danych Grodzkiego Urzędu Pracy wynika, że stolica Małopolski znalazła się w gronie miast, które zostały najmocniej dotknięte zwolnieniami w branży nowych technologii. Tylko w pierwszym kwartale 2025 r. dziesięć firm zgłosiło zamiar zwolnienia łącznie 1877 pracowników, co niemal dorównuje łącznemu bilansowi z poprzedniego roku, kiedy to pracę straciło 1961 osób. Redukcje uderzyły głównie w sektor usług wspólnych oraz IT. Działalność ogranicza także krakowski oddział banku HSBC oraz UBS.

Według danych ONZ napływ zagranicznych inwestycji do Polski spadł w ubiegłym roku o ponad połowę w stosunku do roku poprzedniego (z 28,36 mld dol. w 2023 r. do 12,74 mld dol. w 2024 r.). Jednocześnie z naszego rynku wycofano w tym czasie inwestycje o wartości 2,17 mld dol.

Globalne koncerny związają się z Polski z różnych przyczyn: bo koszty są wyższe niż kiedyś, wzrasta ryzyko geopolityczne (wojna za miedzą), a także z powodu – jak to się ładnie określa – „automatyzacji procesów biznesowych”. Chodzi tu po prostu o zastępowanie pracowników sztuczną inteligencją.

AI stała się dziś egzystencjalnym zagrożeniem dla przeciętnego leminga. Okazało się bowiem, że praca, którą wykonywał, nie wymaga najczęściej żadnych unikalnych umiejętności. Jego kursy księgowości, ukończona wyższa szkoła marketingu i wieloletnia

praktyka przy Excelu są niewiele warte w obliczu nowej technologii. Komputer zrobi to wszystko szybciej i lepiej.

To oczywiście mocno zasłużona lekcja pokory. Dość już tego patrzenia z góry na „leniwe, zacofane” pospólstwo, które samo ponosi winę za swój nędzny los, ponieważ niczego nie potrafi. Otóż potrafi, i to znacznie więcej. A przynajmniej z jego pracy jest jakiś społeczny pożytek, bo leming osiągał tylko wyniki – dla zagranicznego pracodawcy.

KONIEC „MŁODYCH, WYKSZTAŁCONYCH”

Niektórzy powoli się budzą. „Rozwarstwienie zacznie rosnąć jak na sterydach. Bogaci będą jeszcze bogatsi, a biedni – jeszcze biedniejsi” – mówi w rozmowie z „Newsweekiem” pracownik korporacji IT. „Nawet ci przeciętnie zamożni, jak dziś programiści, zaczną ubożeć. Kto jest zagrożony? Prawie wszyscy. W pierwszej kolejności białe kołnierzyki z biur. Ale za jakiś czas także prace fizyczne będą wykonywane przez maszyny, których produkcją w całości zarządzi sztuczna inteligencja” – przewiduje.

Na razie dzielnice biurowe – takie jak warszawski Mordor na Służewcu – są jeszcze pełne ludzi, ale już widać pierwsze jaskółki zmian. Niedawno część biurowców wyburzono, a w ich miejsce stawia się nowe budynki mieszkalne. Widać też mnóstwo ofert wynajmu biura. Chętnych chyba nie ma, bo wiele biurowców od dłuższego czasu stoi pustych.

Na naszych oczach zmienia się epoka. Warszawski Służewiec przeżywa to kolejny raz. Kiedyś był przecież dzielnicą przemysłową z mnóstwem fabryk, magazynów i płataniń bocznic kolejowych. Gdy po upadku PRL nastąpiły nowe czasy, w ich miejscu wyrosły nowe ulice i szklane biurowce. Teraz i one zaczynają powoli zniknąć.

Zmierzch Mordoru zdaje się zwiastować nadejście kryzysu gospodarczego, przed którym przestrzegają co bardziej rozsądni ekonomiści. Jednak nie chodzi tu tylko o możliwe, ponure konsekwencje obecnych rządów, lecz także o towarzyszące im nieuchronne zmiany społeczne. Wraz z szeroko rozumianym Mordorem zaczną bowiem wymierać

„młodzi, wykształceni z wielkich miast”. Nie tylko dlatego, że nie są już młodzi, a ich wykształcenie – wszystko na to wskazuje – nie daje im żadnych szczególnych przewag ani umiejętności. Oni znikną jako klasa licząca się społecznie. Już dziś widać, że reprodukcja lemingów jest mocno ograniczona. Ich dzieci niechętnie idą w ślady rodziców – wychowane w ciepłarnianych warunkach nie zamierzają harować za miskę ryżu na wysokie zyski zagranicznego kapitalisty i od czasu do czasu liczyć na jakiś awans czy premię. Ten styl życia, dosadnie nazywany w publicystyce „kulturą zapierdolu”, już się u nas kończy.

Upadek „młodych, wykształconych” przełoży się również na politykę. Działające frustracje i obawy leminga są zwiastunem przyszłej erozji elektoratu Tuska i PO. Być może ten proces zostałby na pewien czas zatrzymany przez zwycięstwo Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich, ale byłoby to jedynie przedłużenie nieuchronnej agonii. Nie ulega bowiem wątpliwości, że monopolizacja władzy przez PO doprowadziłaby jedynie do jeszcze większej zapaści państwa niż dziś. Tymczasem Platforma trzyma się u władzy na dwóch głównych podporach: wsparciu zagranicy i dobrym samopoczuciu swoich wielkomiejskich wyborców. Jeśli jedna z tych podpór zacznie się kruszyć, los tej władzy zostanie przypieczętowany.

Widać to było do pewnego stopnia w 2014 r., gdy Tusk uciekł do Brukseli, pozostawiając Polskę w stanie pełzającego kryzysu wewnętrznego. I choć sytuacja pozostawała wtedy o niebo lepsza niż dziś, wywołało to demobilizację i zniechęcenie wielkomiejskiego elektoratu, co ostatecznie skończyło się utratą władzy przez Platformę. Dziś to zniechęcenie jest większe i stale rośnie, a co najważniejsze, towarzyszą mu symptomy zmian strukturalnych w społeczeństwie, w wyniku których lemingi mogą zostać wyrzucone za burtę.

Jeśli proces pauperyzacji i braku stabilizacji wielkomiejskiego elektoratu PO będzie postępował, to prawdopodobnie partia Tuska wpadnie w poważne tarapaty. I liberalna oligarchia będzie musiała znaleźć kogoś nowego na jej miejsce. Rozglądajmy się uważnie, bo casting rozpocznie się już niebawem. 

Amerykański bombowiec B-2 zrzuca ponad 13-tonową bombę GBU-57, nazywaną niszczycielem bunkrów



Wojna dwunastodniowa

Sobota 21 czerwca mocno odmieniła układ sił na Bliskim i Środkowym Wschodzie.

Pokazała też, że Stany Zjednoczone wciąż są poważnym graczem w tym regionie

W chwili, gdy piszę te słowa, wszystko wskazuje na to, że wojna dwunastodniowa (wedle miana nadanego jej przez Donalda Trumpa) właśnie się skończyła. Co prawda w zeszły wtorek obie jej strony – zarówno Żydzi, jak i Persowie – oskarżały się nawzajem o złamanie zawieszenia broni, ale przecież zawsze jest tak w chwilach, gdy dopiero co zawarty rozejm ma niczym *deus ex machina* zatrzymać rozpędzoną maszynę wojenną.

Zdaje się, że izraelskie dowództwo armii, wiedząc już o rozejmie, postanowiło wykorzystać ostatnie chwile przed jego wejściem w życie do ostatniego wielkiego nalotu na instalacje wojskowe Iranu, lecz spóźniło się z wykonaniem całej akcji. Ale w tym momencie decydujący był niezwykle ostry ton Trumpa: „Izrael. Nie zrzucaj tych bomb, bo to poważne wykroczenie. Zawróć do domu swoich pilotów. Teraz!”. Więc Żydzi na gwałt zawrócili pilotów, choć nie udało im się natychmiast odwołać wszystkich. Dla mullów rządzących Iranem był to



JAN ROKITA

czytelny znak, że Ameryka nie żartuje, a Trump najzupełniej serio zamierza wymusić koniec wojny.

IZRAEL ODETCRNAŁ

Te 12 dni, a prawdę mówiąc, przede wszystkim jeden spośród nich – sobota 21 czerwca – mocno odmieniły układ sił na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Najprawdopodobniej przez dłuższy czas, a może nawet już na stałe, nad państwem żydowskim przestanie ciążyć z mora unicestwienia przez wyprodukowaną w Iranie bombę atomową. Zmora, która od wielu lat wytwarzała w Izraelu ustawiczne poczucie niepewności jutra, albo i więcej – obawę o tymczasowość

państwa żydowskiego, kilkakrotnie likwidowanego już przecież w dawnej historii – od niewoli babilońskiej aż po masakerę Tytusa.

Izrael jest bezpieczny w sensie egzystencjalnym co najmniej na jakiś czas. Poza Iranem nie ma dziś bowiem na Bliskim i Środkowym Wschodzie żadnego kraju ani reżimu, który chciałby doprowadzić do unicestwienia państwa żydowskiego i miał szansę, by zdobyć techniczne środki do tego. Bliski Wschód staje się przez to choć trochę bardziej ustabilizowany, co oznacza, że także Ameryka ma „wolniejsze ręce” do zajmowania się innymi częściami świata. Rzecz doprawdy trudna do przecenienia z perspektywy interesów krajów, takich jak Ukraina, Litwa czy Polska.

Co prawda nie wiemy, czy program atomowy Iranu całkiem legł w gruzach w rezultacie ataku 14 amerykańskimi „bunker busterami”. I nawet dociekliwy szef Międzynarodowej Agencji Energii Jądrowej Rafael Grossi przyznaje, iż na razie nikt, w tym nawet władze Iranu, nie jest w stanie tego precyzyjnie ustalić.

Dwie rzeczy są jednak niemal pewne. Iran nadal ma wzbogacony uran, który ocalił przed zbombardowaniem podziemnej fabryki w Fordo, wywożąc go z tego miejsca ciężarówkami, których trasę uważnie monitorowali zarówno Amerykanie, jak i Żydzi. Nawiasem mówiąc, Amerykanie – jak się zdaje – z premedytacją umożliwili przeprowadzenie tej operacji.

Ale budowany przez lata system produkcyjny, urządzenia i sprzęt, dzięki którym można było zmontować głowice jądrowe, w sobotę 21 czerwca został mocno nadwerężony. Choć, jak łatwo było przewidzieć, kampania dezawuowania komunikatu Trumpa chwalać się zniszczeniem irańskiego potencjału jądrowego, natychmiast zdominowała globalne media, zakładające *a priori*, że Ameryka pod wodzą tego prezydenta musi ponosić wyłącznie porażki.

Rozsądną ocenę rzeczy przedstawia w rozmowie z Politico sekretarz stanu Marco Rubio: „Najważniejsze jest to, że są dziś znacznie dalej od broni jądrowej niż byli, zanim prezydent podjął tak odważne działanie” – mówi polityk. „To trzeba zrozumieć: znaczące, bardzo znaczące szkody zostały wyrządzone wielu różnym komponentom, a my dopiero dowiadujemy się o tym coraz więcej”.

Teraz kluczowe pytanie polityczne brzmi, czy amerykańska dyplomacja i międzynarodowa presja będą w stanie skłonić osłabiony reżim Chamenei do zawarcia traktatu o całkowitym wyrzeczeniu się przez Iran broni atomowej.

IRAN UPOKORZONY

Oslabiony i – co tu dużo mówić – militarnie skompromitowany Iran nie będzie teraz odgrywać tak istotnej roli w regionie jak do tej pory. Rozsypały się mocarstwowe ambicje kraju, który nie potrafił ochronić najwyższych dowódców swojej armii przed zabijaniem ich przez Żydów, likwidujących ich niemal jak bezbronne kaczki podczas polowania. A w ciągu 12 dni wojny Izrael potrafił zabić nie tylko jeden garnitur perskich dowódców, lecz także świeżo nominowanych ich następców.

Iran nie potrafił ocalić także swojej obrony przeciwlotniczej, którą w pierwszych dniach wojny Żydzi praktycznie



Izraelska obrona przeciwlotnicza próbuje zwalczyć irańskie rakiety nad Tel Awiwem

zlikwidowali z łatwością, która zdumiała nie tylko laików w kwestiach militarnych (takich jak ja), lecz także wysokiej klasy znawców wojen. Efekt był zdumiewający. Kiedy w sobotę eskadra bombowców przemieszczała się aż z terytorium USA, a potem likwidowała za pomocą gigantycznych bomb trzy perskie ośrodki nuklearne, ponoć nikt nie oddał do nich nawet strzału ani nie usiłował im przeszkodzić w akcji. To też zarówno Trump, jak i przywódcy Izraela mogli się wiarygodnie chlubić, iż mają „otwartą drogę do Teheranu”. Wywołało to popłoch i masowy exodus ludności stolicy Iranu.

Pryśły także – tym razem chyba ostatecznie – snute od wielu lat mity na temat konstruowanego przez perskich mułłów „szyckiego półksiężyca”, który w ideologii politycznej Iranu miał pełnić mniej więcej taką samą funkcję, jak idea „bliskiej zagranicy” w rozumieniu przywódców sowieckich, a potem rosyjskich. Ta strefa geopolityczna, obejmująca kraje o silnej pozycji religii szyickiej – Jemen, Irak, Syrię i Liban – miała odgrywać rolę swoistego „neo-imperium perskiego”, równoważącego co najmniej wpływy sunniczej Arabii Saudyjskiej i jej akolitów.

Syria wypadła z orbity perskich wpływów wraz z obaleniem Asada i zwycięstwem sunnickich rebeliantów. Ale wojna dwunastodniowa unaocniła światu, iż zarówno władze Iraku, jak i uzbrojony oraz kontrolowany do tej pory przez perskich mułłów libański Hezbollah nie są gotowe do praktycznego wsparcia Teheranu w chwili realnego zagrożenia. Słaby hegemon nie jest już niczym hegemonem. Iranowi pozostali tylko wierni bojownicy z plemienia Huti w Jemenie, którzy niczym dawniejsi piraci z fanatycznym poświęceniem są gotowi do ataków na zachodnie tankowce. To niewiele jak na hegemoniczne aspiracje perskiego reżimu.

Zatrzymanie perskiego programu atomowego i militarne upokorzenie Iranu w oczach jego sąsiadów stanowi korzyść nie tylko dla Izraela, lecz także kluczowych państw arabskich. Rytmicznie potępiają one wojnę wszczętą przez państwo żydowskie przeciw Iranowi, ale niemal wszyscy władcy krajów arabskich cieszą się z obecnego rozwoju zdarzeń. To zresztą jedna z najważniejszych i najbardziej charakterystycznych cech wojny dwunastodniowej: nie tylko Ameryka, lecz także Izrael (być może na kategoryczne życzenie Trumpa)



bombardowaniem Trump jasno dawał do zrozumienia, iż Iran ma tylko dwie opcje: natychmiastowe wyrzeczenie się broni jądrowej albo atak lotniczy z użyciem „bunker busterów”. Persom wyraźnie dano czas, aby ewakuowali ośrodki nuklearne i wywieźli z nich wzbogacony uran. Można założyć, że monitoring 16 ciężarówek wyjeżdża-

amerykański atak wywoła przewlekłą i straszną wojnę, być może nawet o wymiarze globalnym. W Ameryce historię rozpętali jednocześnie wrogowie Trumpa z Partii Demokratycznej oraz jego twardogłowi zwolennicy z ruchu MAGA. Ci pierwsi chcieli, aby Kongres USA pozbawił prezydenta prawa do wydania rozkazu o bombardowaniu

Iranu. Drudzy – tak jak sławny, choć politycznie mało rozgarnięty putinowski komentator Tucker Carlson – w alarmistycznym tonie wieszczili, że „już w pierwszym dniu wojny zginą tysiące Amerykanów, załamię się gospodarka USA, a może nawet wybuchnie wojna światowa”.

Donald Trump nie uległ temu klimatowi. Jeśli nawet definitywnie nie zniszczył perskiego programu atomowego, to

Oslabiony i militarnie skompromitowany Iran nie będzie teraz odgrywać tak istotnej roli w regionie jak do tej pory. Rozsypały się mocarstwowe ambicje tego kraju

z wielką pieczołowitością pilnowały, aby nie zrobić czegoś, co mogłoby się odbić na interesach Saudyjczyków. Przez 12 dni nikt nie zaatakował kluczowych dla Iranu terminali naftowo-gazowych na wyspie Chark, których zniszczenie było zadaniem banalnym w porównaniu z trudnościami uderzenia w podziemne fabryki nuklearne. Bez eksportu, który tamtędy idzie, państwo perskie stałoby się bankrutem, a wewnętrzna rewolucja przeciw mułom – niemal pewna. Ale taki atak mógłby skłonić perskich mułłów do przeprowadzenia odwetu na gigantycznym porcie saudyjskim Ras Tanura, gdzie każdego dnia ładuje się na statki płynące do Europy i Chin 8 mln baryłek ropy.

Zarówno Trump, jak i Netanjahu dopilnowali więc, aby Iran nie popadł w żadne kłopoty z eksportem swoich surowców, nawet jeśli formalnie od dawna jest on objęty amerykańskimi sankcjami.

POLITYCZNY ZWYCIĘZCA

Ta wojna w ogóle toczyła się w dziwny sposób, zwłaszcza odkąd bezpośrednio zaangażowała się w nią Ameryka. Od co najmniej trzech dni przed sobotnim

jących z podziemnej fabryki w Fordo pozwolił tajnym służbom USA i Izraela ustalić nowe punkty lokalizacji nuklearnego materiału. Jeśli władze Iranu nie kłamią, to sobotnie potężne bombardowania amerykańskie obyły się bez ofiar w ludziach.

Teheran zrewanżował się, z wyprzedzeniem zawiadamiając Waszyngton, iż w odwecie musi wysłać rakiety na pustynną bazę amerykańską w Katarze. Rytualnie, na użytek wewnętrznej propagandy o „strasznym odwecie”, na katarską pustynię zrzucono trochę pocisków. Ani jeden Amerykanin nie został ranny.

Rzecz jasna głównym politycznym zwycięzcą wojny dwunastodniowej są Stany Zjednoczone. W ciągu jej 10 dni, aż do poprzedniej soboty, można było usłyszeć dziesiątki wezwań Trumpa, aby Ameryka w żadnym razie nie dołączała do konfliktu. Celowali w tym zwłaszcza liderzy europejscy, np. brytyjski premier Keir Starmer zarządził się przy okazji szczytu G 7 w Kanadzie (czyli cztery dni przed bombardowaniami), że wie z pewnością, iż Ameryka nie podejmie żadnej akcji.

Światowe media były pełne prze-mądrzałych roztrząsań, wedle których

w każdym razie go zdemolował. Przeprowadził precedensowy atak na podziemne instalacje nuklearne w taki sposób, że nie zginął żaden Amerykanin, a prawdopodobnie nawet żaden Pers. Spowodował, że władze Iranu same doszły do wniosku, iż lepiej pogodzić się z utratą mrzonek o szybkiej budowie bomby atomowej, niżli dalej „kopać się z koniem”, więc szybko zaakceptowały rozejm. Precyzyjnie ochronił interesy arabskich przyjaciół Ameryki, w tym przede wszystkim naftowy biznes dynastii saudyjskiej, czego efektem stał się precedensowy spadek cen ropy w wyniku wojny, leżący w interesie wolnego świata, a kłopotliwy dla Moskwy. I w końcu ostro przywołał do porządku premiera Netanjahu, gdy ten wydawał się lekceważyć moment wejścia w życie rozejmu.

Ale przede wszystkim Trump wy-kazał niezbitcie, że powtarzana do znużenia teza, wedle której Ameryka nie liczy się już na Bliskim Wschodzie, bo nie posiada planu, ma słabe przywództwo, jest nieprzewidywalna itd., stanowi tylko ludną rachubę wrogów Ameryki. A to – nie tylko w Izraelu – budzi ufność w wartość bliskiego sojuszu z Ameryką. To budzi także naszą ufność.

Najlepsi przyjaciele Izraela

Kim są chrześcijańscy syjoniści i dlaczego tak mocno popierają politykę państwa żydowskiego?



GRZEGORZ GÓRNY

Dlaczego Donald Trump włączył się w konfrontację na Bliskim Wschodzie, stając po stronie Izraela i wydając rozkaz zbombardowania instalacji nuklearnych w Iranie? Dlaczego Stany Zjednoczone od wielu lat konsekwentnie wspierają państwo żydowskie w jego konflikcie z krajami arabskimi? Co jest przyczyną tak jednoznacznego zaangażowania? Oczywiście w polityce międzynarodowej każde działanie może być wyjaśnione na kilka sposobów. W tym przypadku na pierwszy plan wysuwa się czynnik dotyczący polityki wewnętrznej USA, którego źródła tkwią w sferze religijnej.

Niektórzy twierdzą, że za owym wsparciem stoją głównie proizraelskie organizacje lobbystyczne wywierające wpływ na Białą Dom, Departament Stanu czy Kongres. Nie umniejszając roli owych środowisk, należałoby jednak wskazać inną grupę, której siła polega zarówno na liczebności, jak i dużej motywacji religijnej. Mowa o chrześcijańskich syjonistach, którzy dominują we wspólnotach protestanckich, zwłaszcza ewangelikalnych.

Według Instytutu Gallupa stanowią oni ok. 40 proc. społeczeństwa, a ich największą organizacją CUFI (Christian United For Israel) liczy 10 mln członków. Dla porównania: wszystkich amerykańskich Żydów jest ok. 2 proc., czyli 7,5 mln.

IZRAEL JAKO ZEGAR BOŻY

Nikt w Stanach Zjednoczonych nie popiera dziś tak mocno polityki Izraela jak właśnie chrześcijańscy syjoniści. Ich zaangażowanie wynika z pobudek teologicznych, a konkretnie z charakterystycznego dla nich sposobu odczytywania Pisma Świętego. W ich oczach współczesne państwo Izrael jest kontynuacją biblijnego Izraela, a więc podmiotem historii zbawienia. W tej optyce Benjamin Netanjahu sytuuje się w tym samym ciągu władców, co królowie Dawid czy Salomon.

Jeden z najwybitniejszych znawców chrześcijańskiego syjonizmu, amerykański historyk Philip Earl Steele, wyjaśnia: „Biblia protestancka wydawana w USA jest bardzo charakterystyczna. Np. Biblia Tysiąclecia w Polsce posiada mapy Ziemi Świętej z czasów proroków



i z okresu życia Jezusa, natomiast amerykańskie wydania protestanckie zawierają również mapę współczesnego Izraela. Protestanci chodzą z tymi egzemplarzami na nabożeństwa, gdzie często słyszą od swoich pastorów, że niektóre czytane na głos fragmenty Pisma korespondują z dzisiejszymi wydarzeniami na Bliskim Wschodzie. Dla nich istnienie państwa Izrael jest ciągiem dalszym świętej opowieści, którą znają z Biblii. Jest czymś powszechnym, że chrześcijanie ewangelikalni interpretują informacje docierające z Bliskiego Wschodu w kategoriach biblijnych. Mawiają, że Izrael to zegar Boży, a jego sukcesy czy porażki mają wymiar eschatologiczny. Istnieją nawet kanały telewizyjne, które są poświęcone wyłącznie komentowaniu wydarzeń politycznych wokół Ziemi Świętej pod kątem ksiąg biblijnych”.

Tłumacząc swe stanowisko, chrześcijańscy syjoniści często cytują słowa, które w Księdze Liczb skierował Baalam do Izraela: „Błogosławieni niech będą, którzy błogosławią ciebie, a przeklęci, którzy ciebie przeklinają”. Warunkiem otrzymania Bożego błogosławieństwa, a nawet nieodłączną częścią tożsamości

i misji wyznawców Chrystusa, jest więc popieranie Izraela. Zwolennicy takich poglądów sytuują się głównie w obozie republikanów, choć można ich znaleźć również po stronie demokratów. Są oni najlepszym przykładem, jak w świecie zachodnim siła religijna może się dziś przerodzić w polityczną.

CZEKAJĄC NA ARMAGEDON

Chrześcijański syjonizm pojawił się na gruncie dyspensacjonalizmu, czyli protestanckiego nurtu teologicznego powstałego ok. 1830 r. w środowiskach irlandzkiego Ruchu Braci. Jego przedstawiciele dostrzegali szczególną rolę narodu żydowskiego w historii zbawienia, odnoszącą się jednak nie tylko do biblijnej przeszłości, lecz także apokaliptycznej przyszłości. Z czasem ich myśl przeniknęła do USA, głównie do wspólnot prezbiteriańskich i baptystycznych.

Polityczny chrześcijański syjonizm rozpoczął się niemal równolegle z pojawieniem się w diasporze żydowskiej nowoczesnego syjonizmu, którego twórcą był Theodor Herzl. W 1896 r. opublikował on książkę pt. „Państwo żydowskie”, w której postulował masową emigrację swych rodaków z całego świata do Palestyny, by przywrócić tam utraconą 2 tys. lat temu państwowość Izraela. Idea zachwyciła anglikańskiego duchownego Williama Hechlera, który widział w jej realizacji spełnienie biblijnego proroctwa, iż Bóg ponownie zbierze swój lud. Jego zdaniem wynikał z tego obowiązek chrześcijan, by wspierać osiedlanie się Żydów w Ziemi Świętej. Nic zatem dziwnego, że Hechler stał się bliskim współpracownikiem Herzla i jego łącznikiem ze środowiskami protestanckimi.

Nowy impuls w historii ruchu nastąpił wraz z utworzeniem państwa Izrael w 1948 r. Wspomniane wydarzenie odebrane zostało jako swoisty dowód na prawdziwość Biblii oraz znak czasów ostatecznych – wskazówka, że paruzja, czyli drugie przyjście Jezusa Chrystusa, jest już blisko. Niezwykle wymowny był fakt, że ówczesny prezydent USA Harry Truman, uznając żydowską państwowość, oświadczył, iż jest „drugim Cyresem”, który jednak w odróżnieniu od perskiego króla wyzwolił naród wybrany ze znacznie dłuższej opresji. O ile niewola

babilońska trwała ok. 70 lat, o tyle rozproszenie Żydów w diasporze – ok. 2 tys. lat.

Następnym ważnym momentem w dziejach chrześcijańskiego syjonizmu okazała się wojna siedmiodniowa i zdobycie przez wojska żydowskie Wschodniej Jerozolimy w 1967 r. Wielu amerykańskich protestantów odebrało to jako kolejne wypełnienie biblijnych proroctw. Rozmachu nabrała wówczas doktryna czasów ostatecznych, zapowiadająca wielką bitwę narodów w miejscu zwanym Armagedonem. W rzeczywistości jest to grecka nazwa miejscowości leżącej w północnym Izraelu i zwanej po hebrajsku Har Megiddo. Fakt, że w jej pobliżu znajduje się baza lotnicza Sił Powietrznych Izraela, w oczach chrześcijańskich syjonistów nabiera szczególnego znaczenia. W ich wizji podczas apokaliptycznego starcia wrogie narody będą próbowały unicestwić państwo Izrael, jednak zostaną odparte przez Chrystusa, który powróci do Jerozolimy. To spowoduje, że Żydzi jako naród uznają go nie tylko za zbawcę politycznego, lecz także za Mesjasza. W ten sposób zostanie zapoczątkowane tysiąclecie królestwa, w którym Jezus będzie rządził ziemią jako nowy król żydowski. To tłumaczy, dlaczego chrześcijańscy syjoniści tak bacznie obserwują wydarzenia na Bliskim Wschodzie, przykładając do nich kryteria eschatologiczne.

NOWE CREDO

Wspomniany ruch nabrał masowego charakteru w latach 80. XX w. głównie za sprawą charyzmatycznych pastorów i kaznodziejów: baptysty Jerry'ego Fallwella oraz teleewangelisty ewangelikalnego Pata Robertsona, a także stojącej za nimi tzw. Moralnej Większości. Rozpowszechniali oni swe orędzia za pomocą telewizji, docierając w ten sposób do milionów odbiorców w całej Ameryce. W szerzeniu tego przekazu pomocne były także gwiazdy kultury masowej, np. jeden z najsłynniejszych muzyków country na świecie Johnny Cash.

To właśnie wtedy poparcie dla państwa Izrael stało się wręcz jednym z podstawowych elementów wyznawanej wiary. Jak mówił w 1981 r. Jerry Fallwell: „Występować przeciwko Izraelowi oznacza występować przeciwko Bogu. Wierzmy, a pokazuje nam to historia i Pismo, że



Fot. Peta Schild/Shutterstock.com

Bóg mierzy narody miarą ich stosunku do Izraela". W tym kontekście nie dziwią słowa Pata Robertsona, który wyznał, że gdyby wybuchła wojna między Stanami Zjednoczonymi a Izraelem, to stanąłby po stronie Żydów, gdyż w ten sposób wypełniłby wolę Boga. W 2006 r. ten sam kaznodzieja stwierdził, że choroba, która spadła na byłego premiera Ariela Szarona, jest karą Bożą za ewakuację wojsk izraelskich ze Strefy Gazy.

W tamtych latach powstała też sieć instytucjonalnych powiązań między amerykańskimi organizacjami protestanckimi a żydowskimi instytucjami publicznymi. Kluczową rolę w ich tworzeniu odegrała grupa obywateli USA, mieszkających w Izraelu i zaangażowanych w życie wspólnot ewangelikalnych. Na ich czele stał pastor i hebraista George Douglas Young, założyciel Izraelsko-Amerykańskiego Instytutu Studiów Biblijnych, przemianowanego później na Amerykański Instytut Studiów nad Ziemią Świętą. W uznaniu za swe zasługi otrzymał tytuł honorowego obywatela Jerozolimy, a gdy zmarł, został pochowany na górze Syjon.

DYPLOMACJA RELIGIJNA

Widząc filosemityzm chrześcijańskich syjonistów, przywódcy Izraela postanowili wykorzystać to politycznie. Pierwszym z nich był już Dawid Ben Gurion, który zapraszał pastorów protestanckich do Ziemi Świętej, a nawet występował na organizowanych przez nich konferencjach. W budowanie tych relacji jeszcze mocniej zaangażował się inny z premierów Izraela Menachem Begin, który zaprzyjaźnił się ze wspomnianym już Jerrym Falwellem.

Prawdziwym mistrzem pozyskiwania chrześcijańskich syjonistów dla sprawy izraelskiej okazał się jednak Benjamin Netanjahu. W październiku 2018 r. wziął udział w międzynarodowym forum w Jerozolimie z udziałem 180 dziennikarzy chrześcijańskich z 35 krajów świata. Podczas wspomnianego wydarzenia zorganizowanego przez południowokoreańskich protestantów przeoświadczył zebranym, że nie ma dziś lepszego obrońcy chrześcijan na Bliskim Wschodzie niż państwo Izrael. Powiedział jednak także coś więcej:

„Nie mamy lepszych przyjaciół niż nasi chrześcijańscy przyjaciele i chciałbym wykorzystać tę możliwość, by podziękować wam za wasze niezmiennie wsparcie. Popieracie Izrael, popieracie prawdę i my popieramy was". Wystąpienie premiera zostało przyjęte owacjami. Na sali panował nastrój triumfalizmu, a powodem do dumy dla obecnych tam Amerykanów była decyzja Donalda Trumpa o przeniesieniu ambasady Stanów Zjednoczonych z Tel Awiwu do Jerozolimy.

Jak mówi wspomniany już Philip Earl Steele: „Sam Trump nie jest chrześcijani-

Prawdziwym mistrzem pozyskiwania chrześcijańskich syjonistów dla sprawy izraelskiej okazał się Benjamin Netanjahu. „Nie mamy lepszych przyjaciół niż nasi chrześcijańscy przyjaciele [...]. Popieracie Izrael, popieracie prawdę i my popieramy was" – powiedział w 2018 r.

nem ewangelikalnym, pochodzi z rodziny prezbiteriańskiej, jednak zdołał zjednać sobie ewangelikalnych, którzy stanowią trzon elektoratu republikanów. Podczas wiecu przedwyborczego w Wisconsin wyliczył, jak wiele jego administracja zrobiła dla Izraela, dodając, że uczynił to wszystko dla chrześcijan ewangelikalnych, dla których jest to ważniejsze niż dla Żydów. Symptomatyczne, że kiedy 14 marca 2018 r. (w święto niepodległości Izraela) otwierano ambasadę USA w Jerozolimie, modlitwy na początku i końcu uroczystości poprowadzili pastory ewangelikalni, a na uroczystości obecnych były setki przedstawicieli syjonizmu chrześcijańskiego z Ameryki".

Sukcesy Netanjahu w dyplomacji religijnej byłyby niemożliwe bez wielkiej pracy wykonanej przez Josha Reinsteina – dyrektora Koła Sprzymierzeń-

ców Chrześcijańskich w Knesecie oraz prezesa Fundacji Sprzymierzeńców Izraela. Wspomniany lobbysta jest aktywny w wielu zakątkach globu. Udało mu się np. stworzyć koła przyjaciół Izraela w parlamentach ok. 50 krajów świata. Największe wpływy zdobywa tam, gdzie rozwija się protestantyzm, zwłaszcza w wersjach ewangelikalnej i zielonoświątkowej. Do takich miejsc należy Ameryka Południowa, w której miliony katolików porzucają Kościół katolicki, by przejść do wspólnot protestanckich. Jest to podatny grunt dla chrześcijańskiego syjonizmu.

To wyjaśnia, dlaczego z Tel Awiwu do Jerozolimy przeniosły ambasady rządy takich państw, jak Gwatemala, Honduras czy Brazylia, gdy prezydentem tego kraju był Jair Bolsonaro, który przeszedł z katolicyzmu na baptyzm.

„ŻYDOWSKI NOBEL"

Chrześcijański syjonizm nigdy nie rozwinął się w łonie Kościoła katolickiego, ponieważ jawi się jako herezja. Niemniej w ostatnich latach skłania się ku niemu coraz więcej katolików. Najbardziej znanym przykładem takiej postawy jest obecny prezydent Argentyny Javier Milei, który na początku tego roku otrzymał „żydowskiego Nobla", czyli Nagrodę Genezis w wysokości 1 mln dol.

(wspomniana suma nigdy nie trafia do rąk laureatów, ponieważ tradycyjnie przekazują ją dla żydowskich organizacji charytatywnych). Milei jest pierwszym nie-Żydem i pierwszym przywódcą państwa uhonorowanym tym wyróżnieniem.

Izrael pokazał w ten sposób, że docenia filosemicką politykę południowoamerykańskiego prezydenta, który potrafił zdymisjonować swego ministra spraw zagranicznych tylko dlatego, że przedstawiciel Argentyny przy ONZ zagłosował przeciw Izraelowi. Sam Milei, znajdujący się pod wpływem chasydzkiej sekty Chabad-Lubawicz, oświadczył, że zamierza przejść na judaizm, ale zrobi to dopiero po opuszczeniu urzędu, ponieważ jako prezydent nie mógłby w pełni przestrzegać szabatu. Bycie prezydentem Argentyny nie przeszkadza mu jednak w zachowywaniu lojalności wobec państwa Izrael.



MAREK BUDZISZ

Kibicujmy Kelloggowi

Wiele wskazuje na to, że Łukaszenka zaczął swoją ulubioną grę: próbuje pozycjonować się w nowym układzie międzynarodowym, wykonując gesty pod adresem Zachodu i dążąc do zwiększenia stopnia niezależności wobec Moskwy

20 czerwca br. do Mińska z niespodziewaną wizytą przyjechał Keith Kellogg, specjalny wysłannik USA ds. Ukrainy i Rosji. Spotkał się z Aleksandrem Łukaszenką i jego najbliższym otoczeniem: szefem KGB Ciercielem i Walencinem Rybakowem, ambasadorem Białorusi przy ONZ, który odgrywał też rolę tłumacza. Rozmowa trwała sześć godzin i zakończyła się uwolnieniem grupy więźniów politycznych, w tym, co można uznać za sensację, Siarhieja Cichanouskiego, męża Swietłany, liderki białoruskiej opozycji. Łukaszenka, który kilka godzin wcześniej rozmawiał z przewodniczącym rosyjskiego komitetu śledczego Bastrykinem, nie ukrywał radości ze spotkania z amerykańskim specjalnym wysłannikiem. Obserwatorzy zwrócili uwagę na kordialny styl rozmowy, bo białoruski dyktator przybył na spotkanie bez krawata, co w przypadku czulego na wymogi etykiety dyplomatycznej Łukaszenki jest rzadkością. Zwrócił się on też do towarzyszącego Kelloggowi prawnika Johna Coalego słowami: „Witaj, przyjacielu”, wypowiedzianymi po angielsku.

To nie pierwsze uwolnienie białoruskich więźniów sumienia w wyniku interwencji amerykańskich dyplomatów ani nie pierwsza partia więźniów politycznych wypuszczonych przez Łukaszenkę. Od sfalszowanych wyborów prezydenckich w 2020 r. reżim już dziesięciokrotnie zwalniał uwięzionych, wysyłając w ten sposób sygnały pod adresem Zachodu, że jest zainteresowany poprawą relacji. Nie zmienia to jednak faktu, iż to, co się wydarzyło w minionym tygodniu, ma szczególne, a może nawet przełomowe znaczenie. Przede wszystkim dlatego, że inny jest ciężar gatunkowy wypuszczonych. Chodzi przede wszystkim o Cichanouskiego, który został aresztowany na osobiste polecenie Łukaszenki; przedstawiciele

reżimu oskarżali go o inicjowanie białoruskiej rewolucji, która o mało nie skończyła politycznej kariery dyktatora.

Innym powodem, dla którego rozmowy Łukaszenka-Kellogg mogą mieć znaczenie, jest to, że odbyły się one w zupełnie innej sytuacji geostrategicznej niż jeszcze dwa lata temu. Były też długo przygotowywane, bo Rybakow zdradził, że przez ostatnie cztery lata Mińsk utrzymywał roboczy kontakt z amerykańską dyplomacją. Ponadto przebiegły w cieplej, a nawet przyjaznej – jak utrzymuje białoruska propaganda – atmosferze.

Wiele wskazuje więc na to, że Łukaszenka zaczął swoją ulubioną grę, starając się pozycjonować w nowym układzie międzynarodowym i dążąc – wykonując gesty pod adresem Zachodu – do zwiększenia stopnia niezależności wobec Moskwy. Nie ma mowy o zerwaniu z Rosją, zapewne nie będzie żadnego geostrategicznego zwrotu w wykonaniu reżimu, ale pewne gesty będą pewnie miały miejsce. Łukaszenka zaczął tę grę, wiedząc, że reżim nie może być pewny sukcesu, sporo ryzykując, a także nie mając wyjścia, bo sytuacja nie zmienia się na korzyść Rosji.

ŁASKA DYKTATORA

Siarhiej Cichanouski, który przez ostatnie dwa lata siedział w izolatorze, całkowicie odcięty od świata, wychudzony (waży 79 kg), pojawił się na z żoną konferencji prasowej. W jej trakcie powiedział, że „jeśli Białorusini czekali na znak”, to jego uwolnienie „właśnie nim jest”. Zapowiedział, że będzie walczył z reżimem, choć „liderem opozycji pozostaje Swietłana”. Nie zmienia to jednak faktu, iż powrót do białoruskiej polityki Cichanouskiego, w przeszłości znanego ze swej pracowitości i pomysłowości, może wiele zmienić. Na swej pierwszej konferencji prasowej powiedział, że „jest w bojowym nastroju, a jego zaangażowanie może mieć znaczenie dla białoruskiej opozycji, która przeżywa trudne chwile.

W kwietniu bez śladu zniknęła Andżelika Mielnikowa, rzeczniczka Rady Koordynacyjnej, czyli „rządu na uchodźctwie”, powołanego przez Cichanouską. Pojawiły się potem pogłoski, że widziano ją na Białorusi, ale pikanterii całej sytuacji dodaje też fakt, że wraz z nią zniknęło 150 tys. dol., czyli środki, z których miała być finansowana aktywność diaspory, a liderzy opozycji byli zaskoczeni sytuacją.

Wcześniej podobne skandale miały związek z inicjatywą BYPOL grupującą byłych przedstawicieli białoruskich resortów siłowych, którzy przeszli na stronę opozycji. Niektórzy przedstawiciele „starej emigracji” snują na tej podstawie teorie, iż diaspora jest zinfiltrowana przez przedstawicieli białoruskiego KGB w stopniu trudnym do określenia.

Iwan Cierciel, szef białoruskiego KGB, relacjonując po spotkaniu z Kelloggiem w mediach, jak wyglądał proces wyboru, kogo uwolnić, przekazał kilka istotnych informacji. Po pierwsze, zaznaczył, że ostateczna decyzja była podejmowana przez Łukaszenkę, miała zatem charakter polityczny, a można nawet powiedzieć, że strategiczny. Przyznał, że oprócz powodów humanitarnych głównym motywem była „konieczność rozwijania relacji z różnymi krajami w celu deeskalacji sytuacji”, co oznacza, że „skład narodowościowy” zwolnionych z więzień z grubsza odwzorowuje mapę białoruskich interesów, przynajmniej tak, jak ją postrzega nieuznawany przez świat „prezydent”.

W związku z tym warto pamiętać, że na 14 zwolnionych było 3 obywateli Polski i pojedynczy „reprezentanci” Estonii, Litwy, Szwecji i Łotwy, także oczywiście Stanów Zjednoczonych. To pokazuje, które państwa z punktu widzenia Mińska mają narzędzia i odpowiednią rangę, aby rozmawiać z reżimem.

BIAŁORUSKIE KALKULACJE

Jeszcze ciekawiej zabrzmiało uzasadnienie Cierciela wyjaśniającego, dlaczego Łukaszenka postanowił uwolnić więźniów i rozpocząć dialog ze Stanami Zjednoczonymi. Szef białoruskiego KGB stwierdził, iż Mińsk pozytywnie zareagował na listę osób do zwolnienia, którą kilka tygodni temu przedstawili Amerykanie, bo „jeśli nie zostałyby podjęte radykalne decyzje w celu znalezienia konsensusu, wszyscy moglibyśmy się znaleźć w bardzo trudnej sytuacji z konsekwencjami, których nie możemy nawet przewidzieć”. Oznacza to, że przedstawiciele reżimu – a Cierciel uchodzi za osobę nr 2 w hierarchii białoruskiej

władzy – są zdania, iż sytuacja Mińska jest trudna, a jej poprawa może nastąpić tylko wtedy, kiedy uda się naprawić relacje z kolektywnym Zachodem.

Władze obawiają się przede wszystkim drastycznego pogorszenia sytuacji gospodarczej. Rosja już w tym roku może wpaść w recesję, a to oznacza, że przestanie być – jak przez ostatnie trzy lata – „silnikiem” napędzającym (dzięki importowi) również białoruską gospodarkę.

Juryj Drakachrust, komentator białoruskiej sekcji Radio Swoboda, jest zdania, że Łukaszenka oczekuje od Donalda Trumpa trzech posunięć i dlatego rozpoczął grę z Waszyngtonem. Po pierwsze, chodzi o zniesienie części

Rozmowa z Kelloggiem trwała sześć godzin i zakończyła się uwolnieniem grupy więźniów politycznych, w tym, co można uznać za sensację, Siarhieja Cichanouskiego, męża liderki białoruskiej opozycji

amerykańskich sankcji i wywarcie presji na sąsiednie państwa, aby te również zmieniły politykę wobec Białorusi w tym obszarze. To może być jedyna nadzieja na utrzymanie stabilności ekonomicznej, jeśli w drugiej połowie roku sytuacja rosyjskiej gospodarki ulegnie pogorszeniu.

Drugim powodem jest dążenie do akceptacji swej władzy. W tym przypadku nie chodzi o uznanie, iż wybory prezydenckie na Białorusi odpowiadają demokratycznym standardom, ale choćby o uzyskanie takiego statusu, jakim cieszą się prezydenci Egiptu czy Azerbejdżanu, którzy też nie są „wzorowymi demokratami”, a jednak Zachód intensywnie z nimi kooperuje. W oczach Ameryki lepiej być niedoskonałym demokratą, niż mieć status zbliżony do władz Iranu czy Zimbabwe, szczególnie jeśli myśli się o następcy, a starzejący się Łukaszenka przygotowywać zaczął

się do procesu transferu władzy, który w dyktaturach zawsze jest ryzykowny.

Trzeci powód, dla którego Łukaszenka zaczął wykonywać gesty pod adresem Stanów Zjednoczonych, jest związany z Rosją, której wpływy na Białorusi po 2020 r. znacząco wzrosły. W ostatnich miesiącach dyktator z Mińska wielokrotnie wypowiadał się o zagrożeniach dla białoruskiej suwerenności. Nie wskazywał przy tym jednoznacznie, po której stronie świata rysuje się to zagrożenie, co zdaniem niektórych komentatorów może być odczytywane jako wyraz obawy przed rosnącymi wpływami Moskwy. Paradoksalnie ocieplenie na linii Moskwa–Waszyngton umożliwiło Łukaszence rozpoczęcie gry,

którą wielokrotnie prowadził już w przeszłości i dało mu możliwość sygnalizowania gotowości do powrotu Mińska do polityki o wielu wektorach.

Nieżyjący już szef białoruskiej dyplomacji Władimir Makiej był mistrzem tego rodzaju strategii. Nikt jednak nie ma wątpliwości, że jej autorem był sam Łukaszenka, który przed 2020 r. wstrzymał nawet na pewien czas import rosyjskiej ropy naftowej, twierdząc, że ta, która płynęła ropociągami Przyjaźń, była zanieczyszczona i w związku z tym Rosja winna zapłacić Białorusi odszkodowania liczone w setkach milionów dolarów.

ZANIEPOKOJONA MOSKWA

O tym, że władze w Mińsku zaczynają zmieniać kurs na bardziej ugodowy, można się było zorientować już pod koniec maja. Wówczas podczas spotkania ministrów obrony ODKB, bloku wojskowego państw przestrzeni postsowieckiej zdominowanego przez Rosję, które odbywało się w Biszkeku w Kirgistanie, Wiktar Chrenin, kierujący białoruskim resortem obrony, wygłosił niespodziewane oświadczenie. Powiedział, że „aby nie zaognić relacji” z państwami NATO, Mińsk zdecydował się na przesunięcie bardziej na wschód zaplanowanych na jesień ćwiczeń Zapad-25 i zmniejszy ich skalę. Jak przyznał, „nie słowami, ale czynami” Białoruś chce pokazać światu, iż rzeczywiście jest



zainteresowana deeskalacją napięcia w regionie i udowodni sąsiadom, że chce normalizacji oraz naprawienia relacji.

To, że Chrenin wybrał takie forum dla ogłoszenia publicznej deklaracji na ten temat, jest wymowne, bo inne państwa w przestrzeni postsowieckiej, uznawane za grawitujące w stronę Rosji, uważnie obserwują zmiany w polityce najbliższego sojusznika Moskwy. Białoruski minister obrony zaproponował również wznowienie wzajemnych inspekcji wojskowych, co wydaje się jeszcze dalej idącym posunięciem. Oczywiście można uznać – i zapewne po części mamy z tym do czynienia – iż deklaracje przedstawicieli reżimu to wyprzedzający ruch przed szczytem NATO w Hadze.

Jak wiadomo, państwa członkowskie, w szczególności graniczące z Białorusią, opowiadają się za wzrostem wydatków wojskowych do 5 proc. PKB. Przyjęcie takiej polityki z pewnością oznacza regionalny wyścig zbrojeń, którego niewielka i uzależniona od Rosji gospodarka Białorusi może nie wytrzymać. Nawet jeśli tak jest, to nie należy lekceważyć gotowości Mińska do kompromisu.

Kilka dni po spotkaniu w Biskoku gen. mjr Walery Rewenka, kierujący w białoruskim MON departamentem

ds. współpracy zagranicznej, zdradził szczegóły „zmniejszenia skali” tegorocznych manewrów Zapad. Na Białoruś ma zostać „zaproszona” połowa pierwotnie planowanego kontyngentu wojskowego z Rosji i innych państw sojuszniczych, a Mińsk zadeklarował „pełną otwartość informacyjną” i notyfikację ćwiczeń.

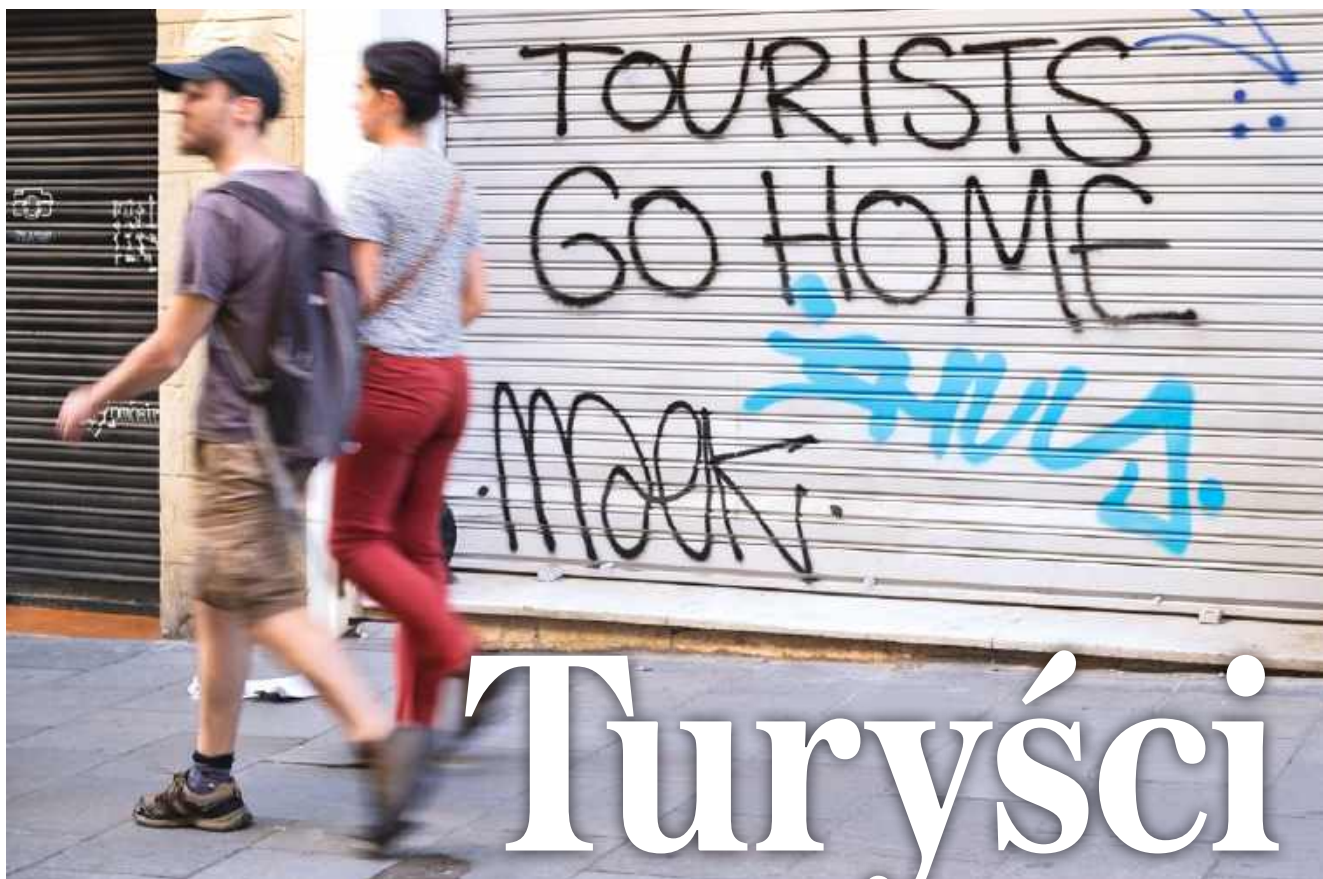
Poprzednie manewry Zapad planowane na 2023 r. zostały odwołane. Media spekulowały, że ze względu na braki kadrowe i sprzętowe rosyjskich sił zbrojnych zaangażowanych w wojnę na Ukrainie, co nie zmienia faktu, iż tegoroczne budziły niepokój. W państwach wschodniej flanki NATO pojawiły się głosy, że Rosjanie mogą wykorzystać manewry, organizując wrogie działania zwrócone przeciw państwom bałtyckim, Finlandii, a może nawet Polsce. Teraz ten scenariusz jest mniej prawdopodobny.

Warto również podkreślić, iż ostatnio Mińsk utrzymuje ożywione relacje nie tylko z Waszyngtonem, lecz także z Ankarą i Budapesztem. Kilka tygodni przed wizytą Kellogga Miński Dialog, organizacja uznawana za nieoficjalny kanał komunikacyjny białoruskiego MSZ, zorganizowała specjalną konferencję poświęconą „poglądowi Turcji” na sytuację bezpieczeństwa w Euro-

pie, a przebywający w Petersburgu szef węgierskiej dyplomacji rozmawiał o współpracy energetycznej z Denisem Morozem, kierującym tym sektorem białoruskiej gospodarki.

Niektórzy rosyjscy komentatorzy już dostrzegli ten wzrost aktywności amerykańskiej dyplomacji w państwach takich jak Kazachstan czy właśnie Białoruś i są zdania, że mówienie o przyjaźni oraz normalizacji relacji jest tylko przykrywką, a rzeczywisty cel Waszyngtonu to osłabienie więzów tych państw z Rosją. Tyle że teraz groźby i sankcje, które za czasów administracji Joe Bidena nie przyniosły pożądanego efektów, zmieniły się w „marchewkę” i obietnice poprawy relacji. Gra dopiero się zaczyna, ale jej stawką jest nie tylko los ponad tysiąca więźniów politycznych na Białorusi, których uwolnienia domagają się Amerykanie.

Chodzi również – a może przede wszystkim – o przyszłość. O to, czy Białoruś będzie bazą wojskową Rosji, czy pozostając kolchozem pod rządem dyktatora, okaże się państwem mniej podatnym na rozkazy z Kremla. Ta druga perspektywa, choć mająca wiele wad, z punktu widzenia państw naszego regionu jest jednak znacznie lepszą opcją niż pierwsza i dlatego warto kibicować Kelloggowi.



Turyści do domu!

Gdy Jeff Bezos i Lauren Sánchez brali ślub w Wenecji, podczas trzydniowej imprezy dołączyły do nich nie tylko inne gwiazdy, lecz także nieproszeni goście: antyturystyczni aktywiści. Od Wysp Kanaryjskich przez Mediolan po Lizbonę turyści stali się największym postrachem rozdrażnionych mieszkańców



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Zalóżyciel Amazonu, amerykański miliarder Jeff Bezos, poślubił swoją narzeczoną, byłą dziennikarkę Lauren Sánchez w miniony weekend w Wenecji. W jest ona powszechnie uznawana za miasto romantyzmu – ze swoimi malowniczymi kanałami, gondolami i urokliwą architekturą, które przyciągają zakochanych z całego świata. Tyle że mieszkańcy Wenecji mają dość tury-

stów. W 2023 r. miasto odwiedziło ponad 12 mln osób, podczas gdy liczba stałych mieszkańców stale spada. W konsekwencji Wenecja, zbudowana na 118 wyspach połączonych kanałami i mostami, oferuje dziś więcej noclegów hotelowych niż mieszkań do wynajęcia. Nic więc dziwnego, że ci, którzy wciąż tam mieszkają, protestują przeciwko, ich zdaniem, nadmiernej turystycznej eksploatacji miasta. „Staliśmy się włoską odpowiedzią na Disneyland” – powiedziała jedna z mieszanek Wenecji dziennikowi „Wall Street Journal”.

Luksusowe wesele Bezosa (kosztowało rzekomo aż 50 mln euro) stało się dla mieszkańców punktem zapalnym – do tego stopnia, że miliarder musiał utajnić jego dokładną lokalizację. Gdy aktywiści

ze specjalnie z tej okazji założonego ruchu „Brak miejsca dla Bezosa” (No space for Bezos) dowiedzieli się, że ma się ono odbyć w Scuola Grande della Misericordia, renesansowym budynku bractwa charytatywnego położonego w dzielnicy Cannaregio, zagrozili, że wypełnią kanał dmuchanymi krokodylami, by zablokować przybycie weselnych gości, w tym Elona Muska, Kim Kardashian czy Leonarda DiCaprio. Bezos musiał się przenieść do Arsenalu, obszernego kompleksu stocznioowego otoczonego murami obronnymi i niedostępnego od strony lądu.

Protestujący twierdzili, że wydarzenie grozi przekształceniem miasta wpisanego na listę światowego dziedzictwa UNESCO w „plac zabaw dla bogaczy”. W Wenecji pojawiły się plakaty przedstawiające głowę Bezosa na rakiemie lecącej w kosmos, nawiązujące do komercyjnych podróży kosmicznych oferowanych przez jego firmę Blue Origin. Greenpeace Italia i brytyjska grupa aktywistów Everyone Hates Elon (Wszyscy nienawidzą Elona) również dołączyły do protestów, rozwijając na placu św. Marka ogromny baner ze zdjęciem śmiejącego się Bezosa i napisem: „Jeśli możesz wynająć Wenecję na swój ślub, możesz zapłacić więcej podatków”.

SKANSEN BEZ ŻYCIA

Nie pomogły zapewnienia gubernatora regionu Veneto Luki Zai, że Bezos i Sánchez przekazali 3 mln euro na cele charytatywne, w tym zachowanie ekosystemu laguny. Burmistrz Luigi Brugnaro wręcz lobbował za tym, by amerykański miliarder właśnie tu zorganizował swój ślub i wesele. Turystyka przynosi Wenecji ponad 1,5 mld euro rocznie i zatrudnia więcej osób w regionie niż jakikolwiek inny sektor. Wesela to również lukratywny biznes – w tym roku Wenecja ma ich gościć ponad 600, a w przeszłości nie wszystkie były źle odbierane. Miejscowi wciąż chwalą się, że George Clooney i Amal Alamuddin wzięli tu ślub w 2014 r.

Oczywiście Bezos nie jest dla wielu zbyt sympatyczną postacią, a w czasach skrajnych nierówności dochodowych, unikanie płacenia podatków przez Amazon, choć legalne, nie przysparza mu fanów. Prawdą jest jednak także to, że Wenecja, podobnie jak większość miast śródlądowych, byłaby całkowicie stra-

cona bez dochodów od cudzoziemców, a im ci są bogatsi, tym lepiej. Pandemia COVID-19 prawie zrujnowała Włochy, uniemożliwiając turystom przyjazd, więc restauracje częściowo zamknięto, a te, które funkcjonowały, świeciły pustkami.

Zresztą koszty utrzymania Wenecji stale się zwiększają z powodu rosnącego poziomu morza. Jest to najdroższe miasto na świecie pod względem remontów.

Podjęto zresztą środki mające na celu utrzymanie liczby odwiedzających, ale pod kontrolą – Wenecja wprowadziła „podatek turystyczny” w wysokości 5 euro dla jednodniowych turystów w kwietniu, a statki wycieczkowe zostały wygnane z miasta w 2021 r. – ale nie powstrzymało to obłędnego. Według oficjalnych statystyk w centrum miasta jest teraz więcej łóżek dla turystów niż mieszkańców: 51 129 do 48 166.

„Nie jesteśmy przeciwni ślubowi Bezosa, jeśli nie zatrzyma usług publicznych. Nie jesteśmy przeciwni turystyce, ponieważ wielu z nas z niej żyje, ale po prostu mamy jej za dużo” – powiedział Matteo Secchi, który urodził się w Wenecji i pracuje jako konsjerż agencji Bloomberg.

Podobnie jak w wielu innych częściach Włoch, populacja Wenecji zarówno się kurczy, jak i starzeje. Brakuje tanich mieszkań. Zniknęły sklepy spożywcze i targi, ustępując miejsce barom, restauracjom i stoiskom z pamiątkami. Miejscowi twierdzą, że Wenecja stała się skansenem, w którym nie da się już żyć.

PARK ROZRYWKI

Nadmierna turystyka staje się zresztą coraz większym problemem w całej Europie. Choćby w Hiszpanii. W Barcelonie i Madrycie, Maladze, San Sebastián, Sewilli, Alicante, Kadyksie, a także na Balearach i Wyspach Kanaryjskich w połowie czerwca rozgniewani mieszkańcy protestowali tysiącami. „Twoja podróż, nasza nędza”, „Turysto, wracaj do domu” – głosiły transparenty, które nieśli. Użyli nawet pistoletów na wodę, aby wygonić turystów z ulicznych kawiarni i tarasów restauracji.

Przychody z turystyki stanowią do 15 proc. PKB Hiszpanii, a w zeszłym roku kraj odwiedziło prawie 100 mln osób. Mimo ewidentnych korzyści finansowych protesty trwają tu już od lat. W maju ub. roku ok. 10 tys. osób maszerowało w Pal-

mie, stolicy Majorki, trzymając plakaty z napisami „SOS mieszkańcy” i „Dość masowej turystyki”. Protestujący wskazywali na presję mieszkaniową, rosnące koszty utrzymania i obciążenia środowiskowe. W branży turystycznej większość osób zarabia płacę minimalną – nieco ponad 1100 euro. Tymczasem wraz ze wzrostem liczby turystów coraz więcej mieszkań wycofano z długoterminowego rynku i zamieniono na wakacyjne wynajmy. Malejąca podaż spowodowała gwałtowny wzrost czynszów – na Ibizie jednoosobowy pokój kosztuje 700–1000 euro miesięcznie. Na Wyspach Kanaryjskich i Balearach wielu pracowników sezonowych jest więc zmuszona mieszkać w pustostanach, namiotach i swoich samochodach. Mieszkańcy obwiniają przyjezdnych także za korki uliczne, niedobory wody, degradację środowiska, przepełnienie środków transportu publicznego i długie kolejki na oddziałach ratunkowych szpitali. Jak twierdzą, nie mogą już sobie pozwolić na życie w tych częściach miasta, w których dorastali: „Kiedyś mieszkalam w przyjaznej dzielnicy w centrum, gdzie wszyscy się znali. Teraz to park rozrywki dla turystów i muszę mieszkać daleko od miasta” – powiedziała brytyjskiej stacji Sky News jedna z kelnerek pracujących w Barcelonie.

BARAKI ZAMIAST MIESZKAŃ

Na początku czerwca 80-letnia Pepi Viu została eksmitowana z domu w popularnej dzielnicy Barcelony, w którym mieszkała prawie 10 lat. Emerytka uważa, że właściciel chciał zarobić na czynszu więcej, niż ona mogła zapłacić. Teraz mieszka w hostelu i szuka nowego mieszkania, ale przez ostatnią dekadę ceny wzrosły o prawie 70 proc. „Nie mogę nic znaleźć i nie mam żadnego wsparcia od państwa. Teraz są tylko mieszkania dla turystów, ale my też musimy przecież gdzieś mieszkać!” – podkreśliła zdesperowana w rozmowie z BBC. W niektórych częściach miasta prawie wszyscy miejscowi tacy jak Pepi zostali wyrzuceni na bruk.

Pod presją protestów władze Barcelony podjęły już radykalny krok, ogłaszając całkowity zakaz krótkoterminowego wynajmu mieszkań turystom od 2028 r. Ok. 10 tys. licencji na turystyczne apartamenty zostanie anulowanych. Jednak dla

właścicieli mieszkań jest to główne źródło dochodu. Czują się kozłami ofiarnymi. Według nich problem nadmiernej turystyki w mieście istnieje już od lat 60. XX w., kiedy nie było jeszcze krótkoterminowego wynajmu przez takie platformy jak Airbnb.

Ponadto badanie opinii publicznej przeprowadzone w Barcelonie zeszłego lata wykazało, że tylko 31 proc. mieszkańców uważa turystykę za szkodliwą dla miasta. W liście otwartym agencja turystyki w tym mieście napisała: „Jeśli usłyszysz, jak ktoś z Barcelony mówi: »Turysto, wracajcie do domu«, powinniście wiedzieć, że większość z nas nie myśli w ten sposób”.

Nieda się jednak ukryć, że w niektórych turystycznych rajach, takich jak choćby Ibiza, pojawiły się slumsy złożone z prowizorycznych domów z blachy i kartonów, choćby nieopodal popularnego kurortu Playa d'en Bossa. Dziesiątki osób żyje tu bez prądu, bieżącej wody, na górach śmieci. Mieszkają tu nie tylko pracownicy sezonowi – jak twierdzą lokalne media – lecz także policjanci i inni urzędnicy miejscy, których nie stać na wynajem mieszkań. Przed barakami protestował ruch Menys Turisme, Més Vida (Mniej turystyki, więcej życia). „Mówimy dość niszczyczenia terytorium, niepewności, kryzysu mieszkaniowego i utraty praw” – krzyczeli demonstranci.

„Znam osobę pracującą na dwóch różnych etatach, ale mieszkającą w namiocie. Ktoś inny płaci 850 euro za jednoosobowy pokój, a teraz prawdopodobnie będzie musiał się nim dzielić, bo właściciel chce wstawić łóżko piętrowe. Ludzie śpią na balkonach, za które płacą 500 euro miesięcznie. Są tu pracownicy kluczowych sektorów, którzy rozpaczliwie potrzebują zakwaterowania. Ja pracuję w szpitalu, ratuję życie, a nie mam gdzie mieszkać” – powiedział portalowi Ibiza News jeden z mieszkańców prowizorycznego slumsu. W 2023 r. liczba turystów na Ibizie i sąsiedniej Formenterze osiągnęła rekordowy poziom ponad 3,7 mln, co oznacza wzrost o prawie 25 proc. w porównaniu z 2016 r.

PRESJA ULICY

Brak mieszkań jest zresztą problemem w całej Hiszpanii. W ciągu ostatniej de-

kady czynsze wzrosły o 80 proc., przewyższając wzrost płac, a niedawny raport Banku Hiszpanii oszacował, że prawie połowa najemców wydaje 40 proc. swoich dochodów na czynsz i rachunki za media. Średnia w UE wynosi 27 proc.

Kryzys pogłębiony rosnącymi kosztami utrzymania spowodowanymi spekulacjami na rynku nieruchomości i boorem na rynku mieszkań turystycznych stał się największym zmartwieniem Hiszpanów. Socjalistyczny premier Pedro Sánchez obiecał w zeszłym roku budowę tysięcy mieszkań socjalnych, ale program wciąż nie ruszył z miejsca. W maju hiszpański rząd przedstawił projekt ustawy mającej wprowadzić 100-proc. podatek od

W wielu miastach Hiszpanii w połowie czerwca rozniewani mieszkańcy protestowali tysiącami. „Twoja podróż, nasza nędza”, „Turysto, wracaj do domu” – głosiły transparenty, które nieśli. Użyli nawet pistoletów na wodę, aby wygonić turystów z ulicznych kawiarni i tarasów restauracji

zakupów nieruchomości przez cudzoziemców spoza UE. Uderzy to przede wszystkim w Brytyjczyków. Rząd stara się również o zatwierdzenie przez parlament nowego podatku VAT w wysokości 21 proc. od krótkoterminowego wynajmu turystycznego – dwukrotnie wyższego od podatku płaconego za pokoje hotelowe. A ministerstwo ds. konsumentów nakazało Airbnb usunięcie z platformy ponad 65 tys. domów wakacyjnych w ramach walki z nielegalnymi ofertami.

Prawicowa opozycja widzi w działaniach Sáncheza „tani populizm” oraz „ksenofobię”. Według Partii Ludowej (PP) sprzedaż mieszkań cudzoziemcom stanowi tylko 1,6–3 proc. rynku. Taka polityka może złagodzić presję w kilku regio-

nach turystycznych, jednak eksperci nazywają ją „kroplą w morzu” i twierdzą, że pozostanie nieskuteczna, ponieważ firmy lub spekulanci z UE nadal będą mogli skupuwać nieruchomości. Hiszpański rząd jest jednak zdeterminowany – tak silna jest presja ulicy.

TO DOPIERO POCZĄTEK

Protesty przeciwko masowej turystyce odbyły się jednak nie tylko w Hiszpanii, lecz także w wielu miastach we Włoszech – oprócz Wenecji demonstranci zebrali się w Palermo, Genui, Mediolanie i Neapolu. W portugalskiej Lizbonie odbyła się procesja, podczas której replika św. Antoniego została „wyrzucona” z kościoła i przeniesiona na teren przyszłego luksusowego hotelu, aby podkreślić, że nawet święci cierpią z powodu turystyki.

Pomysł wspólnego dnia akcji pojawił się w kwietniu, kiedy grupy z Hiszpanii, Włoch, Portugalii i Francji spotkały się w Barcelonie na całodniowej konferencji pod patronatem Południowoeuropejskiej Sieci Przeciwko Turystyce. Wcześniej walka była mniej skoordynowana, ale za to bardziej radykalna. Na początku marca aktywiści podpalili ok. 20 samochodów na wynajem zaparkowanych przy jednym z najpopularniejszych hoteli w Costa Adeje na Teneryfie, jednej z Wysp Kanaryjskich. W październiku ub.r. aktywiści wtargnęli na jedną z plaż Teneryfy pełnej turystów. Trzymali transparenty wzywające ich do opuszczenia wyspy. Jednocześnie na hiszpańskim archipelagu kilka osób rozpoczęło strajk głodowy. Protestowali przeciwko dwóm projektom hotelowym, które mają powstać na jednej z ostatnich dziewiczych plaż, La Tejita.

Tegoroczne protesty przebiegły niemal całkowicie pokojowo. Demonstranci domagali się mieszkań, wody (na Ibizie jest racjonowana), godnych płac, poszanowania ekologii i ograniczenia wynajmu krótkoterminowego.

Sezon wakacyjny dopiero się zaczyna, więc zapewne nie będą to ostatnie demonstracje. Tym bardziej że ostatnio do ruchu przyłączyli się aktywiści z Holandii, Chorwacji i Grecji.

Newsy, komentarze,
opinie ekspertów

Zaprasza
Michał Adamczyk

Najważniejszy
program informacyjny
w Polsce.

wPolsce
24

WIADOMOŚCI

codziennie

19:30

wPolsce **24**

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52

telewizja
naziemna

62

CANAL+

192

netia

32



825

vectra

196

polsat box

65

PLAY
dawniej upc

459

inea

631

TOYA

43

evio

Stosunki USA–Europa, czyli kryzys w starym małżeństwie

Stosunki między Europą a USA nie zależą jedynie od woli polityków. Są także wynikiem różnicy potencjałów gospodarczych po obu stronach Atlantyku



JAN PARYS

Militarny sojusz Europy i USA trwa już blisko 76 lat. W tym czasie zmieniło się kilka pokoleń polityków, czasy, okoliczności i powstały zupełnie nowe technologie. Powiększyła się liczba uczestników sojuszu, bo dla wielu państw bezpieczeństwo stało się wartością nadrzędną. Na USA jako najsilniejszym państwie NATO od początku spoczywa w Sojuszu największa odpowiedzialność za bezpieczeństwo.

Od kiedy prezydentem USA został Donald Trump, Sojusz został dotknięty kryzysem zaufania. Trump najpierw stwierdził, że państwa Unii Europejskiej są „pasażerami na gapę”, czyli korzystają z amerykańskiego parasola militarnego, lecz same zbyt mało inwestują w obronę. Potem ogłosił potrzebę zwiększenia potencjału militarnego, co oznacza poważne zwiększenie nakładów na zbrojenia. Większość europejskich polityków

przyjmuje te żądania bardzo niechętnie i zarzuca Trumpowi transakcyjne podejście do zobowiązań sojuszniczych. Amerykanie spokojnie wyjaśniają, że nie oczekują zapłaty za parasol militarny, lecz domagają się jedynie, by państwa europejskie zaczęły więcej inwestować we własną obronę. Europejscy politycy uważają, że Trump nie ma prawa im narzucać jakichkolwiek decyzji.

Warto pamiętać, że stosunki między Europą a USA nie zależą jedynie od woli polityków. Są także wynikiem różnicy potencjałów gospodarczych po obu stronach Atlantyku. Z tej różnicy w potencjale gospodarczym wynika bowiem potencjał militarny i polityczny, czyli zdolność do kreowania nowego układu sił na świecie. To nie Trump, lecz Mario Draghi w swoim raporcie o gospodarce UE opisał słabość państw europejskich. Trump tylko wyciągnął wnioski polityczne ze stanu gospodarki w UE.

Jak wiadomo, każdy kraj może pomnożyć własny potencjał, budując sojusze polityczne i militarne. Sojusze to szansa dla państw, które nie są mocarstwami, a do takich należą kraje UE.

Podczas ostatnich kilkunastu lat państwa UE przyjęły model demokracji liberalnej za obowiązujący zawsze i wszędzie, bez względu na to, jakie ugru-

powanie jest u władzy. Dawna klasyczna doktryna wolności została odrzucona. Przyjęto nowe i skrajne rozumienie liberalizmu, negując prawo do uczestnictwa w życiu publicznym każdego, kto ma inne poglądy niż liberalowie z Brukseli. Uznano, że organizacje ponadnarodowe mogą narzucać rządów poszczególnych państw cele i normy postępowania. Jest to zupełnie inne podejście do polityki niż to, które obecnie przyjęto w USA. Republikańskie podejście do polityki oznacza, że władza, którą wybierają obywatele, realizuje program obywateli, a nie liberalnej elity, a nikt z zewnątrz bez zgody parlamentu nie ma prawa ograniczać działania władzy wybranej przez naród w konkretnym kraju.

LISTA ROZBIEŻNOŚCI

Obecne napięcia w relacjach Europa–USA nie są zatem wynikiem złośliwych decyzji obecnej republikańskiej administracji. Głębokie różnice potencjałów gospodarczych i militarnych między Europą a USA istniały od dawna. Tzw. strategia lizbońska przewidywała, że kraje Unii gospodarczo przegonią Stany Zjednoczone. Stało się inaczej. W ostatnich latach dystans między UE a USA powiększył się. Polityka prezydenta



Trumpa w 2025 r. spowodowała jedynie to, że te różnice stały bardziej widoczne.

W tej chwili europejscy i amerykańscy politycy różnią się w takich kwestiach, jak:

- konieczność rokowań z Rosją o sytuacji na świecie;
- zakres bezpiecznej kooperacji gospodarczej i politycznej z Chinami;
- warunki zawarcia pokoju na Ukrainie;
- ocena polityki Izraela w Gazie;
- rozumienie demokracji, wolności i roli instytucji ponadnarodowych;
- możliwość narzucania własnych kryteriów demokracji i wolności innym krajom;
- udział europejskich polityków w rokowaniach z Rosją itp.

Zanim przywódcy państw europejskich podejmą decyzję, jak postępować z nową administracją USA, powinni pamiętać o tym, że potencjał Europy jest dziś zbyt mały, by nasz kontynent skutecznie prowadził samodzielną politykę na świecie. Europa nie jest w stanie sama obronić Ukrainy, a co dopiero mówić o obronie przed ewentualną rosyjską agresją. Stary Kontynent nie ma takiego wzrostu gospodarczego jak Chiny ani takich technologii i pieniędzy jak Ameryka. Europa z własnej winy jest zatem zmuszona do kooperowania z partnerem zza oceanu. W związku z tym powinna ograniczyć swoje ambicje do prowadzenia samodzielnej polityki na obszarach pozaeuropejskich. Nie ma rady – musimy uznać, że USA są silniejszym partnerem wobec Unii.

Od wielu lat istnieje sprawdzona płaszczyzna współpracy transatlantyckiej. Jest nią uczestnictwo prawie wszystkich państw zachodnich w NATO. Istnieje jedno rozwiązanie, które pozwoli utrzymać sojusz z USA – władze Unii i państwa europejskie powinny działać na podstawie priorytetów przyjmowanych w demokratyczny sposób co roku podczas spotkań wszystkich państw Sojuszu. Najbliższy szczyt NATO będzie miał miejsce w końcu czerwca br. w Hadze. To tam wspólnie powinna zostać podjęta decyzja o priorytetach państw zachodnich na najbliższe lata.

PUNKTY STYCZNE

Polityka proatlantycka, która może pogodzić Europę i administrację Trumpa, składa się z kilku postulatów:

- większe wydatki na zbrojenia w każdym kraju dzięki ograniczeniu nakładów na zieloną energię i migrację ekonomiczną;
- zablokowanie importu surowców i embargo na eksport nowych technologii do Chin oraz Rosji;
- finansowanie przez UE rozbudowy infrastruktury krytycznej na flance wschodniej NATO;
- przyjęcie, że rozmowy z Rosją o pokoju na Ukrainie nie mogą prowadzić do zmniejszenia potencjału militarnego NATO w Europie, jednostronne redukcje sił militarnych po stronie za-

Polska jako największy kraj flanki wschodniej ma obowiązek organizowania państw regionu w sferze bezpieczeństwa w ramach NATO

chodniej nie zwiększają bezpieczeństwa naszego kontynentu;

- konieczne jest podtrzymanie twardego stanowiska wobec Rosji, jakie zajęły państwa NATO w styczniu 2022 r. wobec rosyjskiego ultimatum z grudnia 2021 r., Trump nie może zajmować wobec Rosji pozycji mniej stanowczej niż Biden;
- uznanie, że przestrzeganie zasady wolności mediów i wolności obywateli jest podstawą funkcjonowania ustroju demokratycznego;
- zgoda na wspólne definiowanie zagrożeń i określanie głównych interesów państw cywilizacji zachodniej w ramach NATO, traktat waszyngtoński nie przewiduje czegoś takiego, jak unijna polityka obronna czy autonomia strategiczna UE;
- uznanie, że czysto europejskie inicjatywy militarne izolują Europę od USA i tym samym rozbijają Sojusz Północnoatlantycki;

- przyjęcie, iż kontrola nad migracją i obrona granic jest obowiązkiem każdego z państw NATO;
- zakaz ingerencji z zagranicy w wewnętrzne sprawy poszczególnych państw, w ich ustrój, system wyborczy, strukturę i skład władz, co przewiduje art. 2 ust. 7 Karty ONZ;
- przyjęcie, że bezpieczeństwo Europy zależy przede wszystkim od siły państw flanki wschodniej NATO i ich wsparcia przez wojska amerykańskie. USA muszą mieć zatem decydujący głos w sprawie kooperacji militarnej i strategii obrony w tym rejonie. Żaden kraj europejski ani władze UE nie mogą podejmować inicjatyw destabilizujących sytuację na flance wschodniej;
- wzmocnienie obrony przed Rosją jest możliwe przez budowanie wspólnej obrony flanki wschodniej, państw bałtyckich i obszaru Morza Północnego. Oznacza to, że powstanie linia obrony zwana korytarzem północno-wschodnim – od Wielkiej Brytanii przez kraje skandynawskie, kraje bałtyckie, państwa Trójmorza aż do Turcji.

Na czym ma się zatem opierać bezpieczeństwo Polski i Europy?

Na flance wschodniej jest wiele państw, które już kilka lat temu zerwały z zależnością gospodarczą i polityczną od Rosji. Są kraje, których gospodarka nie jest uzależniona od eksportu do Chin. Mamy zatem swobodę w podejmowaniu decyzji o sojuszach, której brakuje kilku państwom Europy Zachodniej. Polska jako największy kraj flanki wschodniej ma obowiązek organizowania państw regionu w sferze bezpieczeństwa w ramach NATO. Jesteśmy zainteresowani wielosektorowym sojuszem z USA, który wykracza poza sferę militarną. Mamy świadomość, że zarówno bezpieczeństwo Polski, jak i całej Europy najlepiej budować wspólnie z Ameryką, a nie w izolacji wobec USA.

Żaden z wymienionych postulatów dotyczących relacji między Stanami Zjednoczonymi i Europą nie jest sprzeczny z dziedzictwem kultury europejskiej ani nie narusza prawa do prowadzenia suwerennej polityki przez poszczególne państwa. Żaden nie jest sprzeczny z traktatem o UE ani traktatem waszyngtońskim.

Ofiary rzezi wołyńskiej zasługują na upamiętnienie

Nie wiemy, ile lat zajmie nam doprowadzenie tej sprawy do końca. Naszym zdaniem miasto nie chce upamiętnić ofiar rzezi wołyńskiej, a jego działania są wyłącznie pozorne i wynikają z obawy przed reakcją opinii publicznej

Z Pawłem Zdziarskim, prezesem Stowarzyszenia „Wspólnota i Pamięć”, które w ramach akcji „Wołyń na Powązki” walczy o wybudowanie na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie pomnika ofiar rzezi wołyńskiej, rozmawia Stanisław Płużański

Przed nami 82. rocznica krwawej niedzieli na Wołyniu, czyli apogeum ukraińskiego ludobójstwa. Z tej okazji chciałem pana zapytać, czego dokładnie dotyczy inicjatywa „Wołyń na Powązki”?

Paweł Zdziarski: Od samego początku działalności Stowarzyszenia „Wspólnota i Pamięć” najbliższe nam były i pozostają sprawy kresowe. Głównymi naszymi celami są: utrwalanie pamięci o Polakach pomordowanych na Wschodzie, opieka nad Polakami żyjącymi na dawnych Kresach Rzeczypospolitej oraz odkłamywanie polskiej historii. Pomysł budowy pomnika narodził się w 2021 r. Podczas pandemii często spacerowaliśmy po Powązkach, odwiedzając groby polskich bohaterów. Zdaliśmy sobie sprawę, że na cmentarzu wojskowym znajduje się wiele upamiętnień martyrologii naszego narodu: Krzyż Katyński, Krzyż Ponarski, Mauzoleum Żołnierzy Wyklętych-Niezlomnych, Pomnik Sybiraków, miejsca pamięci żołnierzy obu wojen światowych, wojny polsko-bolszewickiej czy ofiar totalitaryzmów. Niektóre



z wymienionych przeze mnie miejsc to kwatery grobów, ale znaczna część to również pomniki symboliczne. Na terenie naszej narodowej nekropolii nie ma natomiast żadnego upamiętnienia ofiar ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Tę lukę ma wypełniać właśnie inicjatywa „Wołyń na Powązki”. Pomnik byłby symbolicznym grobem dla tych naszych rodaków, którzy nie mają godnego pochówku, ponieważ nadal odmawia im tego państwo ukraińskie. Stąd pomysł symbolicznego

pochówku ziemi z mogił i dołów śmierci znajdujących się w nieistniejących już polskich miejscowościach na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Nasza inicjatywa miała trzy główne etapy. Pierwszym było nagłośnienie akcji w mediach, zarówno społecznościowych, jak i tradycyjnych. Powstała petycja internetowa, którą podpisało ok. 20 tys. osób. Drugim etapem było wystosowanie listu intencyjnego do prezydenta Warszawy. Podpisało go ponad 60 organizacji społecznych, patriotycznych, kresowych i kombatanckich,

w tym żołnierze NSZ, AK, BCh oraz powstańcy warszawscy, w towarzystwie których tak lubi się pokazywać Rafał Trzaskowski. Niestety mimo poparcia tyłu środowisk prezydent Warszawy nie zgodził się na budowę pomnika. W trzecim etapie napisaliśmy projekt uchwały w tej sprawie, który skierowaliśmy do Rady Miasta Stołecznego Warszawy. Do jego złożenia potrzeba było 300 podpisów warszawiaków, my mieliśmy ich ponad 1000, z czego uznano nam ponad 600. Niestety w Radzie Miasta nie znalazła się większość, która uchwaliliby nasz projekt.

Na jakim etapie jest teraz ta akcja?

Retoryka nieco się zmieniła jesienią ub.r., kiedy trwała już nieformalna kampania prezydencka. Rafał Trzaskowski ogłosił publicznie, że chciałby pochować ofiary rzezi wołyńskiej na Powązkach Wojskowych. W związku z wcześniejszym blokowaniem naszej inicjatywy było to dosyć kuriozalne. Uznaliśmy jednak, że trzeba wyjść na przeciwko temu postulatowi, który z wielu powodów nie jest najlepszym rozwiązaniem. Po pierwsze, Polacy, którzy zginęli na Kresach Południowo-Wschodnich, powinni być pochowani właśnie tam. Żyli na tych terenach od setek lat i tam były ich domy. Po drugie, nie wiadomo, w jaki sposób przewieźć te szczątki i gdzie znaleźć dla nich miejsce. Mowa przecież o tysiącach ofiar. Trzeci problem dotyczy strony ukraińskiej, która nadal, poza kilkoma wyjątkami, blokuje ekshumacje. Naszym zdaniem miasto celowo szuka takich sytuacji bez wyjścia, ponieważ nie chce upamiętnić ofiar ukraińskiego ludobójstwa. Wszelkie działania są pozorne i wynikają z obawy przed reakcją opinii publicznej.

Zwracaliśmy uwagę na te problemy w pismach kierowanych do Biura Stołecznego Konserwatora Zabytków. Udało nam się jednak wypracować kompromis. W styczniu br. otrzymaliśmy informację, że jest zgoda na wzniesienie pomnika pod warunkiem, że uwzględnimy przestrzeń na ewentualny pochówek w przyszłości. Kompromisowo zgodziliśmy się z zastrzeże-

niem, że będzie chodziło o niewielką, symboliczną reprezentację ofiar, na zasadzie Grobu Nieznanego Żołnierza. Z rozmowy z dyrektorem Biura Stołecznego Konserwatora Zabytków wynikało, że możemy rozpocząć działania. Później na kilka miesięcy kontakt się urwał, a konkretnych decyzji nie było. Do dzisiaj jesteśmy zwodzeni w tej sprawie. Niedawno dostaliśmy kolejne pismo, z którego wynika, że zgoda nie dotyczy pomnika upamiętniającego ofiary, a ich grobu. Czyli w teorii miasto chce pochować ofiary, czego możemy się w ogóle nie doczekać, ale nie wydaje zgody nawet na prosty Krzyż Wołyński.

Żyją jeszcze świadkowie ludobójstwa. To przykre, że część z nich nie doczeka realizacji akcji „Wołyń na Powązki”. Teraz najważniejsza jest presja społeczna. Bez nagłaśniania tematu i przekonania, że Polacy chcą tego pomnika, inicjatywa nie zakończy się sukcesem

Akcja utknęła w martwym punkcie?

W kwietniu otrzymaliśmy jeszcze jedno pismo, w którym podtrzymano stanowisko ratusza z ub.r. Konserwator Zabytków m.st. Warszawy pisał dodatkowo, że potrzebuje opinii IPN na temat pomnika. Tymczasem my już ją mamy i wcześniej wysłaliśmy do jego biura. Jako strona społeczna nie jesteśmy nawet zapraszani na spotkania zespołu ds. wznoszenia pomników.

Nie oskarżam zwykłych urzędników o złą wolę w tej sprawie. Kiedy rozmawiamy z przedstawicielami Zarządu Cmentarzy Komunalnych, Biura Spraw Społecznych m.st. Warszawy czy Biura Stołecznego Konserwatora Zabytków,

często widzimy poparcie i zrozumienie naszej sprawy. Niestety kiedy przychodzi do podejmowania decyzji, słyszymy, że jest odgórna blokada, z którą nic się nie da zrobić. Widać zatem, że w Warszawie nie ma woli politycznej, aby doprowadzić tę sprawę do końca.

Pojawiają się głosy, że w Warszawie znajduje się pomnik rzezi wołyńskiej, a więc kolejny nie jest już potrzebny.

Aktualne upamiętnienie ofiar w Warszawie jest po prostu niewystarczające. Pomnik Rzezi Wołyńskiej i znajdujący się obok skwer Wołyński to miejsca, gdzie nikt nie chodzi, a przez większość roku okolica jest zaniedbana. Często interweniowaliśmy w tej sprawie. Zdarzało się, że jeszcze kilka dni przed rocznicą krwawej niedzieli 11 lipca znajdują się tam choćby kontenery ze śmieciami, a trawa jest nieskoszona. Poza tym pomnik, o który walczyliśmy, ma mieć zupełnie inną ideę i wykorzystanie. Uroczystości państwowe nadal mogą się odbywać na skwerze Wołyńskim. W Warszawie mieszka wielu Kresowiaków i rodzin ofiar. Ci ludzie aktywnie wspierają naszą inicjatywę. Chcą mieć miejsce na cmentarzu, na które mogliby przyjść, aby się pomodlić, zapalić znicze, zostawić kwiaty – np. na Wszystkich Świętych, Dzień Zaduszny, Boże Narodzenie czy Wielkanoc. Nikt nie chodzi wówczas na skwer Wołyński, a dużo ludzi odwiedza cmentarze, zwłaszcza Powązki. Niemal każdego dnia pojawiają się tam turyści, wycieczki szkolne czy harcerze. Z tego powodu pomnik spełniałby także funkcję edukacyjną. Poza tym byłby to symboliczny grób. Polacy w chwili zadumy prędzej pójdą na cmentarz niż na skwer gdzieś na obrzeżach miasta. To jest właśnie ta różnica.

Mimo wszystko Krzyż Wołyński stoi na Powązkach.

Tak, zachęcam wszystkich do odwiedzania nieoficjalnego, tymczasowego Krzyża Wołyńskiego, który został postawiony przez polskich patriotów na Powązkach Wojskowych. Znajduje się na kwaterze IIIA, tuż przy Krzyżu Ponarskim. Chcemy, aby w tym miejscu powstał pomnik. Mielibyśmy wówczas

obok siebie upamiętnione ofiary ludobójstwa zarówno na Kresach Północno-Wschodnich, jak i Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej. W okolicy jest dużo tego rodzaju upamiętnień np. dzieci wojny, bohaterów wojny polsko-bolszewickiej, powstań śląskich czy powstania wielkopolskiego. Nasz pomnik wpisywałby się w architekturę tej części Powązek. Na szczęście Zarząd Cmentarzy Komunalnych go nie usuwa, na co wpływ zapewne ma fakt, że niemal codziennie płoną pod nim znicze. Ludzie chętnie odwiedzają to miejsce. Można powiedzieć, że krzyż znalazł stałe miejsce w świadomości wielu Polaków.

Skąd zamierzacie wziąć środki na budowę pomnika?

Nigdy nie prosiliśmy o żadne fundusze, nie chcieliśmy uszczuplać budżetu Warszawy. Zebraliśmy pewną kwotę na rozpoczęcie prac dzięki zrzutce internetowej, którą wsparło wielu polskich patriotów. Kolejna zbiórka ruszy, jak tylko będzie zgoda na postawienie pomnika. Wtedy powstanie szczegółowy kosztorys. Już teraz mamy wielu potencjalnych darczyńców, którzy pytają, kiedy można wesprzeć budowę monumentu. Licznie zgłasza się do nas np. Polonia amerykańska, która sfinansowała pomnik Rzeź Wołyńska śp. Andrzeja Pityńskiego, odsłonięty rok temu w Domostawie. Mamy zapewnienia IPN, że gdyby brakowało nam środków, możemy liczyć na jego wsparcie.

Dlaczego po tylu latach temat rzezi wołyńskiej wydaje się tak aktualny?

Ostatnie sondaże pokazują, że zainteresowanie tą tematyką rośnie. Większość Polaków, niezależnie od sympatii politycznych, domaga się, by Ukraina pozwoliła w końcu na masowe, a nie tylko punktowe ekshumacje ofiar tego ludobójstwa. Jeszcze kilka lat temu byłoby to nie do pomyślenia. Przez cały okres PRL nie można było mówić o Katyniu. Po przemianach ustrojowych z 1989 r. to się zmieniło, dzięki czemu ludzie poznali prawdę i coraz bardziej interesowali się tą zbrodnią. Myślę, że teraz to samo dzieje się z rzezią wołyńską. To temat przemilczany, poniekąd zakazany w imię poprawności politycznej, ale wreszcie przebija się do świadomości Polaków.



Żyją jeszcze świadkowie ludobójstwa. To przykre, że część z nich nie doczeka realizacji akcji „Wołyń na Powązki”. Ludzie tacy jak śp. Antoni Dąbrowski, którzy wspierali naszą inicjatywę, niestety od nas odeszli. Wielu nie doczekało także ekshumacji i pochówku swoich najbliższych. Obecnie mamy jeszcze kontakt z kilkudziesięcioma żyjącymi świadkami tamtych wydarzeń, którzy nadal czekają na sprawiedliwość.

Muszę wspomnieć o najważniejszej osobie, która była z nami od początku, stała się inspiracją do założenia Stowarzyszenia „Wspólnota i Pamięć” oraz publicznie wspierała inicjatywę „Wołyń na Powązki”. Jest to śp. ks. Tadeusz Isakowicz-Zalewski, nasz nieformalny patron. Inspirowała nas jego niezłomność, działalność kresowa, walka o prawdę o ofiarach ludobójstwa i ich godny pochówek. Na każdym kroku wspierał nasze działania i radził w trudnych momentach. Niestety dzisiaj nie ma go już wśród nas, jednak staramy się kontynuować jego dzieło. Jesteśmy także w trakcie prac nad filmem dokumentalnym o życiu i działalności ks. Tadeusza. Na ten cel również zbieramy środki, ponieważ jest to oddolna inicjatywa.

Sprawa rzezi wołyńskiej wyszła już poza rodziny kresowe i stała się bliską całością narodową polskiemu. Mam nadzieję, że ten trend się utrzyma, pamięć będzie kultywowana, a politycy poczują presję ze strony społeczeń-

stwa. Dzięki niej temat Wołyń był obecny podczas kampanii prezydenckiej. Prezydent elekt dr Karol Nawrocki *de facto* zakończył swoją kampanię przy pomniku w Domostawie. To też pokazuje, że dzisiaj nie da się przejść obojętnie obok tego tematu.

Jak ocenia pan szansę na sukces akcji „Wołyń na Powązki”?

Trudno to przewidzieć. Na pewno będziemy podejmować kolejne działania i nagłaśniać ten temat. W końcu niedawno w Sejmie RP udało się ponad podziałami uchwalić ustawę o dniu ludobójstwa i ustanowić święto państwowe. Jeżeli presja społeczna będzie duża, to szanse są. Bez nagłaśniania tematu i przekonania, że Polacy chcą tego pomnika, akcja nie zakończy się sukcesem. Nie ma sensu polegać na dobrej woli polityków, jednak ich motywacje mają dla nas drugorzędną wagę. Zależy nam na tym, żeby ten pomnik powstał, był godny i zawierał prawdę historyczną.

Mamy nadzieję, że wpływ na jego kształt będą mieć w pierwszej kolejności rodziny kresowe. Jednym z kluczowych wymogów miasta jest przeprowadzenie postępowania konkursowego na wykonawcę monumentu. Szanujemy tę decyzję, jednak uważamy, że jako inicjatorzy, polscy patrioci i przede wszystkim rodziny ofiar ludobójstwa powinniśmy mieć prawo głosu. Nic o nas bez nas. 

K

ULTURY

*Pierwszy raz
spotkali się na
filmowym planie
ponad sześć dekad
temu. Mały chłopiec
i aktor. Po 17 latach
Bronisław Pawlik
wcielił się w postać,
za sprawą której mocno
dziś dojrzały Marek
Kondrat zdecydował się
wrócić przed
kamerę*

Zwrot dla „Lalki”

Fot. Beata Zawrzo/REPORTER



Kadr z filmu „Zakłète rewiry”



Kadr z filmu „Psy”



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W 2007 r. ogłosił zakończenie filmowej kariery. „Straciłem emocje do tego zawodu i rozpocząłem zupełnie inną przygodę w swoim życiu, nauczysz się, że właściwie nie ma takich przedziałów wiekowych, które by nie pozwalały człowiekowi czegoś zaczynać” – mówił w jednym z nielicznych w ostatnich latach wywiadów. Teraz, modyfikując nieco maksymę ukutą przez pewnego polityka, jeszcze raz zaczyna i – być może – zarazem ponownie kończy aktorską przygodę. Ale jaką rolę!

RZECKI NA NOWO

Jego nazwisko rozgrzało emocje przy okazji nowej ekranizacji powieści Bolesława Prusa „Lalka”. Marek Kondrat ma się w niej wcielić w subiekta Rzeckiego. Blisko pół wieku temu postać tę zagrał Bronisław Pawlik (w serialu z 1977 r. wyreżyserowanym przez Ryszarda Bera, a dekadę wcześniej, w filmie W.J. Hasa, Tadeusz Fijewski).

Siedemdziesięciopięcioletni dziś Kondrat wydaje się nie tylko najbardziej doświadczonym życiowo (i branżowo – w końcu od lat prowadzi sklepy, choć z innym asortymentem niż w powieści) odtwórcą Rzeckiego, lecz także osobowością, która może poprowadzić bohatera w zupełnie nową stronę. Jego subiekt nie będzie zapewne tylko cieniem Wokulskiego (którego w nowej adaptacji ma zagrać Marcin Dorociński). Rolę Izabeli Łęckiej powierzono Kamili Urzędowskiej. Do obsady do-

łączyła też Maja Komorowska jako filmowa prezesowa Zasławska.

DWA ŚWIATY

Pytany przed laty, co musiałoby się zdarzyć, by wrócił do aktorstwa, udzielał różnych odpowiedzi. Gdy pojawiły się informacje, że przyjął rolę Rzeckiego, do sprawy trochę ironicznie odniosła się instytucja finansowa, z którą bardzo długo współpracuje reklamowo: „Kiedy od 27 lat masz ważną rolę w banku. I pojawia się propozycja pracy w sklepie. Marek Kondrat, gratulujemy”. Ale okazało się, że praca w „sklepie Wokulskiego” była mocnym magnesem.

„»Lalka« jest moją ulubioną powieścią. Nigdy w moim życiu aktorskim nie zdarzyło mi się znaleźć wśród jej bohaterów. Udało się to mojemu ojcu w filmie Wojciecha Jerzego Hasa [Tadeusz Kondrat zagrał w nim starego Szlangbauma – przyp. red.]. Teraz tę szansę dostaję od losu, ja i chcę z niej skorzystać. Rzecki jest postacią

z dwóch światów – mijającego i obecnego. To bliska mi perspektywa, która daje mi poczucie dotkliwej aktualności tej powieści. Wymarzona ekipa twórców dodaje mi odwagi” – powiedział Kondrat o roli, która skłoniła go do powrotu do kina. Po porzuceniu aktorstwa wyjątek zrobił tylko dla Janusza Majewskiego i jego „Małej matury 1947” z 2010 r.

OD I DO KRAKOWA

Aktorska przygoda wtedy jedenastoletniego Marka rozpoczęła się za sprawą filmu dla młodych widzów „Historia żółtej cizemki” (1961), w którym zagrał Wawrzka – małego pomocnika mistrza Wita Stwosza. Co ciekawe, urodzony w Krakowie Kondrat (syn aktora i bratanek Józefa Kondrata, również aktora) na plan przedstawiający wnętrza bazyliki Mariackiej jeździł do stołecznego studia (zdjęcia były kręcone głównie w atelier) z warszawskiego Muranowa. Potem przez lata mieszkał i pracował



Kadr z filmu „Żółta cizemka”



Kadr z filmu „Dzień świra”



Kadr z filmu „C.K. Dezerterzy”

w Warszawie. Dziś znów to miasto pod Wawelem jest jego miejscem – i na prywatne życie, i na winiarski biznes.

„Ja tu wracam do siebie. Ja się tu urodziłem. [...] Kraków jest mniejszy od Warszawy, ale tutaj jest ogromna część tego, co noszę w sobie. Jest też część tego, czego nie noszę” – mówił, gdy po zakończeniu kariery, również za sprawą nowego uczucia, właśnie do Krakowa się przeprowadził.

Z NAJLEPSZYMI

Na planie „Żółtej cizemki” poznał m.in. Bronisława Pawlika, który grał wędrownego kuglarza (w duecie z Bogumiłem Kobielą). Zresztą cała obsada filmu była gwiazdorska – Gustaw Holoubek jako Wit Stwos, Andrzej Szczepkowski w roli Czarnego Rafała, Mieczysław Czechowicz jako strażnik w bramie krakowskiej czy Beata Tyszkiewicz jako Zofka.

Można powiedzieć, że przyszły aktor wchodził do świata filmu z najlepszymi. Teraz wraca do niego również w znakomitym towarzystwie, jednocześnie wnosząc imponujący bagaż ról i mimo odejścia od aktorstwa niesłabnącą obecność w pamięci wielu starszych widzów oraz współczesnej przestrzeni medialnej. Są aktorzy, których twarze zapamiętujemy na chwilę, i są tacy jak Marek Kondrat – obecni w pamięci widzów przez dekady, charyzmatyczni.

Jeszcze jako uczeń zagrał epizody w kilku produkcjach, m.in. w jednym z odcinków telewizyjnego hitu lat 60. „Wojna domowa”. Potem przyszły „Zakłète rewiry” (1975) w reżyserii Janusza Majewskiego i rola Romana Borczyki, za którą otrzymał m.in. Nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego. To był początek listy często kultowych ról filmach, takich jak „C.K. Dezerterzy”, „Psy”, „Pulownik Kwiatkowski” i oczywiście Adaś Miauczyński, zwłaszcza w „Dniu świra”.

Nie zapominajmy jednak i o pierwszym polskim tasiemcu – „W labiryncie”, panu Mareczku z Kabaretu Olgi Lipińskiej czy Olgierdzie Halskim z serialu „Ekstradycja”. Wśród wielu pamiętnych ról są również te z „Weisera”, „Prawa ojca”, „Nocnego graffiti”, „Operacji Samum”, „Kilera”, „Pieniądze to nie wszystko”, „Wróżb kumaka” czy „Wszyscy jesteście Chrystusami”.

Marek Kondrat współpracował z najgłośniejszymi twórcami polskiego kina – od Andrzeja Wajdy po Władysława Pasikowskiego. Przy nowej ekranizacji „Lalki” spotka się z Maciejem Kawalskim (reżyserem „Niebezpiecznych dżentelmenów”) oraz autorem zdjęć Piotrem Sobocińskim jr („Boże Ciało”, „Wesele”, „Wołyń”). Pierwszy klaps padnie najprawdopodobniej w sierpniu br., co oznacza, że premiery możemy się spodziewać na przełomie lat 2026 i 2027.

ŻYCIE PO FILMIE

Po tym, jak rzucił aktorstwo, Marek Kondrat zajął się branżą winiarską. Prowadził sklepy – pierwszy był w Warszawie, potem w Katowicach, Poznaniu, Bydgoszczy, Wrocławiu i oczywiście w Krakowie. Nadal pozostaje w branży, współpracując w niej z jednym ze swoich dorosłych już synów z pierwszego małżeństwa, Mikołajem (młodszy syn Wojciech zawodowo gra na skrzypcach).

Kilkanaście lat temu głośnym echem odbił się związek mocno już dojrzałego aktora z młodszą o niemal cztery dekady Antoniną Turnau (córką Grzegorza Turnaua). Pobrali się w 2015 r., po czym wyjechali do Hiszpanii. W 2018 r. zostali rodzicami Heleny. Ze względu na edukację córki wrócili niedawno do Krakowa.

W niedawnej rozmowie dla „Tygodnika Powszechnego” Marek Kondrat

zdecydował się opowiedzieć m.in. o późnym ojcostwie. W wywiadzie stwierdził też, że dopiero teraz czuje się wolny od oczekiwań i presji, które towarzyszyły mu przez większość zawodowego życia. „Świadomość, że mogę istnieć po swojemu, a nie tak, jak chcą mnie obsadzać inni, przyszła do mnie cholernie późno” – powiedział.

Gdy urodziła się Helena, miał 68 lat. „Fakt, że stało się to poza normalnym, by tak rzec, cyklem rozwojowym, sprawia, że ja tej presji nie odczuwam. Już nie muszę zdobywać pożywienia, drzeć o karierę. Dla mnie ojcostwo to jest tylko dar. I brak lęków” – tłumaczy w wywiadzie. I dodaje: „Helenka dyktuje warunki, a więc też mój dzień, bo ją w różne miejsca wożę. Wioloncze, francuski, tenis, lepienie garnków. Co jest do wzięcia, bierze. [...] To bycie w jej »pięciu minutach« sprawia mi ogromną przyjemność. I daję przekonanie, że właśnie to jest prawdziwe życie”.

GŁĘBOKI SMAK

Marek Kondrat udowadnia, że ze sceny da się zejść na własnych warunkach. I na własnych warunkach na nią wrócić (a może i – dokonując kolejnego aktorskiego przewrotu – na dłużej na niej zostać). Że można znaleźć nową pasję, nową miłość, nową wersję siebie. I że dojrzałość wcale nie musi być nudna.

63 lata temu z dziecięcą ciekawością wkroczył w „Historię żółtej cizemki”. Dziś staje przed szansą na kreację wieńczącą wcześniejsze aktorskie osiągnięcia. Równolegle nie wychodzi z życiowej roli ojca i winiarskiego biznesmena. Można powiedzieć, że historia Marka Kondrata ma głęboki smak. Jak czerwone wytrawne wino z dobrego rocznika – z początku intensywne, z czasem głębokie i pełne niuansów.

Precz z utopiami!

„Przeznaczeniem człowieka jest konfrontacja ze złem, ale nie budowa doskonałego świata, bo ten jest niemożliwy. Ten iskrzący styk między polityką i moralnością – to właśnie nieusuwalne, konieczne napięcie, które nazywamy życiem”
– mówił Bronisław Wildstein

Ta książka to pean dla „obiektywnego porządku rzeczy” i wyraz pewności, że tylko on może być fundamentem naszej egzystencji. Bronisław Wildstein, pisarz i publicysta, jak zawsze występujący w roli zapalczego polemisty, odwołując się do antycznych mitów i tragedii, katolickiej teologii, umysłów filozofów oraz najważniejszych dzieł literackich, przekazuje, że dla współczesnego człowieka nie ma innej drogi przetrwania. Posiłkując się ich autorytetem, potwierdza tę prawdę i demaskuje jej wrogów, twierdzących, że „rzeczywistość to plastyczna masa, którą człowiek winien ulepić zgodnie ze swoimi pragnieniami”.

Porusza więc problem niwelacji wszelkich hierarchii w czasach zdekretowanej równości, degradacji autorytetu władzy w chaosie demokracji, wypierającej kulturę nieustannego karnawału, w czasie którego współczesny człowiek, a więc „zbuntowany Prometeusz” i „tragiczny egzystencjalista”, przywdział błazeńskie maski. To potyczka z kultem naukowego poglądu na świat, absolutyzacją nauk przyrodniczych i ścisłych, badających rzeczywistość w sposób fragmentaryczny i w konsekwencji kawałkujących ją, czyniąc niezrozumiałą. Stara się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego rynek, kapitalizm, konsumpcja i rozwój techniki degradują ducha. Jak rozumieć postęp w sytuacji, gdy świat wokół nas ulega konsekwentnemu rozpadowi?



MACIEJ WALASZCZYK

W końcu – jakiego humanizmu potrzebujemy i czy w ogóle jest on możliwy bez prawd objawionych przez chrześcijaństwo.

Wildstein nie ma złudzeń, pozostawia za sobą wszelkie ideologie, uwodzieleńskie projekty i narracje. Nie stawia pytań bez odpowiedzi, ale uzasadnia swoje stanowisko, nieustannie je konfrontuje. Przede wszystkim stara się dowieść, że godność człowieka jako stworzenia Boskiego wyrasta z jego natury. Tymczasem próby mające na celu przetworzenie człowieczeństwa, czego pragną napędzani prometejską pychą rzecznicy nieustannej przemiany i emancypacji, kwestionują ją, ale ciągle ponoszą klęskę. Podporządkowywanie świata się nie udaje, bo – jak mówi Wildstein – przenika go jakaś niedostępna człowiekowi tajemnica.

ŚLADEM SZEKSPIRA

„Opowieść idioty czy ład naturalny” jest oczywiście kontynuacją „Buntu i afirmacji”, do której autor dopisuje następne rozdziały. Książka ma w dużej

mierze charakter polemiczny, jest rodzajem komentarza do wielu stanowisk, m.in. wyrażanych przez Platona, Kanta, Nietzschego, oraz pełna odwołań nie tylko do Szekspira i greckich tragików, lecz także Sokratesa, św. Tomasza, Pascala czy bardziej współczesnych autorów, takich jak m.in. Michael Sandel, René Girard, Eric Voegelin, Chantal Desol, i postaci powołanych do życia przez Dostojewskiego albo poetyckich traktatów Miłosza.

Tytuł przywołuje szekspirowskiego Makbeta, z goryczą mówiącego o życiu jako demonicznej, nic nieznaczącej „powieści idioty”, odczytywanej przede wszystkim jako dramat istnienia. Zazwyczaj tryumfują w nim niegodziwość i zło. Szekspir nie pojawia się tu przypadkiem, bo to on, co wielokrotnie potwierdza autor, odwołując się do „Króla Leara”, „Burzy”, „Otella” czy „Juliusza Cezara”, wyświetlał w nich prawdę mówiącą, że ład świata zawsze jest zagrożony. Że porządek etyczny nie zawsze zwycięża tu i teraz, a jego rzecznicy nie tylko nie zostają wynagrodzeni za swoją szlachetność, lecz także cierpią upokorzenie i klęskę. Jednak stanowczo oponuje przeciw oskarżaniu wielkiego dramaturga o nihilizm. Przeciwnie, słynny monolog Makbeta to – jak dowodzi – nie tyle deklaracja jego światopoglądu, ile jedynie genialny w wymowie obraz kapitulacji głównego bohatera, który zaprzeczył ładowi świata. „Pozostaje mu albo szaleństwo, w którym pograża się jego żona, albo konsekwentne brnięcie w chaos, który jest drugą stroną oblędu” – stwierdza. Dzieje się tak, bo w chaotycznej rzeczywistości idioty nie ma trwałych punktów orientacyjnych.

Dlatego na każdym z nas spoczywa zadanie ich utrwalania, każdorazowego przywracania bosko-ludzkiego ładu. W tym przejawia się nasza wolność – tam, gdzie się pojawia nieuniknione doczesne zło, jest też dobroć i wszechmoc Stwórcy, do których czło-

wiek jest powołany się odwołać. To też samoidentyfikacja Wildsteina z taką teologią polityczną, w jakiej ustrój i relacje między członkami wspólnoty są wpisane w przekraczający ich boski wymiar, gdzie trzeba przezwyciężać cierpienie, którego nie da się odgórnie usunąć. O tym mówią np. tragedie Ajschylosa.

Problem polega jednak na tym, że te prawdy są nie do przyjęcia dla współczesnych mieszkańców Zachodu.

GDY RACJONALNOŚĆ STAJE SIĘ IRRACJONALNA

„Brak ładu naturalnego powoduje, że nasza egzystencja staje się opowieścią idioty” – twierdzi pisarz. Na przykład pod płaszczykiem praw człowieka i absolutnej wolności pojawiają/ujawniają się totalitarne ambicje, gdy okazuje się, że konsekwencje islamskiej ortodoksji z prawem szariatu włącznie są bardziej przewidywalne i na różne sposoby bardziej ograniczone niż nieograniczone i ciągle poszerzane przez korporacje sędziowską konsekwencje „praw człowieka”. Dlatego zdaniem autora doszliśmy dziś do kresu, a moce uruchomione przez liberalizm i demokrację prowadzą do nieprzewidywalnych konsekwencji. Zerwanie z boskim porządkiem ma bowiem skutki odwrotne niż zakładane. „Racjonalność, będąca przygodą ludzkiego rozumu do podejmowania wszelkich przedsięwzięć, mająca ambicję objąć, wyjaśnić i opisać w logicznych strukturach całość bytu, pozbawiona wszelkiej arbitralności staje się irracjonalna” – pisze Wildstein. Utopia, będąca wyrazem pychy człowieka, jego buntu opisanego w Księdze Rodzaju i micie Prometeusza, zawsze ma tragiczne konsekwencje. Tu przywołuje koncepcję spolityzowanej gnozy, a więc wszelkich komunizmów, a także technokracji, chcących uczynić coś kompletnie niemożliwego, a więc przekształcić człowieka lub – jak te dzisiejsze, związane z postępem naukowo-technicznym – opanować przyrodę (ekologizm) czy naprawić ludzką istotę (biotechnologia i inżynieria genetyczna).

Wildstein namawia więc, by każdorazowo odróżniać to, co niedoskonałe,

ale ludzkie, od politycznych projektów niegodnych człowieka. O tym mówią nam też nierozwiązywalne dylematy kapitalizmu, pustoszącego kulturowe formy i bariery, prowadzącego faktycznie do atomizacji społeczeństw i alienacji człowieka. Jednak pokazujące, że całościowe projektowanie ludzkich przedsięwzięć gospodarczych zawsze okazuje się niemożliwe, że stosunkowo szybko natrafia ono na granice, poza którymi nie jesteśmy w stanie kontrolować całości swojej działalności materialnej.

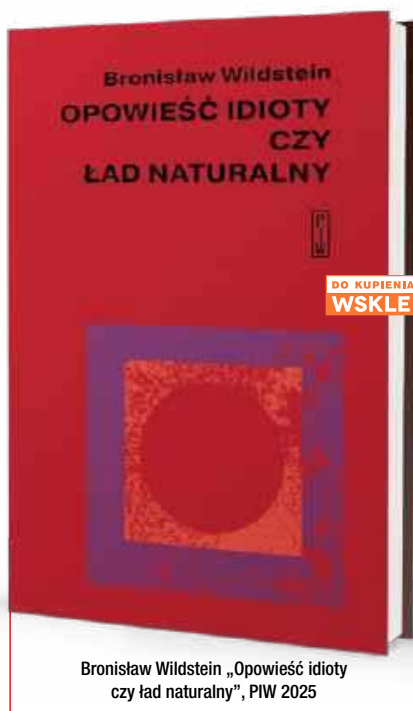
STAWIAĆ CZŁOŁO PRZEZNACZENIU

Afirmacja nie pozwala nam zamykać oczu na zło oraz uczy, że doskonale konstrukcje polityczno-ustrojowe nie wyeliminują ludzkich błędów. Owszem, stawiamy czoło złu – pisze Wildstein – ale ze świadomością, że jest ono wpisane w ludzki los, a walka z nim stanowi nasze przeznaczenie, z którym musimy się pogodzić. Przywołuje w tym miejscu paradoks „skoku w istnienie” opisany przez Voegelina. Objawienie Boga w religii żydowskiej oraz doświadczenia wyrażone w gre-

kiej filozofii i tragedii łączą się z odkryciem przez człowieka jego wolności. A to nieuchronnie uruchomiło proces racjonalizacji i odczarowania świata, prowadząc w ciągu wieków do ekstremalnego indywidualizmu, opisanego w greckiej kulturze i Biblii jako pycha. Ale nie ma wyboru – pisze Wildstein – człowiek, aby pozostać sobą, musi oscylować między utratą podmiotowości a jej „wolnościowym” ekscesem, „nie istnieje żadna idealna miara” i jesteśmy skazani na tę sytuację.

OSTRZEŻENIE PRZED TOTALITARYZMEM

Pod koniec lat 60. Sándor Márai, węgierski pisarz emigrant, ponownie trafił do Italii, gdzie uciekł z betonowego Nowego Jorku i nieludzkiej w jego oczach Ameryki. Dostrzegł, że choć na pierwszy rzut oka Włochy są wręcz państwem policyjnym z panoszącą się wszędzie biurokracją, to pod tą instytucjonalną warstwą okazywało się, że obywateli i policja żyją, jak chcą. Węgier dostrzegł, że trwające 3 tys. lat współzycie nauczyło ludzi i instytucje, że to nie urząd utrzymuje porządek, ale w rzeczywistości robi to życie, „i ten porządek okazuje się najtrwalszy”. O tym przekonuje też Wildstein. Wskazuje na utopijną koncepcję liberalnego państwa z próbą regulacji wszelkich dziedzin życia normami prawnymi, na rozrost regulacji mający charakter totalny, czasem uzasadniany zanikiem obyczajów i zwyczajowym rozbićciem obowiązującego od wieków spójnego systemu wartości. Jednak te założenia neutralne regulacje stają się narzędziem ideologicznej indoktrynacji zmierzającej do „daleko posuniętej uniformizacji życia (dalej), niż czyniły to w toku dziejów tradycyjne porządki kulturowe”. Oczywiście nie znajduje tutaj jakiegoś modelu idealnego, namawia – co jest sednem jego stanowiska – byśmy dostrzegli, że ten „iskrzący styk między polityką i moralnością” to właśnie nieusuwalne, konieczne napięcie, które nazywamy życiem. „Ten dramatyzm czy nawet tragizm naznacza ludzkie istnienie” – pisze autor.





Dobry wujek, choć foliarz. Ciąg dalszy „Fanatyka”

„Wujek foliarz” to kontynuacja kultowego w pewnych kręgach „Fanatyka”. Wymowy obu filmów są jednak całkiem odmienne. W „Fanatyku” rodzinne relacje to źródło udręki, w „Wujku foliarzu” budzą nadzieję

**HITY I KITY
ZAREMBY**

Zaczął się od copypasty, czyli opowiadanka kolportowanego w necie. Niejaki Malcolm XD zaczął ją tak: „Mój stary to fanatyk wędkarstwa”. W 2017 r. Michał Tylka przeobraził tę historyjkę na niespełna półgodzinny film. Choć pieniądze wyłożyło na niego Małopolskie Studio Debiutów, to klasyczny przykład kina offowego, dostępnego w sieci. „Fanatyk” zyskał taką popularność, że pojawiła się nawet wersja sceniczna, w tej samej obsadzie.

W rolę ojca, fanatyka wędkowania, wcielił się – to znakomita kreacja – Piotr Cyrwus. Rodzina przeżywa przy nim permanentny koszmar. Szczególne męki są udziałem mało asertywnego syna, pechowego Kuby, granego przez Mikołaja Kubackiego. Wędkarskie haczyki co rusz wbijają mu się w stopy, a tata zmusza go do coraz bardziej absurdalnych czynności. Cień wszechobecnego ojca zagania go w końcu do psychiatryka. Wszystko niby jest humorystyczne, a przecież gorzkie.

Teraz Michał Tylka nakręcił kontynuację. Znowu wyszedł od copypasty Malcolma XD, ale to normalny produkt komercyjny wspierany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej. „Wujek foliarz”

był pokazywany w kinach. Trafił też do Netfliksa, dzięki któremu go obejrzałem.

Kuba przebywa na terapii, bo nakryto go na paleniu trawki. Kiedy chce czmychnąć do Włoch, nieoczekiwanie porwano go jego wujek, nieznany z „Fanatyka” brat matki. Jest on foliarzem.

Znamy to pojęcie z czasów COVID-19, kiedy nazywano tak zwolenników teorii spiskowych dotyczących pandemii i szczepionek. Ale ten foliarz prowadzi na prowincji zakonspirowaną telewizję, upowszechniającą ze schronu wiedzę o wszelakich spiskach. On i jego ekipa chcą zdemaskować miejscowego burmistrza. Podejrzewają go o sfałszowanie wyborów, a Kuba ma im pomóc w śledztwie. Przy okazji natrafiają na trop prawdziwej afery – z truciem wody toksycznymi odpadami z Niemiec.

Mamy więc powrót wątku konfrontacji niezbyt pewnego siebie młodego człowieka z rodzinnym szaleństwem. Tyle że wymowa tej części cyklu okazuje się inna. Może i wujek jest wariatuńcem, ale pozostaje dobrym człowiekiem, który przy okazji uruchamia w siostrzeńcu energię i zdolność podejmowania decyzji. Innym pozytywnym czynnikiem jest spotkanie z mieszkającą w wiejskiej okolicy Goską,

dawną sympatią Kuby. Mamy więc pochwałę rodzinnych więzi, a przy okazji prowincji jako własnego miejsca na ziemi.

Nie twierdzę, że to film doskonały. Są tu mielizny, chaotyczne niejasności, choć i sporo autentycznie zabawnych zwrotów akcji. Film ma też jakieś oryginalne ciepło, co powoduje, że zza zupełnie zwariowanych scen wygląda coś sympatycznego i pociągającego. Znakomitym rozsądnikiem tego czegoś jest Adam Woronowicz jako wujek. To kolejna brawurowa rola tego aktora. Potrafi być zabawny, nie szarżując nadmiernie, choć niby wszystkim tu zachęca do szarży, i staje się czołową gwiazdą repertuaru komediowego w polskim kinie.

Dodam, że w roli jego ekipy telewizyjnej występują veterani: Andrzej Grabowski i Katarzyna Figura oraz młody i coraz lepszy Michał Sikorski. To żelazne atuty szalonej historii. Pochwały należą się Mikołajowi Kubackiemu, który ma wyjątkowy, jakby pierwotny dar budzenia sympatii swoim osobistym urokiem. Nawiązaniem do „Fanatyka” jest pojawienie się Dariusza Kowalskiego. Tam był groteskowym działaczem Polskiego Związku Wędkarskiego, a tu? Zobaczcie sami. Będziecie zaciekawieni, ubawieni i chyba pokrzepieni. ▀

Piotr Zaremba

„KRZYWDA” – DIABEŁ KRAŹY WŚRÓD SARMATÓW

*To czwarta książka, a druga powieść
Pawła Rzewuskiego. „Krzywda” dzieje się
w szlacheckiej Rzeczypospolitej. To opowieść
przygodowa, fresk historyczny, ale jeszcze
bardziej całkiem przyzwoita literatura grozy*

P o Polsce wędruje ślepy szlachcic wraz z prowadzącym go dziwnym młodzieńcem. Spotykają różne postaci. Każdemu z przygodnych znajomych ślepiec opowiada kolejną historię z nie tak odległej przeszłości. Ma z nimi coś wspólnego, ale nie wiadomo, jaka jest jego rola w zdarzeniach. We wszystkich opowieściach występuje szlachcic Stanisław Wróblewski, wieczny wojak w permanentnej podróży.

Na początku zareagowałem irytacją. Bohater pierwszej opowieści, Jan Werner, opiekuje się synem swojego brata. Przedstawia się nam go jako siostrzeńca, choć oczywiste, że jest bratankiem, czyli synowcem. Wtedy przywiązywano wagę do takich rozróżnień. Mamy też trochę innych terminologicznych nieścisłości i język postaci – nieco archaizowany, ale chwilami zabawnie współczesny.

A jednak czytało mi się to z wzrastającym zaciekawieniem. Rzewuskiemu chyba się udało oddać świat pojęć tamtej szlachty. To świat nieupiększony, w sumie okrutny. Nawet bohaterowie raczej pozytywni bywają brutalni, bo są więźniami tamtych obyczajów. Tytuł odnosi się do herbu imię Wróblewskiego, a także do przewijającego się motywu. To świat, w którym było łatwo o wyrządzenie krzywdy: ludziom niższych stanów, mniej wpływowym szlachcicom czy kobietom. Potem powracają różne rodzaje zemsty.

To nie jest jeszcze czas widowiskowego upadku Rzeczypospolitej – przywoływane przez ślepcę zdarzenia mają miejsce w latach 1602, 1608, 1620 i 1628. A przecież apokaliptyczne losy sejmiku w Lublinie wskazują już kierunki kryzysu, rozpadu. Może chwilami odbierałem krwawe obrazki jako zanedo przesadne. Ale nie ma w tym cienia publicystyki. Niektóre upiorności kojarzyły mi się z „Rękopisem znalezionym w Saragossie” przeniesionym na bezdroża szlacheckiej Polski. Mniej tu jednak humoru, a więcej widowiskowego strachu przed złem, diabłem, obecnym wśród bohaterów. Nawet ja go poczułem.



Ze Zbigniewem Herbertem powrót do źródeł

*Przy okazji opisu spektaklu „Seminarium diabła” pisałem
tu o podziemiach warszawskiego kościoła Wszystkich
Świętych. Dzieją się tam ciekawe rzeczy*

M ożna np. obejrzyć poetyckie przedstawienie Teatru Klasyki Polskiej „Herbert. Prowadził za rękę światło” w reżyserii Karoliny Labahuy. Poeta opowiada w nim ustami wybitnych aktorów o tajemnicy dziejów człowieka.

Zbigniew Herbert często jest odbierany jako poeta polityczny, bo mocno opowiadał się w sporach dotyczących polskiej tożsamości narodowej czy stosunku do komunizmu. Lubił też tematykę mechanizmów władzy. Jednak co najmniej tak samo istotna jest jego pasja podróżnika, poszukiwacza piękna, konesera ludzkiej twórczości.

W tym spektaklu dostajemy wiązanek fragmentów z „Barbarzyńcy w ogrodzie”, erudycyjnego zapisu wyprawy pisarza do Francji i Włoch (1962 r.), oraz innych wierszy, które nazwałbym „ogólnoludzkimi”, mniej znanych, wybranych przez reżyserkę. Aktorzy mówią wprost do nas, z wielkiej sceny, a za ich plecami dostajemy wspaniałe tło muzyczne wydobywające się z tajemnicznych instrumentów. I śpiewającą Natalię Sikorę, skądinąd współautorkę muzyki (wraz z Martą Maślanką).

Miałem wrażenie wyprawy do źródeł człowieczeństwa – zaczynało się przecież od relacji Herberta z jaskini Lascaux, gdzie nasi przodkowie sprzed kilkunastu tysięcy lat, z ery paleolitu, pozostawili po sobie ślady w postaci niezwykle malowideł. Całość była poszukiwaniem miejsca człowieka na ziemi, opowieścią o jego relacjach z wartościami, odczytywaniem sensu kultury. Opowieścią nieupiększoną, nielukrowaną – patrz wiersz o egzekucji. Nie było w tym konkretnych opinii politycznych, ale wędrówka po historii. I dotykane metafizyki.

Zespół tych, którzy przemawiali do mnie precyzyjnymi, inteligentnymi frazami Herberta, musi budzić podziw. Ja akurat oglądałem kombo złożone z Dariusza Kowalskiego, Adama Woronowicza i Andrzeja Mastalerza. Czy możecie sobie wyobrazić, że Woronowicz i Mastalerz występowali... w zastępstwie? Podstawowy skład to – poza Kowalskim – dyrektor Teatru Klasyki Jarosław Gajewski i pozyskany przez niego filmowy gwiazdor Sebastian Fabijański. Każdy z nich jest tak wielką indywidualnością, że zastanawiam się nad ponowną wyprawą na spektakl.

Czy Polska pokłoni się świrom?

Trump wywoła globalną wojnę”, „Rząd Tuska szykuje zamach stanu”. Jak widać po tytułach, sezon ogórkowy w pełni.

A w kraju 10 mln uzależnionych ludzi. Uzależnionych od noradrenaliny i kortyzolu, szczucia, kłamstwa. Umysł ujarzmiony, zniewolone emocje, pomieszane uczucia. Mamy przynajmniej 10 mln ludzi skłonnych uwierzyć, że Polska stała się jedynym w historii demokracji krajem, w którym kiepowana, wsadzana do aresztów wydobywczycy, bezprawnie okradziona z dotacji wyborczych przez rządzących opozycja może sfałszować wybory.

Nad Wisłą kwestionuje się demokratyczny wybór narodu. Lepsi chyba na poważnie chcą spróbować odebrać bidokom prezydenta.

W konstytucji III RP określana jest jako „demokratyczne państwo prawa”. Państwa prawa nie ma już dawno, premier Tusk i jego podwładni nie respektują niewygodnych dla siebie decyzji jego kluczowych instytucji: Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego oraz Państwowej Komisji Wyborczej. Teraz mamy się pożegnać z demokracją. Bo mimo wszystkich słabości jesteśmy jeszcze państwem demokratycznym: władzę w Polsce sprawują demokratycznie wybrany rząd, parlament i demokratycznie wybrany pięć lat temu prezydent – Andrzej Duda. Przed lub po 6 sierpnia zdecyduje się, czy pozostaniemy demokracją, czy staniemy się mniej lub bardziej aksamitną dyktaturą, w której władzy nie wybiera się poprzez głosowanie, a o tym, kto ją sprawuje, decyduje wola jakiejś mniej lub bardziej sprecyzowanej grupy osób – polityków, funkcjonariuszy obcych służb państwowych czy aktywistów globalnych korporacji.

W razie nieuznania wyboru Karola Nawrockiego na prezydenta Polski lub szybkiego pozbawienia go tego urzędu ferajna Tuska z Giertychem, pełniącym dziś obowiązki Palikota, obali ostatnią

kluczową dla ustroju państwa instytucję – instytucję, którą akceptuje przytłaczająca większość Polaków: wybór władzy wykonawczej i ustawodawczej w głosowaniu powszechnym.

Czym innym jest propagandowe kwestionowanie autorytetu instytucji prezydenta – to nastąpiło już za pierwszego Palikota – a czym innym zamach stanu.

Decyzja chyba nie została jeszcze podjęta. Nie wiem, kto ją podejmuje i czy rzeczywiście spróbują przewrotu politycz-

W Polsce kończy się chrześcijaństwo. Na całym Zachodzie epokowa zamiana: wiary na wierzenia. Wiary w Boga i, co o wiele ważniejsze, wiary Bogu, czyli zaufania Mu. Zaufanie Osobie troszczącej się o mnie, wiara w Bożą opiekę, zostało zamienione na bezosobowe wierzenia. Stąd lęk dzisiejszego świata

nego oraz zmiany ustroju państwa. Ale czy samo postawienie takiej alternatywy nie czyni rządzących zdrajcami stanu?

Czy Polska pokłoni się świrom? Czy udamy, że wierzymy, iż opozycja sfałszowała wybory? Czy Polacy dadzą sobie odebrać wybranego demokratycznie prezydenta? Czy da się odwrócić znaczenia słów na tyle, iż naród uzna, że większość – sporo ponad 10 mln ludzi – wybierając



ROBERT TEKIELI

Karola Nawrockiego, w rzeczywistości nie dokonała żadnego wyboru?

Kwestię schodzenia z drogi świrom podjął dekady temu „Grabarz” z zespołu Strachy na Lachy, jeden z dwóch najważniejszych Krzysztofów Grabowskich polskiego rocka: „Grzesiek Kubiak, czyli Kuba, rządził naszą podstawówką / Po lekcjach na boisku ganiał za mną z cegłówką / W Pile było jak w Chile, każdy miał czerwone ryło / Mniej lub bardziej to pamiętasz – spytaj, jak to było”. Tak lekko zaczyna się jeden z wspominkowych kawałków „Grabarza” – mała ojczyzna, niemałe traumy, heroiczny okres transformacji: „W czasach, gdy nad Piłą jeszcze latały samoloty / Wojewoda Śliwiński kazał pomalować płoty / Potem wszystkie płoty w Pile miały kolor zieleni / Rogaczem na wieżowcu Piła witała jeleni”. Zdrowe poczucie wyższości lokalsów, historie „bidoków”, na których libkowe Balcerowicze i Sachsy wydały wyrok. Polska miała być kolonią, demograficznym zagłębiem starej i obrzydliwie wtedy bogatej Europy: „Gruby jak armata Szczepan błakał się po kuli ziemskiej / Trafił do Ameryki prosto z Legii Cudzoziemskiej / Baca w Londynie z buchami się sąsiedzi / Lżej się tam halucynuje, nikt go tam nie śledzi / Karawan z Holandii, on przyjechał tutaj wreszcie / Są już Kula Czarny Dusioł – słychać strzały na mieście / Znam jednak takie miejsca, gdzie jest lepiej chodzić z nożem / Całe Górne i Podlasie – wszyscy są za Kolejorzem”. Gdzie indziej za Wiselką, Górniczkim, ale wszystkich łączy zapach spalenizny i rakotwórczy smak: „Nad rzeką latem fe-



rajna na grilla się zasadza / Auta z Niemiec – sam wiem, kto je tu sprowadza / Żaden spleen i cud, na ulicach nie śpią złotówki / W Pile Święta jest Rodzina i święte są żarówki / Nic nie szkodzi, że z wieczora miasto dławi się w fetorach / Fajne z Wincentego Pola idą w świat dziewczyny / Po pokładzie jeździ Jojo bicyklem z Ukrainy”. I tak dochodzimy do refrenu i do naszych świrów: „Statek Piła Tango / Czarna bandera / To tylko Piła Tango / Tańczysz to teraz / Płynie statek Piła Tango / Czarna bandera / Ukłoń się świorom / Żyj, nie umieraj”. Kto się nie ukłonił świorom? Na pewno Jarosław Ziętara, młody dziennikarz śledczy „Gazety Poznańskiej”, który zaginął bez śladu w 1992 r., a także pisząca o pedofilii dziennikarka śledcza Ewa Żarska, którą 16 kwietnia 2020 r. znaleziono martwą w swoim mieszkaniu.

„Andrzej Kozak, Mandaryn, znana postać medialna / Tyci przy nim jest kosmos, gaśnie gwiazda polarna / Jest tu Siwy, który w rękach niebezpieczne ma narzędzie / A kiedy Siwy tańczy – znaczy mordobicie będzie / U Budzików Pod Tytułem chleją nawet z gór szkieli / Zbigu śpi przystoliku, ma nieczynny przelęk / Lecz spokojnie, panowie, według mej najlepszej wiedzy / Najszerze gardła tu to mają z INRI koledzy”. Pod Tytułem to klimatyczny bar w centrum Piły, a szkieli to po wielkopolsku psy, gliniarze. „Statek Piła Tango / Czarna bandera / To tylko Piła Tango / Tańczysz to teraz / Płynie statek Piła Tango / Czarna bandera / Ukłoń się świorom / Żyj, nie umieraj”.

Dwukrotnie podejmowałem właśnie taką decyzję. Drugi raz na samym początku lat 90. Robiłem audycję radiową „Zadzwoncie po milicję” i telewizyjną „dzyndzylindy”, współpracując z Pomarańczową Alternatywą, Totartem, WiP-owcami, punkami i gdańskimi anarchistami. Krzysiek Skiba z Gdańska, przekazując informacje o uwikła-

niu Wałęsy (znane mi z dokumentów i (nieznane mi) o pedofilii bardzo znanego „solidarnościowego” kapłana, powiedział: „Tego się nie publikuje, za to się zabija”.

Pierwszy raz z tego typu dylematem miałem natomiast do czynienia pod koniec dzieciństwa. W latach 70. młodzi chłopcy, a chwilę potem młodzi faceci, bili się pomiędzy sobą, najpewniej po to, by ustalić porządek dziobania. Wśród rówieśników był jeden chłopak, z którym nigdy się nie siłowałem ani nie biłem. Mój na lyso ogolony rówieśnik pokonany w zapasach czy na pięści, jak kto umiał, nie był zdolny do uniesienia przegranej. Potrafił atakować niebezpiecznym narzędziem, zdarzało mu się też – wieczorem albo następnego dnia – zacząć z kamieniem i zaatakować z zaskoczenia, od tyłu. Walił kamulcem w potylicę z całej siły.

Po kilku latach to moje „ukłoń się świorom” okazało się jeszcze bardziej racjonalnym wyborem. Wyszło na jaw, że nasz rówieśnik gwałcił starsze siostry, by w końcu po kolejnym wyjściu na wolność z więzienia zabić człowieka uważanego w Krzepicach za bogacza, wcześniej przypalając go żelazkiem, by ujawnił, gdzie zakopał pieniądze. Morderca ubzdurzał sobie, że są ukryte na cmentarzu...

Upokarzany w domu w czasach dzieciństwa przenosił nienawiść do katującego go ojca i braci na rówieśników. Nawet silniejsi nie prowokowali konfliktów z nim. Świorom się ustępuje. Albo się ich trwale neutralizuje.

I jeszcze o zapleczu świrów. O naszych 10 mln. Jak ujarzmić się umysł w sektach? Jak zmusza się ludzi do robienia rzeczy, które ich kaleczą? Jak robią to chickenhawk, współcześni amerykańscy biali alfonsi, uzależniający od siebie nastolatki i żyjący potem z pieniędzy, które zarabiają one swoimi ciałami na ulicy? Jak zdobywa się władzę nad losem i życiem osób, rodzin, społeczności i społeczeństw?

Znam ludzi, którzy bezbłędnie czytają najsztubniejszą mowę ciała i potrafią rozpoznać człowieka z deficytami tak silnymi, że da się go zniewolić za pomocą słowa. Ludzi, którzy potrafią dać fałszywą nadzieję i doprowadzić niszczonego człowieka do euforii, choć właśnie uzależnił się i utracił wolność, czasami na całe życie. A są to tylko wykonawcy. Stojący wyżej w hierarchii funkcjonariusze dowolnego oddziału Syndykatu cienia potrafią o wiele więcej. Wszystkie techniki zniewalania wypróbowane w tysiącach sekt zostały uważnie przeanalizowane i są używane do kontrolowania społeczeństw.

Ujarzmiony umysł to z punktu widzenia władz stan idealny. W kilku wystąpieniach krążących po sieci i w moim prawie dwugodzinnym wykładzie na kanale YouTube Tekieli: Otwórz oczy oświeć kondycję naszej cywilizacji. Mówię o zdekonstruowanej zachodniej ideosferze, toczącej Polskę i cały Zachód herezji „energetycznej”, selfizmie czakralnym, które to wierzenia wyparły wiedzę naukową i antropologię biblijną. O narzędziach i technikach zniewalania oraz metodach samoobrony.

W Polsce kończy się chrześcijaństwo. Na całym Zachodzie epokowa zamiana: wiary na wierzenia. Wiary w Boga i, co o wiele ważniejsze: wiary Bogu, czyli zaufania Mu.

Zaufanie Osobie troszczącej się o mnie, wiara w Bożą opiekę, zostały zamienione na bezosobowe wierzenia. Stąd lęk dzisiejszego świata. Przerazenie kolejnych pokoleń. Coraz większa potrzeba ucieczek. Uzależnienia, zniewolenia, psychotropy, samobójstwa siedmiolatków, ułuda cyfrowego świata i quasi-relacji zapośredniczonych przez ekran...

A co do świrów i potrzeby przyjazdu milionów Polaków 6 sierpnia do Warszawy. Ważne pytanie. Nie o policję, służby, wojsko, ale o to, czy mamy do czynienia z prawdziwym świrem, czy z miękką inteligencją fają.

TONI SERVILLO*

Miłosny list do Rzymu



W tę podróż – do Rzymu i nieodległej przeszłości, a także ponadczasowych refleksji o sensie i sednie życia – możemy się wybrać tego lata, nie opuszczając miejsc, w których żyjemy na co dzień. Wpatrzeni w kinowy ekran, zanurzymy się w zaułki i rozległe przestrzenie Wiecznego Miasta pokazane z perspektywy Jepa Gambardelli – mieszkańca Rzymu i konesera szeroko pojętego piękna.

Gambardella to starzejący się dziennikarz i pisarz. Po wielu hedonistycznych latach ten bywalec elitarnych przyjęć zaczyna rozliczać się z przeszłością. Wspomina pełną namietności, acz bezpowrotnie utraconą młodość. Z tarasu rzymskiego apartamentu spogląda na Koloseum i wędruje przez miasto „pełne kontrastów, historii i ukrytych cudów”. Rzym staje się równorzędnym bohaterem tej ekranowej podróży.

„Zabytki, ulice i nocne życie tworzą kontrast między historycznym pięknem a współczesną dekadencją. Pod powierzchnią blichtru, rozmów o sztuce i filozofii (w których wciąż bryluje Gambardella) kryje się głęboka tęsknota za autentycznym pięknem i duchowym spełnieniem” – czytamy w zapowiedzi filmu, który swoje pierwsze wielkie wejście na ekrany miał ponad dekadę temu.

To wtedy „Wielkie piękno” (w reżyserii wówczas 43-letniego Paola Sorrentina) – film będący nie tylko „melancholijną medytacją nad przemijaniem

i pustką życia towarzyskiego”, lecz także „listem miłosnym do Rzymu” – zdobywało coraz cenniejsze laury. Poczynając od czterech statuetek Europejskiej Nagrody Filmowej w 2013 r. przez Złoty Glob w 2014 r. dla najlepszego filmu zagranicznego po Oscara w 2014 r. dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego.

Doceniając reżyserię, wyrafinowane zdjęcia i symboliczne obrazy, krytycy porównują obraz Sorrentina do dzieł Federica Felliniego, zwłaszcza do „Słodkiego życia”.

Toni Servillo, który zagrał Jepa Gambardellę, dostał za swoją rolę Europejską Nagrodę Filmową, dodając ją do statuetek za najlepszy film, reżyserię i montaż.

Od 11 lipca „Wielkie piękno” będzie można oglądać na ekranach kin studyjnych.

Jolanta Gajda-Zadworna

** Jako Jep Gambardella z filmu „Wielkie piękno” w reżyserii Paola Sorrentina*

Fot. Di Gianni Florio





SŁODKO-SŁONY

Nie tylko różowy

ANNA MONICKA

Kiedy w Wilnie urządzono festiwal chłodnika, w mieście zrobiło się różowo. We wszystkich restauracjach królowała buraczana zupa, w kawiarniach można było zamówić różową kawę, w sklepach ze słodyczami – różową czekoladę, a w perfumiarzach wahać różowe zapachy. Ten litewski przysmak jest tam popularny jak u nas żurek. Każda rodzina ma swoją tradycję i własny przepis. Nic dziwnego, skoro zimną letnią polewkę robi się tam od setek lat. Kiedy w 1825 r. w rezydencji księcia Adama Czartoryskiego w Puławach prezentowano dania narodowe, strona litewska postawiła właśnie na chłodnik, który jadano w domach bogaczy i biedoty, choć „pańska” wersja różniła się składnikami, bo oprócz liści (dawniej one były głównym składnikiem, a nie, jak dziś, korzenie) wrzucano do niej np. rakowe szyjki, cielęcinę, drób, dziczyznę. Poza tym podawano go na ciepło i na zimno. Wykorzystywano buraki czerwone i białe pastewne, więc zupa różniła się od dzisiejszej także kolorem.

Współcześnie receptur jest mnóstwo. Zupa może być przyrządzana na śmietanie (na bogato, ale jest najcięższa), kefirze, jogurcie, maślanie; na gotowanych lub kiszonych burakach albo botwinie. Coraz popularniejsze są też buraki liściowe mangold, czyli boćwina, a te mogą mieć lodygi zarówno czerwone, jak i żółte. Jedni dodają cebulę, inni szczypior. Jedni koper siekają, inni ucierają z solą, żeby aromat był bardziej wyrazisty. Jedni ogórka kroją, inni ścierają na tarce i odciskają nadmiar płynu. Są też smakosze chłodnika na arbuzach. Niektórzy zaostrzają smak tartymi rzodkiewkami albo rzodkwią, inni dodają kalarepę, żeby zupa nabrała słodyczy.

W dawnych przepisach można znaleźć informacje, że dosypywano pokrojone szparagi czy różyczki kalafiora. Nawet w sprawie jajek nie ma jedności – mogą być przekrojone na ćwiartki albo posiekane, kurze lub przepiórcze. Na koniec posypka – z pokruszonych orzechów włoskich, laskowych, prażonych płatków migdałowych albo ziaren słonecznika. Każda inna, każda zmienia smak.

Ostatnio robię chłodnik bardziej przypominający sałatkę – z obranych, pachnących pomidorów, posiekanej rukoli i gęstego jogurtu doprawionego czosnkiem i orzeźwiającym sokiem limonki (ścieram skórkę i posypuję nią zupe). Nie ma nic lepszego na upały.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Szczury i gospodarka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Polska musi się rozwijać. To oczywiste. Jednym z motorów rozwoju jest budownictwo mieszkaniowe. I bardzo dobrze. Rozwój dobrze jest jednak – bez nadmiernych interwencji mogących go spowolnić – ukierunkowywać i zadbać o elementy drobne, a jednocześnie, jak się szybko okazuje, kluczowe.

Znakomicie by było wdrożyć wymogi korzystania z szarej wody, zielonych dachów, pnączy, energooszczędności i korzystania z deszczówki (to akurat już się dzieje), tworzenia przy okazji siedlisk dla ptaków oraz nietoperzy polujących na muchy i komary. Są jednak jeszcze bardziej oczywiste kwestie, których bardzo brakuje: chodniki, ścieżki rowerowe i przestrzeń, nieco więcej przestrzni.

Wbrew pozorom zapewnienie elementów wskazanych w poprzednim zdaniu nie jest bardzo trudne, zwłaszcza w przypadku dwóch pierwszych. Nie wymaga ustaw, choć mądre akty prawne mogłyby pomóc. Rzecz jest jednak dużo prostsza. Branża budowlana jest tak lukratywna, że deweloper może zrobić dużo, żeby uzyskać pozwolenie. Najlepiej szybko. Organy wydające decyzje, np. urzędy gmin, powinny współpracować. Jak pisałem, rozwój jest rzeczą dobrą. A przy okazji trzeba stawiać warunki – np. konieczność zrobienia chodnika i ścieżki rowerowej wzdłuż inwestycji. Oczywiście można się z tym się spierać i nawet wygrać. Czy jednak większość inwestorów nie wolałaby machnąć ręką i zamiast po roku czy dwóch, gdy wykazałaby, że nikt nie może jej narzucić obowiązku zrobienia chodnika, szybko dostać pozwolenie w zamian za ustępstwo? Czas, którym można grać zgodnie z prawem (i interesem mieszkańców), to potężny oręż w rękach gmin.

Bardzo często się tak nie dzieje. Nowe ulice zostają za-budowane blokami, bliźniakami i domami, a wzdłuż jezdni brakuje nie tylko chodnika, lecz także nawet pobocza. Tak jest łatwiej, od nikogo nie trzeba niczego wymagać i narażać się na dodatkowe dyskusje. A chwilę później nie ma już miejsca, żeby uzupełnić brak.

Å propos miejsca. Z tym jest trudniej. Im większa kubatura i im gęściej, tym więcej do sprzedania. A na razie rynek przyjmie każde mieszkanie i za każdą cenę. Tymczasem labirynt budynków, pomiędzy którymi są wciśnięte wiecz-nie przepełnione śmietniki, to raj dla szczurów. To tykająca bomba.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Uśmiechnięta Polska

Dziś najważniejszym zadaniem dla patriotycznej Polski jest zapewnienie ochrony i wsparcia dla prezydenta elekta

www.wojciechreszczyński.pl

W Księdze Syryacha (190 r. p.n.e.) czytamy: „Jaki władca miasta, tacy i jego mieszkańcy”. Ale równie dobrze możemy powiedzieć: „Jacy mieszkańcy miasta, taki ich władca”. Zdeprawowana władza może tworzyć tylko zdeprawowane społeczeństwo. Rzecz w tym, aby społeczeństwo nie uległo zdeprawowanej władzy.

A dzieje się tak, gdy polityka jest ode-
rwana od moralności.

Od 13 grudnia 2023 r. Polska znajduje się pod rządami zdeprawowanej władzy, której nie poddaje się większość społeczeństwa. Głosując w liczbie ponad 10,6 mln na Karola Nawrockiego nie pozwoliła na tzw. zamknięcie systemu, czyli opanowanie wszystkich najważniejszych instytucji państwa przez jedną antypolską formację polityczną. Walka się nie skończyła i trudno być tu prorokiem.

1 lipca br. Sąd Najwyższy wypowie się w sprawie ważności wyborów prezydenckich. Już wiemy, że stanowisko Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego zostanie zakwestionowane przez obecną władzę, gdyż podzieliła ona sędziów na swoich i obcych pod pretekstem niby bezprawnych zmian w wymiarze sprawiedliwości. Za pomocą nielegalnie przejętej prokuratury będzie teraz chciała doprowadzić do liczenia głosów w wybranych przez siebie tysiącach obwodowych komisji wyborczych. Działanie tyleż absurdalne, co bezprawne i dodajmy – uwłaczające tysiącom uczciwych ludzi uczestniczących w przeprowadzeniu wyborów, których teraz ma zastąpić prokuratura. Nie wolno do tego dopuścić.

Władza Donalda Tuska jednak nie ustaje w narzucaniu wolnemu polskiemu społeczeństwu własnych brutalnych i prymitywnych rozwiązań, ko-

rzystając z siły aparatu państwowego, który w większości jest na jej usługach. Ostatnie bastiony wolności i praw obywateli to właśnie Sąd Najwyższy, Trybunał Konstytucyjny, KRS oraz KRRiT. Zamach stanu, o którym zawiadomił najważniejsze instytucje w państwie prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Świączkowski, wchodzi w fazę brutalnego niszczenia podstaw demokracji, czyli demokratycznych wyborów.

Historia III RP nie odnotowała jeszcze takiego przypadku. Jest to nawiązanie wprost do bezprawnego wprowadzenia stanu wojennego przez WRON, ekipę Jaruzelskiego.

Schemat złej władzy jest prosty. Zły premier wybiera podobnych do siebie złych ministrów, ci złych dyrektorów, ci z kolei złych, posłusznych prokuratorów, kierowników, urzędników itd. Całość zabezpieczają polskojęzyczne media, agentura i kasta ludzi nienawidzących Polski, Kościoła katolickiego, patriotyzmu i naszej kultury.

Dlatego poseł Marek Jakubiak zwraca się do funkcjonariuszy policji, Straży Granicznej, urzędników państwowych, aby polecenia, które otrzymują, odbierali na piśmie. Słusznie zauważa, że zwierzchnicy łatwiej mogą się uwolnić od odpowiedzialności za łamanie prawa niż podlegli im funkcjonariusze niższego szczebla. Tak było po stanie wojennym. Przed sądami stanęli gorliwi wykonawcy bezprawnych poleceń, a góra, sprawcy stanu wojennego, uniknęła odpowiedzialności karnej. Dziś to się nie może powtórzyć.

Znęcanie się fizyczne nad wtrąconymi do celi urzędnikami państwowymi, tortury wobec ks. Michała Olszewskiego, zakończone śmiercią prokuratorskie bestialskie przesłuchanie Barbary Skrzypek, zakucie w kajdanki zespolone (na

ręce i nogi) matki 4-miesięcznego Oskarka na czas jego pogrzebu, najazdy na domy, wyważanie drzwi, szaf i sejfów, areszty wydobywcze wobec opozycji i inne, nieznanne jeszcze opinii publicznej akty terroru znajdują swój finał w sądzie, gdy skończy się ta opresyjna władza.

Silni wobec słabych, słabi wobec mocnych. Zwolnienie z więzienia skazanego na dożywocie Ryszarda Cyby, mordercy Marka Rosiaka, stawianie przed sądem żołnierza za obronę wschodniej granicy, uwolnienie od odpowiedzialności karnej Romana Giertycha zamieszanego w wielomilionową aferę Polnordu i ta powszechna pogarda wobec setek tysięcy ludzi z obwodowych komisji wyborczych oskarżanych o fałszowanie wyborów. Nawet zasłużonemu dla demokracji i uczciwości wyborów Stowarzyszeniu Ruch Kontroli Wyborów zarzucono fałszerstwa wyborcze. Dodajmy jeszcze powszechne kłamstwo władzy w sprawie migracji, której, jak zapewniał Donald Tusk, mieliśmy być beneficjentem, a jesteśmy zalewani natchodźcami podrzucanymi nam przez Niemców.

Dziś najważniejszym zadaniem patriotycznej Polski jest zapewnienie szeroko rozumianej ochrony i wsparcia prezydentowi elektowi. Przejawem tego poparcia będzie wielka manifestacja w Warszawie przed Sejmem i na Krakowskim Przedmieściu w dniu zaprzysiężenia Karola Nawrockiego na prezydenta, czyli 6 sierpnia br.

A od Bodnara i jego prokuratorów oczekujemy szybkiego zatrzymania niejakiego Marka Gawła, który na portalu X zapowiedział zastrzelenie Karola Nawrockiego. Jego wpis nie wskazuje na to, aby był szaleńcem. Takich ludzi wyhodowała sobie „uśmiechnięta Polska” Donalda Tuska.

Szturm na motocyklach

W zeszłym tygodniu pisaliśmy o nowej taktyce Moskali przełamania ukraińskich liniowych pozycji obronnych zwanej potrójnym uściskiem. Do pełni opisu należałoby dodać to, na co zwróciła uwagę ukraińska wojskowa grupa analityczna Frontelligence Insight w raporcie „Dragoni XXI wieku: analiza rosyjskiej taktyki szturmów motocyklowych”. Okazuje się, że tam, gdzie istnieje szansa na przełamanie pozycji, normalnie posyła się wojska zmechanizowane. Ponieważ Moskal cienko stoi ze sprzętem opancerzonym do podwożenia grup szturmowych, wpadł na pomysł wykorzystania sekcji na motocyklach i quadach. Tania chińszczyzna – enduro (motocykle terenowe) za jedyne 1,6 tys. dol. sztuka absolutnie zaspokajają potrzeby takiej jednostki. Szkolenia z użyciem tych pojazdów odbywają się na prowizorycznych torach przypominających trasy motocrossowe. W ramach ćwiczeń duży nacisk kładzie się na unikanie pozorowanych ataków dronów kamikadze. Taka grupa szturmowa składa się zazwyczaj z 6–8 motocykli i maksymalnie 2 żołnierzy na jedną maszynę. Daje to całkowitą liczbę personelu wynoszącą średnio 6–16 osób. Co najmniej jeden motocykl w grupie jest wyposażony w system wykrywania dronów, który skanuje teren pod kątem ich obecności. Ponadto grupy mają docelowo przenosić 2–3 stacje walki elektronicznej zamontowane bezpośrednio na motocyklach lub noszone w plecaku, aby podczas ataku zakłócić komunikację między dronami a ich operatorami. Sam pomysł nie byłby taki głupi, gdyby nie wrodzona bądź nabyta tępota dowódców polowych. Z analizy wynika, że Kacap ma poważne problemy z koordynacją działań różnych rodzajów sił zbrojnych, nawet na poziomie kompanii czy batalionu. Choć w założeniu motocykle mają zwiększyć skuteczność małych grup szturmowych, w praktyce ich wykorzystanie często kończy się fia-

skiem. Ruski, jak to ruski – choćby nie wiem, jak się natężał, to wyżej „bioder” nie podskoczy.

Jeden z ukraińskich leopardów 2 A4 oberwał serią 10 dronów FPV (First Person View – dron pilotowany poprzez podgląd na żywo z kamery umieszczonej na bezzałogowcu). Jak na dzisiejsze standardy nie jest to najlepiej chroniony czołg. Ten akurat otrzymał osłony siatkowe nad stropem wieży oraz kostki pancerza reaktywnego Kontakt-1, co znacząco zwiększyło jego przeżywalność. Według informacji podanej przez 508. Samodzielny Batalion Remontowo-Naprawczy na portalu X zmasowany atak bezzałogowców spowodował nawet eksplozję magazynu amunicji. W ruskich czołgach kończy się ona popisowym lotem kilkutonowej wieży na wysokość paru pięter, a nasz czołg zdołał przejechać jeszcze 500 m z żywą załogą. Magazyn amunicji w leopardzie 2A4 jest oddzielony od przedziału załogi pancerną płytą, a z wierzchu zabezpieczony tylko stosunkowo cienką blachą, która po eksplozji rozlatuje się, kierując siłą wybuchu w powietrze. Na filmie z zakładów naprawczych widać ślady pożaru po prawej stronie maszyny. Mimo to pojazd nadaje się do naprawy. Jeśli poważniejszej, to wylądować w naszych zakładach Bumar-Łabędy, a jeśli nie, zrobić go na miejscu w 508. Batalionie. Tak czy inaczej, leopard ma twarde czerep.

Czołowy propagandysta Kremla Władimir Solowjow znowu dał medialnego czadu. W kacapskiej telewizji państwowej (na razie



Andrzej Rafał Potocki

nie w likwidacji) oprócz propozycji umieszczenia broni nuklearnej w Iranie dołożył jeszcze atak na Polskę. Jak donosi serwis news.de, bliski współpracownik Putina, kierownik tego całego bałaganu, nawoływał w swoim wystąpieniu do użycia taktycznej broni jądrowej przeciwko Ukrainie. Co więcej, zaproponował „na wszelki wypadek” zrzuć bombę atomowej na Polskę. „Nikt nie piśnie ani słowa. Nałożą sankcje, no i co z tego?” – bełkotał Solowjow. Jednocześnie postulował rozmieszczenie rosyjskiej broni jądrowej w Iranie. Według niego takie działania pozwoliłyby „rozwiązać problemy świata za jednym zamachem”. Za komentowanie tych bredni wzięła się niemiecka prasa: „To scenariusz, który nieuchronnie doprowadziłby do III wojny światowej”. Po pierwsze, sam Berlin zrobił wiele, żeby taki Solowjow mógł wygadywać, co wygaduje. A teraz panika i histeria. Nie wiadomo, co się dzieje, wiatru nie ma, płot się chwieje. Po drugie, rzeczony Solowjow w poziomie swoich wywodów przypomina jednego z naszych przedstawicieli adwokackiej palestry o przezwisku Koń. Jak widać, każdy reżim musi mieć swojego Giertycha.

Współpraca: „Skipper”

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Nienawiść i bluzg

Ostatnio jestem szczególnie wrażliwy na wszelkie objawy degeneracji. A jest ich niemało i wszystko wskazuje na to, że będzie jeszcze więcej. Można też wyróżnić kilka odmian degeneracji, które obserwujemy u niektórych grup obywateli.

Kilka dni po wyborach prezydenckich poseł na Sejm RP z ramienia PSL Marek Sawicki stwierdził, że premier powinien podać się do dymisji, gdyż wiceprzewodniczący jego partii przegrał wybory prezydenckie. Niestety posłowanie w jakimś stopniu degeneruje człowieka i poseł Sawicki zagłosował za wotum zaufania dla Donalda Tuska. Jakiś honor, wierność danemu słowu? Wolne żarty. To było właśnie PSL w pigułce. Formacja bez kręgosłupa, *massa tabulettae* kolejnych koalicji i, cytując klasyka, bezprzykładni koryciarze. Skuteczni w zdobywaniu kolejnych apanaży dla swoich i kompletnie zdegenerowani jako posłowie. Jeśli dodamy do nich poselskich alkoholików, wciągaczy białego proszku czy pospolitych głupców, otrzymamy degenerację sejmową jako inny rodzaj degeneracji. A jeżeli weźmiemy pod uwagę immunitet, czyli poczucie bezkarności, i dodamy do niego tysiące złotych wyludzonych jako kilometrówki albo dopłaty do mieszkań, latanie samolotem do miasta zamieszkania w każdy weekend, posiadanie kilku mieszkań przez licznych parlamentarzystów, to okaże się, że mamy do czynienia z chciwą degeneracją. To trzecia odmiana tego zwyrodnienia.

Degeneracji psychospołecznej uległ Tusk i uległ Giertych. Ich działania świadczą o kompletnym zaniku pozytywnych emocji. To nie jest sprawa dla trybunałów czy sądów, ale dla psychiatrów. Nienawiść opłótła ich ego, odebrała rozum i popchnęła w stronę politycznej bandyterki. To niespotykany poziom nienawiści, która bodaj nie tylko w polityce objawia się w takim nasileniu. Taka mentalność i nienawiść kreowała obozowych kapo, komunistycznych działaczy, ubeków, prześladowców Kościoła, stalinowskich sędziów i konfidentów. Nienawiść jest jak płyn – dopasowuje się do kształtu naczynia, w które ją wlewo. Samorealizacja osobowościowa za pomocą nienawiści czyni z ludzi bestie, potwory, dewiantów i sadystów. Działania i słowa Tuska oraz Giertycha mogą być objawem osobowościowego zwyrodnienia, trwałego odkształcenia aksjologicznego. Odczuwania radości ze znęcania się nad obywatelami. Nie znam dość plugawych i obraźliwych słów, aby to wszystko opisać.



Aleksander
Nalaskowski

*Degeneracji psychospołecznej
uległ Tusk i uległ Giertych.
To nie jest sprawa
dla trybunałów czy sądów,
ale dla psychiatrów*

Nienawiść degeneruje i jest bodaj nieuleczalna. Jest bowiem silniejsza niż narkotyki i wyzwała najniższe instynkty, zachowania sprzeczne z normami kulturowymi i dekalogiem. Nienawiść zaślepia i podpowiada podle zachowania. Budzi uzasadniony lęk. Tak jest w przypadku rządu Tuska. Widać jak na dłoni, że Kosiniak-Kamysz, Bodnar, Hennig-Kłoska, Kotula, Kierwiński, Siemoniak, Nitras i inni po prostu boją się Tuskowej nienawiści, a zatem posłusznie opowiadają brednie, kłamać, tworzyć nierzeczywistość, byle tylko premier „się nie wściekł”. Znaleźli się w pułapce Tuskowej nienawiści, a z niej trudno wyjść. Pozostaje zatem tylko bezwzględne posłuszeństwo. Nie

ma żadnego rządu. Jest jedynie wódz i orszak podrzędnych poddanych. Ideowcy od Zandberga nie zgodzili się na bycie nim i znaleźli się poza koryciarskim układem, czym zapewne poprawią swoje notowania w najbliższych wyborach parlamentarnych. Orszak, nawet gdyby chciał sprawować władzę, to i tak nie potrafi. To gang dyletantów, leni i pozorantów.

Na tym mógłbym zakończyć ten felieton, ale zdarzyło się coś, czego nie potrafię przemilczeć.

Oglądałem opolski festiwal. Katarzyna Żak w ujmującej i dowcipnej piosence (brawo Artur Andrus!) błysnęła świetnym warsztatem i wokalną gracją. Ale zapamiętam jeszcze Paktofonikę z melorecytacją „Jestem Bogiem”. To się chyba nazywa rap albo hip-hop. Otóż pierwsza minuta z hakiem tej piosenki to jeden wielki bluzg, język rynsztoka i patologii. Rozumiem, że chodziło o pewien zamiar artystyczny, o jednak jakiś przekaz, ale użyte środki, w całości transmitowane do milionów przez telewizję, były stanowczo poza granicami tego, co wolno artyście. Po pierwszej minucie miałem dość Paktofoniki i jej przekazu. Co jeszcze mnie zdziwiło, to reakcja publiczności, która najwyraźniej znała ten bluzg, bo radośnie go recytowała razem z artystami. Telewizja pokazywała twarze widzów zachwyconych recytowanymi wulgaryzmami. A wszystko to na scenie, gdzie śpiewano onegdaj piosenki Młynarskiego, Kofty, Osieckiej, Cygana, Dzikowskiego, Moczulskiego czy Pietrzaka. Nie potrafię znaleźć idei, dla której warto było rzucić w polszczyznę rapowanym łajnem. Ale pewnie się nie znam, nie odczytuję znaków czasu i jestem zgrzybiałym dziadersem.

**Michał Korsun prezentuje: Sąd Najwyższy
ujawnia grube „pomyłki” na korzyść
Trzaskowskiego w komisjach!**



Wycinki z przeszłości

W lipcu 1974 r. polska prasa opisywała wchodzącą na ekrany komedię Sylwestra Chęcińskiego „Nie ma mocnych” – ciąg dalszy filmu „Sami swoi”.

Czytamy: „Kargul i Pawlak są w tym filmie o kilkanaście lat starsi. Komisja rolna orzekła, że gospodarstwo Pawlaka jest »nierozwojowe«. Pawlak nie przyjmuje orzeczenia do wiadomości. Ziemia jest dla niego wszystkim. Nie odda jej nikomu!

Niestety, starszy syn Pawlaka ożeniony z córką Kargula ma dość własnej ziemi i więcej nie jest w stanie uprawiać, młodszy zaś jest naukowcem i pracuje w mieście. Najmłodsza z rodziny, wnuczka Kargula i Pawlaka – Ania, też chce wyjechać na studia do miasta. Ona właśnie jest jedyną nadzieją. Jak ją zatrzymać na wsi?

Trudna sytuacja mobilizuje dziadków. Pawlaka i Kargul snują wspólną intrygę. U Pawlaka zamieszkał młody mechanizator rolnictwa – technik Zenek. Odbywa on praktykę w pobliskim PGR. Jest sierotą, nie ma domu, zna się na roli, więc byłby wspaniałym kandydatem na zięcia. Dziewczynie spodobał się, więc nie ma problemu. Tylko jak doprowadzić do ślubu? Młodzi nie mają pojęcia, co wymyślili starsi panowie”.

Jak podkreślano, „ta śmieszna komedia porusza ważny problem odchodzenia młodych do miast i tragedii starszych ludzi, którzy nie mają już sił pracować na roli. Perypetie Kargula i Pawlaka bawiąc, zmuszają do myślenia”.

Dodajmy, że dzieło scenarzysty Andrzeja Mularczyka wy-

trzymało próbę czasu i do dzisiaj ogląda się je z radością.

(mk)



Z WOLEJA

Polska maszyna do medali



**Ryszard
Czarnecki**

Gdy 30 czerwca 1957 r. powoływano – na fali odwilży po okresie stalinizmu (mocno obecnym także w polskim sporcie) – Polski Związek Piłki Siatkowej, jego twórcy zapewne nie śmieli pomyśleć, że w najbliższych siedmiu dekadach to ich federacja spośród gier zespołowych będzie najbardziej medalodajną dla Biało-Czerwonych. Gdy ten numer „Sieci” z moją rubryką „Z woleja” trafia do czytelników, mija 68. rocznica tego wydarzenia. Oczywiście w naszym kraju w siatkówkę grano wcześniej, a sam sport formalnie funkcjonował już od 1928 r. jako część Polskiego Związku Gier Sportowych.

Trzeba przyznać, że na międzynarodowych wyżynach najpierw znalazły się nasze siatkarki. Już cztery lata po okupacji niemieckiej i sowieckiej wywalczyły brązowy medal mistrzostw Europy, a przez kolejne dwa lata przywoziły z ME srebro. W 1952 r. zdobyły także tytuł wicemistrzyń świata. Siatkarze przez niemal trzy dekady po wojnie zdobyli jedyny brąz mistrzostw Starego Kontynentu (w 1967 r.) i mogli tylko zazdrościć siatkarkom, które w latach 1949–1971 zdobyły dwa brązowe medale olimpijskie, trzy medale mistrzostw świata (srebrny i dwa brązowe) oraz osiem (!) medali ME (po cztery srebrne i brązowe). Siatkarskie huzary przestały być ubogim Kopciuszkiem wobec dam dopiero w latach 70. i na początku 1980 r., gdy zdobyli olimpijskie złoto, mistrzostwo świata oraz pięć srebrnych medali z rzędu (!) na mistrzostwach Europy. W tym czasie nasze siatkarki mogły się poszczycić tylko jednym, brązowym medalem ME.

Potem przez dwie dekady mogliśmy tylko pomarzyć o sukcesach naszych reprezentacji. Przelamały to – oczywiście! – panie, zdobywając dwa razy z rzędu mistrzostwo Europy (w 2003 i 2005 r.). Siatkarze odpowiedzieli wicemistrzostwem globu w 2006 r., a następnie pierwszym w swojej historii mistrzostwem Europy. Było to w 2009 r., gdy po raz pierwszy i ostatni w historii obie nasze reprezentacje wróciły z medalami mistrzostw Starego Kontynentu, bo dziewczyny na ME (zresztą w Polsce) wyszarpały brąz.

Od siedmiu lat Biało-Czerwoni wracają z każdych męskich mistrzostw świata, Europy i Ligi Narodów z medalem.

Biorąc pod uwagę dorobek samej reprezentacji siatkarzy na mistrzostwach świata, mamy w kolekcji trzy tytuły mistrza i dwa wicemistrza. Dodajmy, że z ostatnich pięciu MŚ Polacy wracali z medalami cztery razy (dwa złote i dwa srebrne). Inne sporty zespołowe wyglądają na tym tle jak ubodzy krewni. Jest jeden wyjątek: gdy chodzi o igrzyska olimpijskie, to piłkarze zawstydzili siatkarzy. Futbolisci mają złoto (Monachium, 1972 r.) i dwa srebra (Montreal, 1976 r. i Barcelona, 1992 r.), zaś siatkarze „tylko” złoto (Montreal, 1976 r.) oraz srebro (Paryż, 2024 r.).

Czy to się zmieni w Los Angeles?

OD A DO ZYBERTOWICZA

Bogowie techu do pokonania?

A jeśli większość – a co najmniej spora część – tego, co sądzicie na temat technologii cyfrowych, to nie nieprawda, a co najwyżej półprawda?

Czy w takiej sytuacji bylibyście gotowi zmienić swoje wyobrażenia na ten temat? Jeśli uważacie, że tak, to zachęcam do lektury nowej książki znanej dziennikarki technologicznej Sylwii Czubkowskiej. Natrafiwszy na książkę w księgarni, trochę pozazdrościłem, że to nie ja wymyśliłem tytuł: „Bóg techy”. Podtytuł zaś przybliży, o co chodzi: „Jak wielkie firmy technologiczne przejmują władzę nad Polską i światem”. Rzec wydał krakowski Znak na początku tego roku.

WAŻNA, DOBRZE UDOKUMENTOWANA

Książka jest bardzo ważna, na czasie, dobrze udokumentowana i inspirująca. Godna przedyskutowania zarówno w szerszym gronie, jak i w gremiach decyzyjnych Rzeczypospolitej.

Problematyką rewolucji cyfrowej zajmuję się od lat – w 2015 r. wraz z zespołem współpracowników wydałem książkę „Samobójstwo Oświecenia? Jak neuro-nauka i nowe technologie pustoszą ludzki świat”, a później dwie kolejne na pokrewne tematy. I chociaż regularnie czytam o tej problematyce, to z książki Czubkowskiej dowiedziałem się wiele nowego. Nie o wszystkim da się tu napisać, skupię się więc na jednej kwestii – na schemacie myślenia, czy raczej mało rozumnego, spontanicznego reagowania, który nazywam Techno-Entuzjazmem.

TECHNO-ENTUZJAZM (TE) – DEFINICJA

Przez TE rozumiem postawę, której sednem jest niedostrzeganie negatywnych skutków rozwoju technologii, a w przypadku ich dostrzegania pomniejszanie ich znaczenia.

Uważam – i pisałem już na tych łamach – że TE to najniebezpieczniejsza ideologia



Książka przekonująco ukazuje bezradność demokratycznej polityki w wielu krajach w obliczu metod stosowanych przez big techy

współczesnego świata. Dlaczego? Ponieważ holdowanie TE utrudnia, a niektórym z nas uniemożliwia, spokojne, racjonalne analizowanie wpływu technologii na nasze życie. Utrudnia uchwycenie tego złego, co technologie cyfrowe – z najważniejszą dziś sztuczną inteligencją na czele – już zrobiły z naszą ludzką cywilizacją. TE bowiem powoduje może nie tyle oślepienie, co skierowanie energii poznawczej wielu utalentowanych umysłów w stronę nie tego, co dziś jest najważniejsze dla ludzkości.

OGROMNE MARNOTRAWSTWO

Dopiero lektura „Bóg techów” uświadomiła mi, jak bardzo przydatnym narzędziem ekspansji biznesowej jest Techno-Entuzjazm, jak jego praktyczne zastosowanie zaraża ludzi bezkrytycznym

entuzjazmem do cyfryzacji wszystkiego, co tylko nasuwa się pod rękę. Jak w wielu krajach skutecznie robią to lobbyści bóg techów. Jak sprawnie potrafili owinąć sobie wokół palca wielu polityków, badaczy, „ekspertów”, dziennikarzy. Efektem tego jest kosztowne, finansowane ze środków publicznych, często zbędne cyfryzowanie wielu obszarów życia społecznego. W edukacji nieraz przyniosło to o wiele więcej szkód niż korzyści.

Big techy – Czubkowska wskazuje przede wszystkim na firmy grupy GA-FAM, czyli Google, Amazon, Facebook, Apple i Microsoft – są tak potężne, bo posługując się uzależniającymi cyfrowymi technologiami, zyskały władzę nad naszymi pokusami. A zbudowane przez nie gadzety ze smartfonami na czele wbrew obietnicom bardziej przysyłają nam świat spraw ważnych, niż go oświetlają.

BEZRADNE DEMOKRACJE

Książka przekonująco ukazuje bezradność demokratycznej polityki w wielu krajach w obliczu metod stosowanych przez big techy. Moim zdaniem demokratyczne społeczeństwa mogą zwyciężyć w grze z nimi – bo to nie jest tylko walka – jedynie wtedy, jeśli będziemy potrafili odczarować cyfryzację, ukazać mielizny Techno-Entuzjazmu, przekonać, jak bardzo zwodniczą jest on ideologią. Jak często służy do cynicznych manipulacji.

PUSTE HASŁO SUWERENNOŚCI?

I jeszcze jedno. W czasach, gdy algorytm decyduje o tym, co myślimy, a lajk urasta do rangi obywatelskiego aktu, mówienie o suwerenności Rzeczypospolitej bez wskazania, jak lobbying big techów kolonizuje umysły elit i młodzieży, jest niczym innym jak grą w polityczną mitologię.

Czy Sylwia Czubkowska ma rację we wszystkim? Nie, ale posiada tak rozległą wiedzę, że jej teksty trzeba czytać i z nimi dyskutować.

Andrzej Zybertowicz

wPolsce 24



***„Zbudujemy razem studio z widokiem na Polskę.
Bo niezależne media to nasza wspólna sprawa”.***

ZBIERAMY NA NOWE STUDIO TELEWIZYJNE

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

CEL: 1 000 000 zł

WESPRZYJ patriotyczne media

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

62
CANAL+

192
netia

32
orange

825
vectra

196
polsat box

65
PLAY
dawniej upc

459
inea

631
TOYA

43
evio

eprasa.pl e97666729f

Subskrypcja **wPolityce.pl Premium+** i **SIECI**

CAŁE LATO czytasz

za 9,90 zł
/ 3 miesiące

Cena 9,90 zł za pierwsze 3 miesiące,
następnie 44,90 zł co 3 miesiące
i możesz zrezygnować, kiedy chcesz

Oferta ograniczona czasowo



Przez całe wakacje czytaj:

- mocne komentarze publicystów, aktualne informacje z Polski i ze świata, wywiady z najważniejszymi ludźmi polityki
- **wszystkie zamknięte artykuły na wPolityce.pl Premium+**
- pełne **e-wydanie tygodnika SIECI** wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 18:00
- w prezencie świetne ebooki **Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na

www.siec.wpolityce.pl/oferta



ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ